



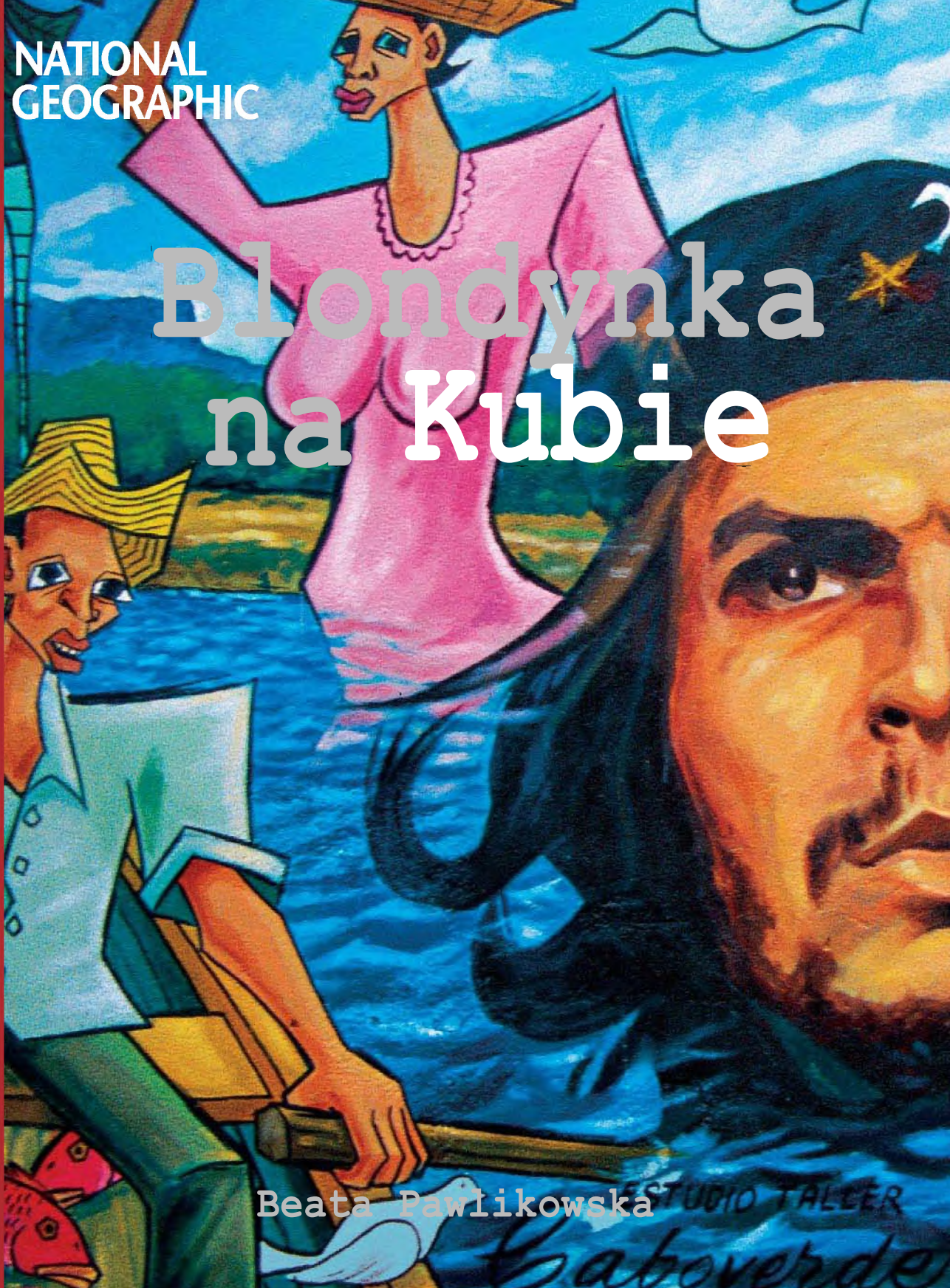
NATIONAL
GEOGRAPHIC

Blondynka na Kubie

Beata Pawlikowska

ESTUDIO TALLER

Baboverde

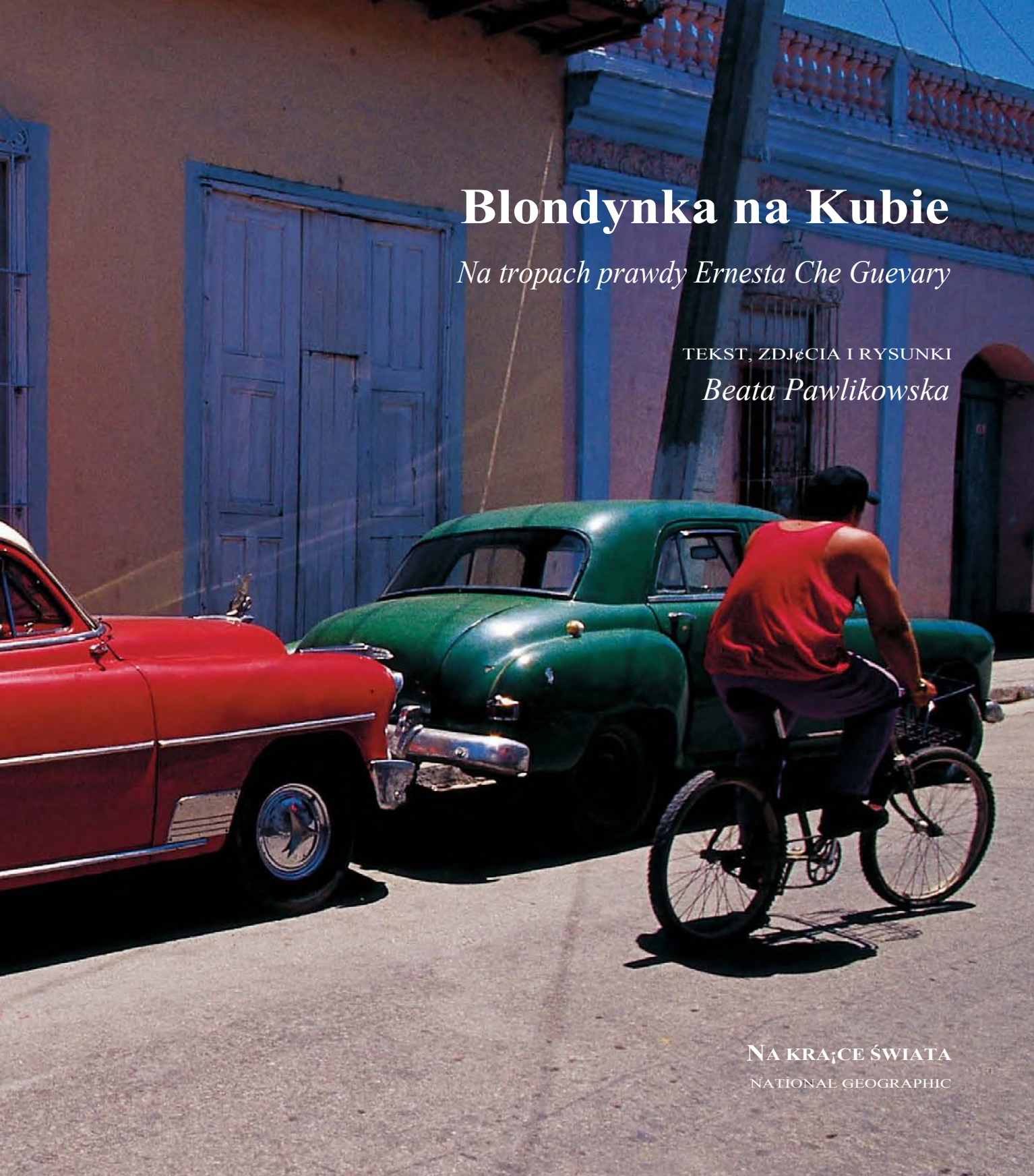


Blondynka na Kubie

Na tropach prawdy Ernesta Che Guevary

TEKST, ZDJĘCIA I RYSUNKI

Beata Pawlikowska



NA KRAJCE ŚWIATA

NATIONAL GEOGRAPHIC

Spis treści

<i>Wyspa tajemnic</i>	7	<i>Astro, czyli Gwiazda</i>	125
<i>Wielbłądy w Hawanie</i>	13	<i>Prawda Gavina</i>	133
<i>Socjalizm albo śmierć</i>	19	<i>Noc potworów</i>	141
<i>Błękitna droga</i>	29	<i>Strefa żywych</i>	149
<i>Jak Che został lekarzem</i>	35	<i>Mieszanka wybuchowa</i>	155
<i>Dzienniki podróży</i>	41	<i>Prawda Che Guevary</i>	161
<i>Latający dywan</i>	47	<i>W domu muzyki</i>	167
<i>Pokój do wynajęcia</i>	59	<i>Baza w Guantanamo</i>	171
<i>Kubańskie yeti</i>	65	<i>Kubańczyk w drodze</i>	179
<i>Pogromca korczaków</i>	71	<i>W piekielnych górach</i>	183
<i>Dolina Wodnych Młynów</i>	79	<i>Na końcu świata</i>	187
<i>Nicień czy wesz</i>	87	<i>Rajskie ogrody</i>	191
<i>Gavin w krainie marzeń</i>	93	<i>Blondynka w dżungli</i>	195
<i>Cuba Libre</i>	101	<i>Czas Gavina</i>	205
<i>Era Fidela</i>	111	<i>W kubańskim Wąchocku</i>	211
<i>Durian na plaży</i>	119	<i>Wodni ludzie</i>	219
		<i>Słownik kubański</i>	231





ROZDZIA, 1

Wyspa tajemnic

Hawana była gorąca. Po parnym dniu zaczynała się jeszcze bardziej upalna noc, kiedy barman bez pamięci lał rum do lodowatych drinków z liść mi mięty, a przez otwarte drzwi na ulicę płynęła kubańska muzyka. Pulchne niemieckie turystki zrywały z ramion żakiety i chustki, dając się porwać do tańca giętkim Kubańczykom. Kiedy przyciskali brązowe palce do ich różowych pleców, powietrze gęstniało od westchnień i milczącej zgody na wszystko, co mogłoby się wydarzyć.

Kontrabas napelniał ciemność erotycznym wezwaniem, potęgowanym przez gorączkowe marakasy i studzonym przez tęsknie rozmarzoną trąbkę. Niemki lgnęły do swoich kubańskich partnerów, zapominając, że w swojej ojczyźnie są statecznymi matkami i żonami równie jak one grubych Niemców, z którymi od czterdziestu lat piją przed telewizorem wieczorne piwo. Nieważne było to, że obejmujący je Kubańczycy nie mają przeszłości, imion i ani grosza przy duszy. Byli tak samo anonimowi jak muzyka. W taką noc wszystko było możliwe.

Po wypiciu trzeciego *mojito*, zobaczyłam, że do tańca przyłącza się słony wiatr znad morza i chudy koń zaprzęży ony do dorożki. Nawet kamienie w brukowanej ulicy podrygiwały pod moimi stopami, więc zerwałam się z miejsca i wpadłam w czyjeś ramiona, gotowa poddać się im w porywającym rytmie, biodro przy biodrze, policzek przy policzku, gdy nagle mój partner i ja spojrzeliśmy sobie w oczy. Świat zatrzymał się na ułamek sekundy, podczas którego czym pr

pulchna Niemka o dekolcie głębokim jak Rów Mariański, w którym kołysały się dwie gołe, różowe dynie.

Mojito (hiszp.) = ulubiony drink Ernesta Hemingwaya i do dziś najbardziej popularny na Kubie, składający się z białego rumu, soku z limonów, cukru, świeżych liści mięty, wody sodowej i lodu.



Skoczyłam w bok i prawie natychmiast chwycił mnie w pasie inny tancerz, o bezpiecznie kościstych rękach, w kraciastej koszuli i kapeluszu skrywającym pół twarzy. Tańczył jak szatan.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ludzie tak namiętnie oddawali się muzyce. Ani w Argentynie, gdzie po zapadnięciu zmroku w portowych barach rozbrzmiewało tango, ani w Kolumbii, gdzie od rana do wieczora królowała salsa, ani podczas plemiennych ceremonii w dżungli amazońskiej czy w Afryce, gdzie muzyka miała otwierać wrota do świata niewidzialnego oczom zwykłych miertelników.

Muzyka na Kubie jest elektrownią, do której od urodzenia jest podłączony każdy człowiek, więc gdy tylko zaczyna grać, Kubańczyk zrywa się do tańca i z każdą minutą łąduje się zapasem energii do życia.

Nagle przypomniał mi się Fidel Castro, który wczoraj wieczorem w telewizji przez cztery godziny pokazywał lodówki i wiatraki, z oburzeniem wskazując, że zużywają za dużo energii elektrycznej. Grożąc palcem przeszedł kilka kroków dalej do mniejszego wiatraka z niebieskimi skrzydłami, odwrócił się do kamery i powiedział:

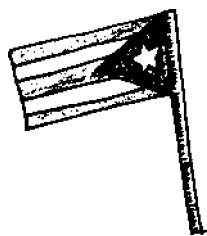
– Oto jest dobry wiatrak! Energooszczędny!

Kamera przeniosła się na twarz rozradowanej Kubanki, która klaszcząc ze szczęścia w ręce powiedziała:

– To jest mój nowy wiatrak! Kupiłam go dzięki naszemu Fidelowi, ale to nie jest jedyny prezent, jaki dostaliśmy od naszego *jefe el comandante*, wodza, bo pierwszą rzeczą, jaką nam dał, była rewolucja i wyzwolenie Kuby!

Fidel Castro występował w telewizji prawie codziennie, opowiadając o sprawach najbliższych Kubańczykom – o imperializmie Ameryki, o terrorystach niesłusznie pozostawionych na wolności, o potknięciach wrogich rządów, a także o najnowszych garnkach ciśnieniowych do gotowania ryżu, sprowadzonych z bratniego kraju – Chin, podając przy tym szczegółowy przepis ich obsługi, w którym również zawarte było polecenie oszczędzania energii elektrycznej. Do garnka należy wsypać ryż, zalać go wodą, szczelnie zamknąć, doprowadzić do wrzenia, a następnie zgasić gaz, pozostawiając ryż w zamkniętym garnku „aż dojdzie”. Garnek kosztuje 120 peso. Miesięczna pensja Kubańczyka wynosi 240 peso. Butelka wody mineralnej kosztuje 24 peso, kilogram mięsa bez katek – 66 peso, jedno jajko – 2 peso. Każdy Kubańczyk dostaje przydział na zakup trzech kilogramów ryżu miesięcznie, 25 deka fasoli, tyle samo oleju, odrobinę kawy i paru innych produktów w niewielkich ilościach. Wołowiny nie można kupić od kilku lat. Dzieci do roku życia dostają miesięcznie dwie butelki mleka, starsze mają przydział mleka w proszku.

Bilet na autobus miejski w Hawanie kosztuje 20 centavos, czyli mniej niż 2 polskie grosze, ale za bilet autobusowy z Hawany do odległego o cztery godziny miasta Santa Clara trzeba zapłacić ponad czterysta peso. Jak możliwe jest tu





życie na co dzień? Jak Kubańczykom udaje się przeżyć do końca miesiąca? Skąd biorą siłę, radość i nadzieję? A może tu nie ma nadziei?...

Po ulicach Hawany jeżdżą stare amerykańskie samochody. Po kilku dniach uświadomiłam sobie, że wszystkie te okrągłe fordys, chevrolety i buicki z lat pięćdziesiątych to rówieśnicy kubańskiej rewolucji. Pojawiły się na wyspie jako najnowsze modele światowej motoryzacji tuż przed tym, gdy władzę na Kubie przejął rząd rewolucyjny. I razem z rewolucją zaczęły dojrzewać. I choć to brzmi nieprawdopodobnie, pięćdziesięcioletnie samochody są dziś na wyspie tak samo wiecznie młode, jak kubańska rewolucja. Wyglądają jak triumfalna, nie kończąca się parada eksponatów, które z muzeów uciekły na wolność.

Kuba to wyspa tajemnic. Nie ma tu niczego, a jednak jest wszystko. Nie ma lekarstw, ale wszyscy są zdrowi. Nie ma żywności, ale nikt nie głoduje. Nie ma pieniędzy, ale wszyscy są zamożni. Brakuje swobód obywatelskich, ale nie ma żebraków ani bezdomnych dzieci na ulicach.

Każdy obywatel dostaje w pracy darmowy obiad. Każde dziecko dostaje w szkole dwa posiłki. Każdy uczeń jest pionierem i przychodzi do szkoły w białej koszuli i czerwonej chustce na szyi. Kim chcą zostać gdy dorosną?

– *Seremos como el Ché!* – odpowiadają bez wahania. – Będziemy tacy jak Che!

*Kuba to wyspa tajemnic.
Nie ma tu niczego,
a jednak jest wszystko.*



Che Guevara to idealny wzór do naśladowania – młody, wykształcony lekarz, który podczas podróży po Ameryce Południowej odkrywa, że świat jest niesprawiedliwy, więc sprzeciwia się złu i próbuje je naprawić. W dodatku jest przystojny, inteligentny, uczciwy, łagodny, współczujący i kocha swoich rodziców. Jest bardziej bohaterski od Supermana, a co najważniejsze – jest prawdziwy. Nie powstał w wyobraźni pisarza ani reżysera; naprawdę żył, walczył i pisał.

Na jednej z tylnych, zapomnianych uliczek, dokąd nigdy nie docierają turyści, znalazłam księgarnię. W małym pokoju stały ciasno stłoczone drewniane regały pełne książek, które leżały też na parapetach, stołach, krzesłach i na podłodze. Między nimi drzemała nieco zakurzona Kubanka.

Obok podręcznika o gatunkach drewna z biciem serca znalazłam kilkanaście wydawnictwo naukowe PWN — **czy to nie dziwne w kraju**, który od lat prowadzi wojnę z Ameryką?...

Wczoraj wieczorem w telewizji Fidel Castro opowiadał w jaki sposób „ten, no ten, jak mu tam... Bush” znowu skompromitował się przed światem. Przy słynnym Maleconie, czyli bulwarze nadmorskim w Hawanie nieustannie trwa kampania antyamerykańska. Ostatnio powieszono tam jedno ze zdjęć opublikowanych w międzynarodowej prasie, a przedstawiające amerykańskich ołnierzy znęcających się nad irackimi więźniami. Domalowano na nim ogromną czarną swastykę.

Oryginalny numer magazynu *National Geographic* z 1930 roku, z czarno-białymi zdjęciami zimnego Tybetu na okładce, zrobił się niespodziewanie bardzo gorący. Odłożyłam go na stół i nagle zobaczyłam kompletny zestaw dzieł Che Guevary. Wzięłam do ręki pierwszy tom i otworzyłam na przypadkowej stronie. Che pisał:

„Zwyczajowym i bardzo ważnym elementem wyposażenia żołnierza jest tytoń – w postaci papierosów, cygar czy też fajki. Dym z tytoniu jest wspaniałym towarzyszem samotnego żołnierza”.

Pochwała palenia tytoniu i uzależnienia od nikotyny napisana przez lekarza, w dodatku od dzieciństwa chorego na astmę!

Nie mówiłam, że Kuba to wyspa tajemnic? Przyjechałam na Kubę po to, żeby odkryć prawdę. Jak się wkrótce potem okazało, moimi towarzyszami w tej podróży mieli być Flegmatyczny Anglik, Szalony Hiszpan i niezliczone zastępy tajnych agentów.



Pięćdziesięcioletnie samochody
są tak samo wiecznie młode,
jak kubańska rewolucja.
Wyglądają jak triumfalna,
nie kończąca się parada
eksponatów, które z muzeów
uciekły na wolność.



ROZDZIAŁ 2

Wielbłądy w Hawanie

To był potwór. Ogromny, długi, garbaty, ryczący i różowy jak landrynka. Wylonił się zza zakrętu dysząc wielką paszczą, a potem stanął przy krawężniku, wypływając z siebie małe ludziki. Wyglądali jak niejadalne resztki większego obiadu. Mnie też czekał ten los. Garbaty potwór zwany wielbłądem – *camello* – to najtańszy i największy hawański autobus miejski zrobiony z masy żelaza do-czepionej do kawałka ciężarówki.

Odważnie stanęłam w tłumie udeptującym chodnik. Kubańczycy tworzyli teoretyczną kolejkę, bo każda nowa osoba rzucała w tłum sakramentalne pytanie:

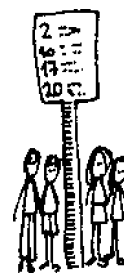
– *Último?* Kto jest ostatni?

– *Soy yo!* – odpowiedziałam podnosząc rękę. – To ja!

I od razu poczułam się lepiej, bo przyjemnie jest pomyśleć, że kolejka narasta z tyłu, a nie przede mną. Tak mi się przynajmniej wydawało. Dzień był gorący, Kubańczycy nie stali sznurkiem jeden za drugim, tylko rozproszeni w nielicznych plamach cienia, zajęci lizaniem lodów lub ponadczasowym spoglądaniem w horyzont. Trzeba umieć czekać jeśli się jest Kubańczykiem. Każdy gość na Kubie szybko powinien się tej sztuki nauczyć.

Po godzinie, kiedy zaczęłam już usychać z pragnienia, a moje nogi wędły pod ciężarem plecaka ze sprzętem fotograficznym i filmowym, z którym nigdy się nie rozstaję, nagle tłum drgnął. Odszukałam oczami Kubankę w czerwonej bluzce i twarzy pomarszczonej jak świeżo zaorana ziemia. Rzuciła mi podekscytowane spojrzenie. Zza zakrętu wytoczył się potwór.

Z przodu miał wyszczerzoną maskę czołgopodobnej radzieckiej ciężarówki, do której doczepiono trzeszczące, nienaturalnie wygięte żelazne ciało. Konstruktor części pasażerskiej zaprojektował wewnątrz dwupoziomowe, przy



² *Último?* (hiszp., czyt. *ultimo*, z akcentem na „u”) – ostatni, tu w znaczeniu: kto jest ostatni w kolejce?



*Garbaty potwór zwany
wielbłądem – camello
– to najtańszy
i największy autobus
zrobiony z masy żelaza
doczepionej do kawałka
ciężarówki.*



czym wyższy poziom występuje w części przedniej i tylnej, a pośrodku podłoga wraz z dachem drastycznie opada, przez co pojazd wygląda tak, jakby oprócz adunku pasażerów nosił również na sobie dwa wielbłądzie garby. Dzięki temu był nieprawdopodobnie długi.

– Miramar? – zapytałam mojej znajomej Kubanki. Miramar to nazwa dzielnicy w Hawanie.

– *Si, si* – odpowiedziała, zaciskając w garści dwie siatki i rękę towarzyszącej jej dziewczynki.

Nagle na chodniku zrobiło się ciasno. Nikt nie wiedział w którym dokładnie miejscu zatrzyma się autobus, więc ludzie na wszelki wypadek tłoczyli się przy krawężniku, gotowi w każdej chwili przemieścić się bardziej w prawo lub w lewo. Wcześniejsze ustalanie porządku kolejki wydało mi się teraz czynnością ściśle hobbystyczną, bo kiedy nadszedł czas działania, nikt nie przejmował się kolejnością nadchodzenia, bo silniejsi i młodszy zajmowali pierwsze rzędy.

Po twarzach bił nas wiatr zmieszany ze spalinami przejeżdżających samochodów, a różowy gigant pędził po ostatniej prostej, powodując gęstnienie łokci, kolan, głów i oddechów oczekujących. Nagle tłum ruszył przed siebie jak wielka ciasno zbита kula, porywając ze sobą nawet takie obce jej elementy jak moja

skromna osoba. Nie musiałam wykonać żadnego ruchu stopami – zostałam uniesiona wraz z tłumem we właściwym kierunku i postawiona z powrotem na ziemi. Tuż przed sobą miałam Kubankę w czerwonej bluzce, której postanowiłam nie odstępować na krok – co ostatecznie mi się udało, choć ze skutkiem przeciwnym niż ten, na który liczyłam.

Rozpędzony *camello* minął przystanek, jakby go w ogóle nie zauważył. Ludźmi szarpnął gwałtowny podmuch czarnego powietrza, a potem tłum zwiotczał i rozpadł się na kawałki.

– Był pełen – powiedziała Kubanka z siatkami. – Nawet się nie zatrzymał.

– I co teraz?

– Przyjedzie następny.

– Kiedy? – zdążyłam zapytać, ale nie usłyszałam odpowiedzi, bo ludzie nagle rzucili się do biegu.

Na horyzoncie zaryczał następny różowy potwór z dwoma garbami i radziecką szczęką. Kubanka biegła ciągnąc za sobą dziewczynkę, za nimi ja, przyciskając do siebie plecak pełen sprzętu, mimowolnie dostosowując się do rytmu przeboju „Nights on Broadway”, który zalewał ulicę z głośników ustawionych na szczycie schodów wiodących do Kapitolu.

Budynek Kapitolu w sercu Hawany jest prawie identyczny jak Kapitol w Waszyngtonie. Kubańska rewolucja od prawie pięćdziesięciu lat toczy się wśród starych amerykańskich samochodów i budynków wzniesionych przez magnatów amerykańskiego przemysłu, którym rząd w Hawanie odebrał i znacjonalizował posiadłości na mocy specjalnych ustaw. Tak zaczęła się gorzka wojna między Ameryką a Kubą. A teraz biegłam ulicą w centrum Hawany, mijając kino, w którym wyświetlany jest film o Rayu Charlesie, a do biegu i walki o zajęcie miejsca w potwornym kubańskim różowym autobusie przygrywała nam instrumentalna wersja amerykańskiego przeboju zespołu Bee Gees. Wydało mi się to tak komiczne, że zaczęłam się śmiać.

– *No se preocupe!* Nie martw się! – rzuciła mi w biegu Kubanka z siatkami, myśląc pewnie, że wpadam w panikę. – Wszystko będzie dobrze!

W następnej chwili zostaliśmy wessane przez tłum Kubańczyków tłoczących się przy drzwiach. Znowu zostałam uniesiona nad ziemię, jednak tym razem z każdą sekundą oddalałam się od autobusu, tracąc z oczu nawet czerwoną bluzkę mojej znajomej Kubanki. Włączyłam do akcji łokcie i kolana, napotykając po drodze dziesiątki innych łokci i kolan, aż wreszcie zbliżyłam się do drzwi na tyle blisko, że uczepliłam się ich rękami i postanowiłam nie puszczać. Tłum musiał wyczuć moją determinację, bo przestał się opierać i zostałam wrzucona do środka. Chwycałam się za rurę, usiłując zachować równowagę. Autobus był pełen, ale wciąż wsiadali następni. Miejsca siedzące już dawno zostały zajęte przez najszybszych młodych Kubańczyków.



Wreszcie tłum przestał się poruszać i wydawało się, że jest to właściwy moment na zamknięcie drzwi i rozpoczęcie podróży, gdy nagle nad naszymi głowami ktoś zaczął krzyczeć.

– Przechodzić, przechodzić dalej! W środku jest jeszcze całkiem luźno! Przechodzić, przechodzić dalej!

Każdemu kierowcy zawsze towarzyszy asystent w białej koszuli, który przyjmuje aluminiowe monety o wartości 20 centavos, czyli opłatę za przejazd, dokumentowaną małymi biletami, którymi zasłana jest podłoga autobusu. Zadaniem asystenta jest też odpowiednie upchnięcie ludzi w autobusie, bo chętnych na przejazd jest zawsze więcej niż miejsc. A Kubańczycy po wtargnięciu do wnętrza zastygają w rodzaju cierpliwej rezygnacji.

– Przechodzić dalej, mówię wam! – ryknęła asystentka, która wspięła się na stalową barierkę i przycisnęła policzek do sufitu, żeby mieć lepszy widok na wnętrze autobusu. – Przechodzić dalej, na środku jest puste miejsce!

Na schodkach tłoczyli się ostatni pasażerowie, na chodniku czekali następni. Ludzie w środku trwali nieruchomo. Ten i ów tylko poruszył oczami.

– Przesuwać się, przechodzić do tyłu! – krzyczała asystentka kierowcy. Ludzie słuchali jej jak znanego na pamięć refrenu powtarzanego do znudzenia we wszystkich autobusach Hawany. – Przechodzić! Bo jak nie, to autobus dalej nie pojedzie!

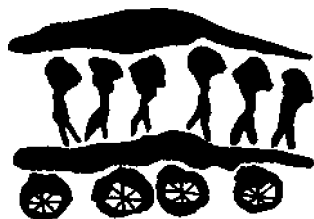
Ktoś wykonał stopą ruch, innemu Kubańczykowi drgnął mięsień w twarzy. Jeszcze kilka osób wcisnęło się do środka, pozostałe odpadły od autobusu jak dojrzale gruszki. Drzwi się zatrzasnęły. Asystentka wróciła spod sufitu na swoje miejsce. Kierowca warknął. Przepraszam, zdawało mi się. To autobus warknął ostrzegawczo, a potem ryknął silnikiem z całych sił, wypuszczając bokiem kłęby spalin. Zrozumiałam, dlaczego został przyczepiony do ciężarówki. Bo sam nigdy w życiu nie dałby rady uciągnąć kilkunastometrowej żelaznej puszki wypełnionej po brzegi ludźmi w charakterze sardynek.



*Budynek Kapitolu
w sercu Hawany jest
prawie identyczny jak
Kapitol w Waszyngtonie.*



·CAPITOLIO·



ROZDZIA, 3

Socjalizm albo śmierć

Zwisałam ze stalowej rury przyśrubowanej do sufitu, kołysząc się w rytm podskakującego autobusu, a podczas zakrętów kładąc na najbliższych pasażerów jak łańcuch zboża. Nawet gdybym chciała, nie mogłabym bardziej się zbliżyć do narodu kubańskiego. Byliśmy ekonomicznie upakowani między wystające krawędzie siedzeń i elementów konstrukcyjnych, wgnieceni w masę dotykających się pleców, łokci, toreb i bioder. Dzięki twardemu i wystającemu plecakowi niespodziewanie znalazłam przed sobą trochę wolnej przestrzeni i tlenu, co pomogło mi nie tylko zachować życie, ale i śledzić mijane ulice i wewnętrzną panoramę hawańskiego „wielbłąda”.

Podobno na Kubie panuje polityczny reżim, bieda i rozpasana prostytucja. Ciekawe ile tajnych agentów i prostytutek jest wśród pasażerów. Nie wyglądają na biednych. Noszą schludne, czyste ubrania, kobiety mają bransoletki i naszyjniki, nastolatki stoszą sobie włosy na mokry żel, a dzieci jak wszędzie na świecie bawią się zabawkami. Nigdzie nie widziałam bezdomnych, nawet w najdalszych zakątkach starej Hawany, gdzie mężczyźni patrzyli na mnie spod zmrużonych powiek siedząc w progu z cygarem w ustach.

– *Where you from?* – pytali czasem miękko, łamaną odmianą angielszczyzny.
– Skąd jesteś?⁴

– *Polonia* – odpowiadałam krótko, nie zatrzymując się, żeby nie dać im pretekstu do rozmowy.

– *No ingles? No ingles?* – dopytywali się zdumieni. – Nie mówisz po angielsku?

– *No, señor* – mówiłam z uśmiechem i szłam dalej.

– A lubisz tańczyć? – zapytał nagle jeden z nich i stanął naprzeciwko, blokując sobą przejście.



⁴ *Where you from?* = poprawnie: *Where are you from?* (ang.) – Skąd pochodzisz? Skąd jesteś?
Polonia (hiszp.) – Polska.



Wewnątrz kubańskiej megataksówki, zrobionej z przedłużonego fiata.

- Lubię – odrzekłam uśmiechając się na pożegnanie. – Dziękuję. Do widzenia.
- A jak masz na imię? Ja jestem Julio – wyciągnął rękę. – Jestem bardzo szczę-

Nie było wyjścia. Musiałam stanąć, przyjąć wyciągniętą rękę i odpowiedzieć.

– To chodź dzisiaj na tańce – powiedział natychmiast.

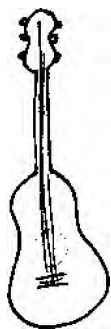
– Nie, dziękuję, jutro rano wyjeżdżam z Hawany.

– Ale dzisiaj wieczorem możesz przyjść na tańce! – nalegał. – Mój zespół występuje tu niedaleko.

Był dziwnie natarczywy. Tak jakbyśmy spotkali się wcześniej i zawarli wstęp-
 na umowę, z której ja próbuję się teraz wycofać. Zatarasował sobą przejście
 i przysunął do mnie, jakbyśmy byli starymi znajomymi. Pozostali Kubańczycy
 na ulicy nie zwracali na nas uwagi. W takich sytuacjach najlepiej jest zachować
 chłodny spokój i lekko przyjaznym tonem udawać z uśmiechem, że wszystko
 jest w porządku, ale „niestety muszę już iść, bo czeka na mnie...” ambasador,
 policjant, narzeczony lub inny równie zaangażowany mężczyzna. Rzuciłam mu
 krótkie spojrzenie.

– Grasz w zespole? – zapytałam.

– Gram na gitarze, w najlepszym klubie Starej Hawany, nazywa się *Casa de Musica*. A ty jesteś taka piękna!



Julio miał się chyba za wytrawnego hawańskiego podrywacza.

– Masz takie niebieskie oczy, takie niebieskie!... Jakich nigdy wżyciu nie widziałem!

„Nie tym razem, Julio” – pomyślałam, patrząc mu prosto w oczy. Młodzi Kubańczycy szybko proponują małżeństwa – pod warunkiem, że panna młoda posiada zagraniczny paszport.

– Być może spotkamy się, kiedy znów przyjadę do Hawany. Wtedy przyjdę na koncert twojego zespołu – powiedziałam. – Do zobaczenia!

– A dokąd wyjeżdżasz? – zastąpił mi drogę.

– Do Santiago de Cuba – powiedziałam, wybierając najdalsze możliwe miasto, znajdujące się na dokładnie drugim końcu wyspy.

– Tam też dużo tańczą!

– Wiem – odparłam, robiąc znów dwa kroki do przodu i próbując go wyminać. – Ale w Santiago de Cuba rytmy są bardziej afrykańskie niż tutaj.

– Och, i w dodatku jesteś inteligentna! – zawołał Julio.

– *Si, señor* – odparłam. – W moim kraju wszyscy są tacy. Miło było cię poznać, Julio, do zobaczenia.

Uścisnęła mi obie ręce i zajął jeszcze raz głęboko w oczy. Wydał mi się wtedy zwykłym podrywaczem, gdybym jednak przyjrzała mu się uważniej i zwróciła uwagę na twarze innych Kubańczyków „przypadkiem” znajdujących się w pobliżu, być może dałoby mi to do myślenia. Na razie jednak z ulgą wyminęłam Julia i poszłam dalej przed siebie, wprost na hasło wymalowane na murze czarną farbą: *Socialismo o muerte*. Socjalizm albo śmierć.

Znów rozejrzałam się po twarzach pasażerów w hawańskim autobusie. Czy bliżej im było do socjalizmu, czy do śmierci? Obok siedziała nastolatka w czerwonej bluzce z białym gołąbkim pokoju i napisem: „1 maja – w obronie socjalizmu”; na głowie miała czapkę z Myszka Miki i hasłem „100 lat świata Walta Disneya”. Gdyby te dwa napisy połączyć w jedno, okazałoby się, że „1 maja to stulecie świata Walta Disneya w obronie socjalizmu”. To kubańska przewrotność, beztroška czy świadomy akt polityczny?

Obok dziewczyny siedział dziesięcioletni chłopiec, tak samo jak ona zapatrzony w widok za oknem. Nagle zauważyłam coś przedziwnego: prawie wszystkie miejsca siedzące w autobusie były zajęte przez młodych ludzi – dziewczyny i chłopców, matki z wierzącymi się dziećmi, urzędników w białych koszulkach wracających z pracy. Starsi ludzie stali w tłoku, a młodzi siedzieli. Odszukałam wzrokiem moją znajomą Kubankę – w jednej ręce trzymała wypchaną zakupami siatkę i rękę towarzyszącej jej dziewczynki, a drugą zacisnęła na uchwycie, usiłując utrzymać równowagę, bo autobus właśnie zaczął hamować. Wszyscy zakołysaliśmy się jak zboże na wietrze. Kilka osób wstało, eby się precyzyjnie do wyjścia. Na zwolnione siedzenia natychmiast wskoczyli następnymi szybcy młodzi, którzy sprawnie wykonali kilka akrobatycznych





Kubańska rewolucja toczy się wśród starych amerykańskich samochodów i budynków wzniesionych przez magnatów amerykańskiego przemysłu, którym rząd w Hawanie odebrał posiadłości. Tak zaczęła się gorzka wojna między Ameryką a Kubą.

ruchów między splątanymi nogami, rękami i bagażami pasażerów. Nad ich głowami cierpliwie stali starszankowie. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, ale po chwili zdumiałam się jeszcze bardziej.

Po schodkach do wnętrza wszedł starszy pan o kulach. Niemożliwe, żeby został zignorowany. Ktoś musi pośpieszyć z pomocą – choćby ta młoda mama, obok której siedzi kilkuletni chłopiec. Wystarczyłoby wziąć go na kolana, żeby zwolnić miejsce. Ale nic takiego się nie stało. Starszy pan przez chwilę odpoczywał, ciężko oddychając, a potem podniósł jedną z kul i dotknął nią siedzącego nastolatka, pokazując mu gestem, żeby wstał. Dopiero wtedy pozwolono mu usiąść.

Ze zdumieniem odkryłam, że to nie był wyjątkowy autobus. We wszystkich następnych działało się tak samo. Kiedy zwalniało się miejsce siedzące, ludzie starsi lub objuczeni torbami nie dość szybko potrafili się przemieścić w jego kierunku, więc fotel był błyskawicznie zajmowany przez jednego z młodszych pasażerów, który sprawnie prześlizgiwał się przez tłok. Starzy ludzie cierpliwie podróżowali na stojąco. Czasem tylko któryś z siedzących młodych proponował, że potrzyma na kolanach większy bagaż, siatkę z zakupami albo ciężką aktówkę. Ale nie przyszło im do głowy ustąpić miejsca. Odniosłam wrażenie, że Kubańczycy nie potrafili okazać szacunku i pomocy ludziom starszym i słabszym od siebie. Ciekawe dlaczego.

Autobus stanął na kolejnym przystanku. Od samego początku wydawało mi się, że jedziemy w odwrotnym kierunku, ale pomyślałam, że trasa prowadzi zapewne wielką pętlą na wschód, by potem ostatecznie dotrzeć do zachodniej części Hawany, gdzie znajduje się dzielnica Miramar. Na wszelki wypadek więc od czasu do czasu odnawiałam kontakt wzrokowy z moją znajomą Kubanką w czerwonej bluzce, która uspokajająco kiwała głową. Teraz jednak zaczęła się przeciskać do wyjścia.

– *Todavía falta* – powiedziała do mnie na pożegnanie. – Jeszcze kilka przystanków.

Cierpliwość to szlachetna cecha, którą powinien posiadać każdy doświadczony podróżnik. Miałam jej pod dostatkiem, a hawański autobus typu „wielbłąd” był mi bardziej niż bliski, bo od pewnego czasu podróżowałam wgnieciona w rurę, która wydawała się już być częścią mojego ciała.

Minęło kolejne pół godziny. Zdałam sobie nagle sprawę z tego, że miasto za oknami autobusu dawno się skończyło. Wokół ciągnęło się pole, przez które pędziliśmy po wąskiej asfaltowej szosie. Czy to porwanie? Rozejrzałam się po twarzach współpasażerów, których zostało już tak niewiele, że mogłam próbować ostrożnie odkleić się od przecinającej mnie rury.

– Czy jesteśmy już blisko Miramar? – zapytałam w końcu na głos, zwracając się do najbliższego Kubańczyka.

⁵ *Todavía falta* (hiszp., czyt. todawija falta) – Jeszcze nie, jeszcze trochę brakuje (używane w różnych sytuacjach na określenie niekompletności jakiejś sytuacji lub czynności, np. przy wydawaniu reszty).





– Alamar? – zapytał ktoś potwierdzająco.
 – Miramar! – poprawiłam.
 – To jest Alamar!
 – Alamar? – powtórzyłam, wążąc to słowo w myślach. Alamar... Miramar...
 Pierwsze oznacza „przy morzu”, drugie „widok na morze”, nie przypominam sobie, żeby na mojej mapie miasta istniały dwie tak podobne nazwy.
 – Chciałaś jechać do Miramar? – zapytała nagle asystentka kierowcy.
 – *Si!* – odetchnęłam z ulgą. – Miramar!
 – Ale to jest autobus do Alamar! – powiedział ktoś i nagle ogarnął mnie chłód.
 Wyjęłam plan Hawany, rozłożyłam przed sobą i poprosiłam, żeby ktoś pokazał mi gdzie jestem.
 – Ho, ho, ho! – roześmiał się pan ze skórzaną teczką z czasów przedwojennych i wycelował palcem w szybę. – To jest o tu, daleko! Tego nie ma na mapie.
 – Musisz wysiąść i zawrócić – poradził ktoś inny.
 Za oknem po obu stronach ciągnęło się pole przykryte czarnymi chmurami, z których raz po raz strzelały błyskawice.
 – Będzie padało – zgadła asystentka kierowcy i w tym samym momencie o dach autobusu zaczęły gruchotać wielkie krople rozpędzającej się wody. Trzasnął piorun, wszyscy podskoczyliśmy ze strachu, a potem pan z teczką powiedział:

Che Guevara to idealny wzór do naśladowania – młody, wykształcony lekarz, który odkrywa, że świat jest niesprawie-

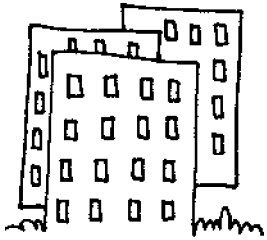
Ilirny, więcej spracznio się



– Najlepiej wysiądź teraz i poczekaj na wracający autobus.

Poczułam się jak w kreskówce. *Camello* stanął na skraju wąskiej asfaltowej drogi, otworzył cierpliwie drzwi i wszyscy Kubańczycy spojrzeli na mnie. Dśwignęłam plecak, zesłam po schodkach i stanęłam na piaszczystym poboczu. Chłostał mnie siekący deszcz nadlatujący gwałtownymi falami wraz z wiatrem. Strzelił następny piorun, błysnęła błyskawica, autobus w grobowym milczeniu zamknął drzwi i odjechał. Pobiełam przez deszcz na drugą stronę drogi, gdzie stał betonowy dach przystanku. Wkleiłam się w jego róg i ostrożnie rozejrzałam.

En defensa de socialismo, „W obronie socjalizmu” – napisano na ścianie niskiego budynku, który wyglądał jak wiejski sklep. Za nim w karnym porządku stały ponure betonowe bloki z portretem Che Guevary na froncie. Wyglądały jak kamienne więzienie zbudowane dla zapomnianych przestępców na końcu wiata. Tu mieszkali robotnicy dojeżdżający codziennie do fabryk i urzędów w Hawanie. O ich obecności świadczyły tylko nasiąknięte deszczem ubrania wywieszane za oknami do wyschnięcia. Wydawało się, że z cienia wypełźnie za chwilę żelazny smok pożerający ludzi, bo tak było pusto, cicho i cmentarnie, jakby za poruszanie się ulicą groziła kara śmierci. Nie miałam zamiaru sprawdzić czy to prawda. Stałam przytulona do betonu jeszcze przez czterdzieści minut, wśród szalejącej tropikalnej burzy i ulewy. Potem z deszczu nagle wyonił się zdziwiony „wielbłąd”, łyknął mnie do środka i przez następne półtorej godziny wiozł mnie z powrotem pod Kapitol. Hawana była mokra, pusta i chłodna. Znikli miejscowi artyści fotografujący turystów aparatami zrobionymi z tekturowych kartonów, znikły dorożki i dzieci bawiące się na schodach, znikły okrągłe taksówki kokosowe, sprzedawcy orzeszków ziemnych i kwiatów. Znikłam więc i ja.



*Nigdzie nie widziałam
bezdomnych, nawet
w najdalszych zakątkach
starej Hawany, gdzie
mężczyźni patrzyli na
mnie spod zmrużonych
powiek siedząc w progu
z cygarem w ustach.*

^o *Coco taxi* – kubański wynalazek – żółty pojazd podobny do bułki na trzech kołach, służący jako mała taksówka dla dwóch osób.



CONVOCATORIA
OPERA
ERRE
TO

Gran Teatr
de la Habana

HFN431



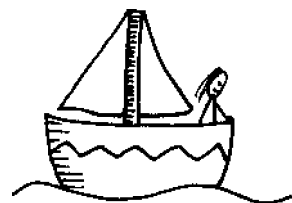
ROZDZIA, 4

Błękitna droga

Poczułam się jak faraon między bogami, odkrywając po raz pierwszy dwie równoległe istniejące kubańskie rzeczywistości. W starożytnym Egipcie świat widzialny i pozazmysłowy łączyła ścisła więź. W puszczy amazońskiej szamani nieustannie odbywają podróże między światem zwykłym a magicznym, który staje się im dostępny po zażyciu specjalnych środków. Na Kubie dwa światy trwają obok siebie, zazębiając się wzajemnie w sposób najbardziej dosłowny. Czasem nie widać tego na pierwszy rzut oka, ale wystarczy pójść na dworzec autobusowy, żeby tego głęboko doświadczyć i na zawsze zapamiętać.

Wszędzie na świecie ludzie przemieszczają się między miastami i prowincjami za pomocą transportu publicznego. Lokalne autobusy to najbardziej malownicze i pouczające miejsca, w jakich może się znaleźć turysta. W Hondurasie i Nikaragui na dalekich trasach jeżdżą stare amerykańskie szkolne autobusy o wąskich siedzeniach, w Peru trudniejsze trasy są obsługiwane przez jeepy i terenowe ciężarówki, w Kolumbii w drewnianych *chivas* o twardych ławkach ludzie mieszają się z kurami i świniami, a w Wenezueli prywatni przedsiębiorcy uruchamiają szalone autobusy pędzące na złamanie karku na najbardziej popularnych trasach w dni, kiedy nikt inny nie pracuje. Wszystkie lokalne środki transportu – statki pływające po Ukajali, łódki na Amazonce, autobusy na szosach czy ciężarówki na bocznych drogach – są dostępne dla każdego pasażera, który zapłaci za przejazd. Jest tak w prawie wszystkich krajach świata – z wyjątkiem Kuby. Bo tutaj obowiązują dwie rzeczywistości: świat Kubańczyków i świat turystów. Nieprzenikalne, ale ściśle ze sobą związane.

Kubańczycy podróżują ciężarówkami przerobionymi na autobusy, z wyglądu przypominającymi pancerne samochody do przewozu więźniów. Po obu stronach w blaszanych ścianach ciężarówki wycięto długą szparę szerokości około pół metra, dzięki której do wnętrza pojazdu dostaje się powietrze i umożliwia



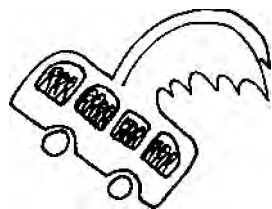


*Kubańska ciężarówka
przerobiona na autobus.*

pasażerom oddychanie. W środku do podłogi przymocowano dwie drewniane awki, resztę miejsca pozostawiając na bagaże i nogi, bo miejsca jest zawsze mniej niż chętnych do podróży, więc ludzie wypełniają ciężarówkę do ostatniego centymetra, ścieśniając się i tłocząc tak, jakby każda z tych ciężarówek była ostatnim pojazdem świata.

Ciężarówki i stare autobusy odjeżdżają z ponumerowanych zatok, do których prowadzą zamknięte bramy. W pewnym momencie z głośników na ludzi spływa długo oczekiwana informacja o gotowości do odjazdu na określonej trasie, wtedy tłum zrywa się z ławek i spod ścian, chwytają za tobołki i pędzi w wyznaczonym kierunku. Dla ostatnich na pewno jak zwykle zabraknie miejsca. Będą musieli czekać dalej, nie wiadomo dokładnie jak długo, bo rozkłady jazdy istnieją tylko w teorii. Wysłuzone autobusy i ciężarówki często się psują, zawsze jest ich za mało i nigdy nie da się przewidzieć, który zechce odjechać zgodnie z zapowiedzią.

Na dworcu w Hawanie szybko znalazłam kasy i okienko informacji, ale ich obecność była ostatnim podobieństwem do innych dworców świata. Nie mogłam kupić biletu ani stanąć w kolejce, wszyscy odsyłali mnie do drugiego kubańskiego świata, który znajdował się w małej sali na końcu korytarza. Tam przy prehistorycznej kasie siedziała urzędniczka w białej koszuli i sprzedawała bilety



na Błękitną Drogę, czyli *Viazul* – specjalną linię autobusową stworzoną dla nie-Kubańczyków. Zapłaciłam równowartość osiemnastu dolarów za mały skrawek pakowego papieru, który był jednocześnie paragonem z kasy i podstemplowanym biletem uprawniającym mnie do przejazdu niecałych trzystu kilometrów czących Hawanę z miastem Santa Clara. Poproszono mnie, żebym uprzejmie zajęła miejsce na wysłużonej kanapie i poczekała na dalsze instrukcje. Świat obcokrajowców na Kubie znajdował się daleko od zatłoczonych osobowych ciężarówek. Teoretycznie w ogóle nie było do nich wstępu, wkrótce jednak miałam się przekonać jak wygląda i pachnie taka podróż – oraz czym się kończy.

Nagle urzędniczka wstała od kasy i królewskim gestem dała obcokrajowcom zgromadzonym na kanapie tajemny znak. Wstaliśmy. Uformowaliśmy szereg. Na jego przedzie stanęła Kubanka w białej koszuli i czarnej obcisłej spódnicy. Rzuciła nam jeszcze jedno taksujące spojrzenie, po czym ruszyła przez dworzec. A my za nią, starając się nie tracić jej z oczu.

Wtedy właśnie poczułam się jak faraon w drodze do świątyni, któremu z drogi schodzą zwykli Egipcjanie. Podróżni Kubańczycy rozstępowali się przed nami jak posłuszne morze. W zatłoczonym dworcu magicznym sposobem otwierała się droga. Być może to prowadząca nas oficjalna Kubanka sprawiała ten cud, może to jej grośnie stukające obcasy albo wyzywająco biała bluzka. Robiono nam przejście przez największy ścisk, miękko i bez kłopotu przemieszczaliśmy się przez kolejne części dworca, by w końcu zatrzymać się przy żelaznych drzwiach. Urzędniczka wyjęła klucz. Zwykli Kubańczycy znów bez słowa cofnęli się o krok, aby umożliwić nam przejście. Urzędniczka otworzyła zgrzytającą bramę i przepuściła nas na drugą stronę, poza tłum ludzi, do zatoki, gdzie spokojnie stały dwa luksusowe autobusy *Viazul*. Miały przyciemnione szyby, klimatyzację, wygodne fotele i eleganckiego kierowcę.

Spojrzałam na ludzi, którzy zostali po drugiej stronie bramy, spodziewając się złych spojrzeń. Są przecież we własnym kraju, gdzie jako obywatele mają prawo spodziewać się co najmniej takich samych przywilejów jak przybysze z zagranicy, tymczasem jawnie są traktowani gorzej i nie mogą nawet okazać z tego powodu niezadowolenia. A może mogą?

Nie znoszę tego turystycznego namaszczenia, jakie panuje w luksusowych hotelach i restauracjach. Zwykle podczas podróży jak najszybciej mieszam się ze zwykłymi ludźmi, jem tam gdzie oni, piję wodę z rzeki, włączam się do rozmowy i chętnie przebieram w lokalne stroje. Moim celem nie jest podkreślanie swojej inności, ale wprost przeciwnie – wniknięcie w lokalną kulturę, żeby poznać jej prawdziwy smak na własnej skórze.

Dlatego tak bardzo przeszkadzała mi świadomość tego, że jestem traktowana jak królowa wśród gawiedzi, gdy tymczasem w rzeczywistości marzyłam tylko o tym, żeby w tej gawiedzi się zagubić i lepiej ją poznać. I nie dziwiło mnie to, że Kubańczycy na dworcu autobusowym czują gniew, widząc, że zachodni turysta





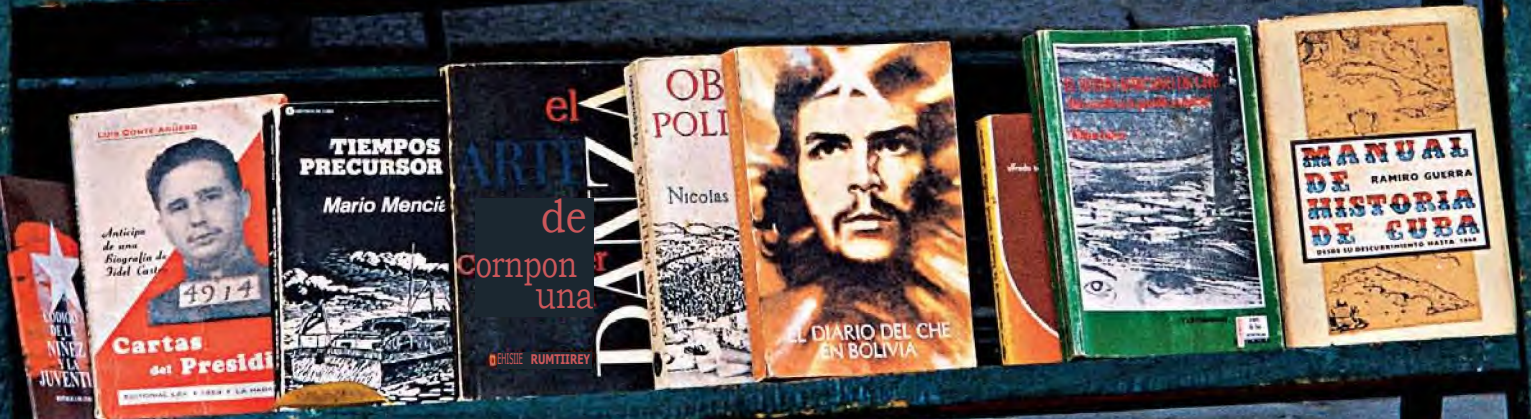
jest traktowany wyjątkowo dobrze, podczas gdy zwykli podróżni muszą czekać w kilometrowych kolejkach, tłoczyć się pod bramami broniącymi dostępu do autobusów, a potem biec z tobołkami do wąskich drzwi i ścigać się z innymi podróżnymi o możliwość wejścia do ciężarówki.

W innych krajach Ameryki ,acińskiej turysta staje do takiego wyścigu na równi z tubylcami. Na Kubie jest otoczony specjalną rządową ochroną, funkcjonującą we wszystkich sferach równolegle istniejącej rzeczywistości zorganizowanej specjalnie dla obcych. W tym świecie obowiązuje inna waluta i inne zwyczaje, jeżdżą inne samochody i autobusy, łazienki są wyposażone w gorącą wodę, a pokoje w klimatyzację. Nic dziwnego, że ceny dla przyjezdnych są mniej więcej sto razy wyższe od codziennych cen kubańskich.

Spojrzałam na drugą stronę muru oddzielającego nas, bogatych przybyszów zza oceanu, od zwykłych podróżnych kubańskich. Ktoś się uśmiechnął, jedno z dzieci nieśmiało pomachało ręką. Zdumiałam się. Popatrzyłam jeszcze raz, mielej, bardziej wyzywająco, ale znów odpowiedziały mi uśmiechy i pozdrowienia. Kubańczycy wcale nie mieli mi za złe, że tu jestem. Zachowywali się tak, jakby nie istniała między nami oficjalna urzędniczka w białej bluzce, która jako przedstawiciel władzy pilnowała granicy między światem zwykłych ludzi a przyjezdnych. Nie byliśmy obiektem gniewu, żalu ani zazdrości. Nagle głośnik zachrypiał i zniekształcony kobiecy głos zapowiedział pojawienie się kolejnego lokalnego środka transportu. Tłum zafalował zrywając się do biegu, w oddali ryczał silnik wielkiej ciężarówki, ludzie czym prędzej porywali swoje bagaże i biegli do jednej z zaryglowanych bram, przez którą zostaną wpuszczeni na arenę walki o dostęp do transportu. Cała grupa po drugiej stronie ogrodzenia znikła. Nasza urzędniczka z odpowiedzialnym wyrazem twarzy zebrała skrawki biletów i wręczyła je kierowcy, który w równie oficjalnym stroju i z poważną miną zezwolił nam na wejście do wnętrza pojazdu Błękitnej Linii. W środku było zimno i ciemno. Przez cztery godziny tęsknie patrzyłam przez lodowatą, przyciemnioną szybę na gorący świat kubańskiego słońca, od którego zostałam odcięta i czekałam na moment, gdy będę mogła rozprostować nogi i znów normalnie oddychać. Zawinęłam się w polar, włożyłam grube skarpetki i wtuliłam się w róg siedzenia marząc tylko o jednym: żeby jak najszybciej odzyskać wolność.



⁷ Na Kubie obowiązują dwie waluty: peso wymienne o wartości równej dolarowi (dla turystów) oraz peso narodowe dla Kubańczyków, patrz: słownik.





ROZDZIA, 5

Jak Che został lekarzem

Pierwszą twarzą, jaką zobaczyłam po wyjściu z autobusu, był Ernesto Che Guevara. Jego portret namalowano na ścianie wraz z najsłynniejszym cytatem: *Hasta la victoria, siempre*, co przetłumaczyłabym na polski jako „Nie spoczniemy, aż osiągniemy zwycięstwo”. Ernesto towarzyszył mi na każdym kroku od pierwszego dnia. Był w każdej księgarni, na ręcznie malowanych obrazkach sprzedawanych na targowiskach, na czapkach i koszulkach, na murach i plakatach. W tym samym czasie w Europie pokazywano film na podstawie jego „Dzienników motocyklowych”. W Wenezueli prezydent Hugo Chavez portretował się na plakatach w towarzystwie dwóch wielkich bohaterów: Szymona Bolívara i Che Guevary.

Dlaczego? Kim był ten legendarny Ernesto, któremu hołd składano na ulicach, ścianach domów i płytach nagranych przez lokalnych artystów? Na jednej z nich zawierającej piosenki i wiersze pod zbiorczym tytułem *Tu querida presencia*, czyli „Twoja najdroższa obecność”, zamieszczono dedykację: „Dla człowieka, który jest kochany i obecny wśród nas, i który był inspiracją do powstania tej muzyki i strof. Dla Ciebie, Che”. Dlaczego? Dlaczego tak go kochają? Bo był rewolucjonistą? Ale czy naprawdę chodzi o żywego człowieka, czy to tylko jeden z przejawów propagandy kubańskiej skierowanej do samych Kubańczyków?

Ernesto Che Guevara – Argentyńczyk z tykwą w ręce, z której popijał *yerba mate*, ołnierz w zielonej kurtce z kieszeniami, lekarz, który specjalizował się w leczeniu trądu, ale w górach praktykował też jako dentysta, prezes banku składający swój podpis na kubańskich banknotach, biedak i naciągacz podczas swoich podróży po Ameryce Południowej, gdzie odkrył, że świat jest urządzony nieuczciwie i niektórzy ludzie



⁸ Szymon Bolívar (1 783–1830) – bohater narodowy kilku krajów Ameryki Południowej, który doprowadził do wyzwolenia spod władzy hiszpańskiej najpierw Wenezueli (1821), potem także Peru i Boliwii. Marzył o tym, aby założyć Zjednoczoną Amerykę Południową, ale stracił poparcie swoich sojuszników, gdy obwołał się dyktatorem. Zrzekł się władzy, a jego ojczyzna Wenezuela zakazała mu powrotu do kraju. Zmarł na gruźlicę w Kolumbii. Nazywany „Ojcem niepodległości i „Jerzym Waszyngtonem Ameryki Południowej.



Kim był ten legendarny Ernesto, któremu hołd składano na ulicach, cianach domów i płytach nagranych przez lokalnych artystów?



cierpią, od dziecka nękany atakami astmy. Pewnego dnia zrozumiał, że igła strzykawki przynosi ulgę i wybawienie. Miał wtedy cztery lata.

Czy był lwem w politycznej dżungli świata, czy uzdrawiającym szamanem, który wierzył w moc swoich idei? Musiałam to sprawdzić. Po to przecież przyjechałam na Kubę – żeby odkryć prawdę.

Pierwsza wojna Ernesta Che Guevary zaczęła się, kiedy miał 2 lata. Jego rodzice po ślubie postanowili spędzić miodowy miesiąc w jednej z najbliższych części Argentyny – w północnej prowincji Misiones. Polubili jej wilgotny, tropikalny klimat, pola *yerba mate*, spokój i dziewiczość przyrody. Tutaj założyli swój pierwszy dom i doczekali się dzieci. Mały Ernesto z otwartymi ustami słuchał opowieści o swoim dziadku, który jako inżynier został wysłany do pracy na dzikich pustkowiach Chaco w południowej Argentynie, gdzie jego życiu zagrażali wrogo nastawieni Indianie miejscowych plemion, brak wody i choroby. Ernesto razem ze swoimi siostrami i braćmi spędzał całe dni na pobliskich plantacjach ostrokrzewu paragwajskiego⁹, a wieczorami rodzina wspólnie siadała do kolacji, na którą w lepsze dni podawano mięso pieczone nad ogniem, czyli tradycyjne argentyńskie *churrasco*¹⁰.

⁹ Ostrokrzew paragwajski – *Ilex paraguariensis* – roślina, której wysuszone i rozdrobnione liście służą do przygotowywania naparu *yerba mate*, popularnego w czterech krajach Ameryki Południowej: Brazylii, Paragwaju, Urugwaju i Argentynie.

¹⁰ *Churrasco* (hiszp.) = różne gatunki mięsa pieczone nad ogniem, w wersji najprostszej nadziane na kije wbite w ziemię wokół ogniska.

W maju 1930 r., czyli miesiąc przed swoimi drugimi urodzinami, Ernesto miał pierwszy atak astmy, która odąd będzie mu towarzyszyć przez całe życie. Rodzice próbowali znaleźć dla niego idealny klimat – przeprowadzili się do Buenos Aires, potem do górskiej miejscowości Villa Allende, z powrotem do Buenos Aires, znów w góry do Argüello, aż w końcu osiedli na jakiś czas w miasteczku Alta Gracia założonym przez jezuitów u stóp łańcucha górskiego Sierras Chicas w prowincji Cordoba, gdzie wynajęli nawiedzony przez duchy dom Villa Chichita przy ulicy Avellaneda.

Druga wojna Ernesta Che Guevary wybuchła kiedy miał osiem lat. Toczyła się w dalekiej Europie między liberałami a konserwatystami hiszpańskimi. To była ta sama wojna, którą jako reporter obserwował inny Ernesto – Hemingway. Wieści z wojny

domowej w Hiszpanii docierały do Argentyny z pierwszej ręki: od wujka Cayetano

Cordoby Iturburu, dziennikarza i członka Partii Komunistycznej, który przysyłał regularne korespondencje z wydarzeń na froncie. Dla bezpieczeństwa i z powodów konspiracyjnych kierował je najpierw do swojej żony, która mieszkała wtedy z rodziną Guevarów i przekazywała je dalej do redakcji. Relacje polityczne Cayetano mijały się z jego prywatnymi listami i wierszami, a więc hiszpańska wojna domowa widziana oczami dziewięcioletniego Ernesta miała ludzką twarz i zafascynowała go tak, jak dzisiaj chłopcy w jego wieku pasjonują się wyścigami samochodowymi i podróżami w kosmos. Czytał wszystkie dostępne gazety, zbierał wycinki prasowe, zdjęcia i informacje, budując z nich pierwszy obraz świata dorosłych.

Pozostałą wiedzę o życiu czerpał z książek Juliusza Verne’a, Aleksandra Dumasa, Cervantesa, Stevensona i Emilia Salgari . Wyobraźnię rozpalaly mu wspomnienia

babci Any, która opowiadała o życiu, jakie wiodła w Kalifornii w Stanach Zjednoczonych, a ciotka Beatriz dolewała oliwy do ognia opowieściami o wróżkach i księżniczkach. Podczas wakacji pojechał na wieś uczyć się dojenia krów, ujeżdżania koni, robienia mleka, masła i sera, powalania uciekającego bydła i wypalania mu na skórze znaków właściciela.

Wojna w Hiszpanii skończyła się porażką republikanów, którzy ulegli przeważającej sile wojsk dowodzonych przez generała Franco. Jego przeciwnicy uciekali z kraju, szukając nowej ojczyzny. Najłatwiej było im budować nowe życie w miejscu, gdzie ludzie mówili tym samym językiem – dlatego tak chętnie przybywali do Ameryki Łacińskiej. Wsiadali na statki płynące przez ocean i lądowali w wielkich portowych miastach – takich jak Buenos Aires czy Rio de Janeiro. Przywozili ze sobą kufry i skrzynie pełne europejskich naczyń, instrumentów muzycznych, książek i innych skrawków minionej rzeczywistości. W Argentynie nie byli zupełnie obcy – bo przecież pod koniec XVIII wieku przybyła tu wielka pierwsza fala imigrantów, która z tęsknoty za ojczyzną i z marzeń stworzyła zupełnie nowy gatunek muzyki – tango. Początkowo bawiło biednych robotników portowych, z czasem podbiło salony całego świata.



¹¹ Wojna domowa w Hiszpanii (1936–39) – rozpoczęła się od przewrotu wojskowego, którym generał Francisco Franco obalił rząd republikański. Popierany przez faszystowskie Włochy i nazistowskie Niemcy, obwołał się dyktatorem i rządził Hiszpanią przez prawie 40 lat.

¹² Emilio Salgari = włoski pisarz, autor młodzieżowych powieści o piratach, twórca postaci Sandokana.



*Ernesto Che Guevara
był lekarzem
specjalizującym się
w leczeniu trądu,
praktykował też jako
dentysta.*

Ernesto Guevara Lynch i jego żona Celia de la Serna y Llosa – rodzice naszego Ernesta – wyprowadzili się w końcu z nawiedzanego przez duchy domu i wynajęli inny. Wkrótce potem do miasta Alta Gracia leżącego niedaleko Cordoby w środkowej Argentynie wprowadziła się rodzina uciekinierów z Hiszpanii. Ernesto zaprzyjaśnił się z ich synami i poznał ich ojca, doktora Juana Gonzáleza Aguilara, przyjaciela obalonego prezydenta i byłego dowódcę sekcji zdrowia hiszpańskiej marynarki wojennej. Drugą ważną osobą w jego życiu stał się wtedy inny Hiszpan – generał Enrique Jurado, bohater bitwy pod Guadalajarą, gdzie pokonał wojska przysłane do Hiszpanii przez Mussoliniego. Podobno generał Jurado ze skromnością opowiadał o swoich wyczynach, podkreślając zasługi żołnierzy pod jego komendą, a Ernesto siadał naprzeciwko niego i chłonał wojenne opowieści jak gąbka. A kiedy imigranci, licząc na szybki upadek reżimu generała Franco, zaczęli przygotowywać akcje propagandowe, całym sercem i duszą włączył się do pomocy.

W Europie jednak pojawiło się nowe zagrożenie – Adolf Hitler, który aktywnie szukał poparcia dla swoich idei także w Ameryce Południowej. Argentyńczycy zaczęli organizować antynazistowskie stowarzyszenia *Acción Argentina*, do których przyłączali się członkowie różnych partii politycznych. Ojciec Ernesta zorganizował grupę „Akcji Argentyńskiej” w rodzinnym mieście Alta Gracia, a Ernesto Junior zapisał się do młodzieżowego odłamu tej grupy. Dostał legitymację i wyruszał wraz z ojcem na wielce przygodowe wyprawy w poszukiwaniu śladów nazistów w prowincji Cordoba. Po drodze widzieli na przykład dziwne kamienie, które niedawno ktoś pomalował świeżą białą farbą albo odkrywali nowiutkie drogi zbudowane na niezamieszkanym pustkowiu i prowadzące na szczyty dzikich wzgórz. Po pewnym



czasie zorientowano się, że w pobliżu każdej drogi, mostu i przejazdu kolejowego mieszka zwykle jakiś sympatyk nazistowskich Niemiec, czasem oznajmiający swoje poglądy za pomocą flagi ze swastyką.

Ernesto miał wtedy jedenaście lat. To była jego trzecia wojna. Mimo że toczyła się daleko w Europie, była obecna w jego domu i podczas wieców i spotkań organizacji *Acción Argentina*, na których przemawiał ojciec.

Do siedemnastych urodzin dzielił swój czas między szkołę a wiadomości o postępach wojsk aliantów dobiegające z Europy. W tym samym czasie zaczął też hodować kanarki, pływał, grał w rugby, piłkę nożną, szachy, tenisa i w ping-ponga – na specjalnie dla niego zbudowanym stole. Był tak zwinny i szybki, że wygrał lokalne rozgrywki i zdobył tytuł mistrza. Rodzina Guevarów mieszkała wtedy w domu blisko parku w Cordobie.

Podczas wakacji udało mu się przekonać rodziców, żeby pozwolili mu pojechać na winobranie w okolicznych plantacjach. Podczas zbiorów zarobił swoje pierwsze pieniądze i – zgodnie z obietnicą, którą złożył rok wcześniej swojej babci Anie – całą wypłatę dał jej w prezencie. Wydawał się dość normalnym chłopcem – choć jeden z biografów twierdzi, że jako nastolatek namiętnie zaczął pochłaniać książki znalezione w bibliotece rodziców, a wśród jego lektur znalazła się nie tylko literatura zwykle pociągająca młodych czytelników – choćby taka jak Jack London, John Steinbeck czy Pablo Neruda, ale także dzieła Freuda, Junga, Marxa, Engelsa i Adlera¹³. Być może sprawiła to wojna. A może snobowano się na modnych francuskich poetów, takich jak Mallarmé, Verlaine czy Baudelaire, którzy w dalekim i egzotycznie brzmiącym Paryżu wydawali nowe tomiki poezji.

Ernesto miał już wtedy za sobą swoje pierwsze historyczne zetknięcie z Kubą, które nastąpiło dzięki światowej sławy kubańskiemu szachiście José Raúlowi Capablance, o którym pisały argentyńskie gazety.

W poszukiwaniu swojej drogi przez życie nie zapragnął jednak pójść śladem pisarzy, poetów ani filozofów. Postanowił studiować inżynierię i w 1946 r. rozpoczął studia na uniwersytecie w Buenos Aires, zamieszkując u swojej babci Any i ciotki Beatriz. Obecność tych dwóch kobiet miała wpływ na jego dalsze losy, bo kilka miesięcy później babcia zachorowała i zmarła, a Ernest – widząc z bliska jak kruche może być ludzkie życie – postanowił zostać lekarzem.

Poświęcał się nauce z taką samą pasją jak wcześniej wojnie: w marcu zdał egzaminy z pierwszego roku, w czerwcu – z drugiego, a w grudniu zaliczył trzeci rok studiów. Jedyne, co rozpraszało mu myśli, to miłość. Zakochał się w dziewczynie imieniem Carmen i nauczył się dla niej „Dwudziestu wierszy miłosnych i jednej pieśni rozpaczki” Pabla Nerudy. Recytował je z pamięci, ale okazało się, że ta jedna końcowa pieśń jest silniejsza od dwudziestu poematów. Ernesto rozstał się z Carmen – i nie była to ostatnia bolesna miłość w jego życiu.



¹³ Alfred Adler (1870–1937) – austriacki psycholog, utrzymujący, że motorem działania człowieka jest nie pęd płciowy (jak uważał Zygmunt Freud), ale dążenie do uzyskania przewagi emocjonalnej nad innymi ludźmi. Swoim pacjentom cierpiącym na niską samoocenę zalecał działalność społeczną.





ROZDZIA, 6

Dzienniki podróży

Po powrocie z każdej wyprawy czuję się tak, jakbym przeżyła dodatkowe życie, które włącza się do wszystkiego, co już o świecie wiem i myślę. Pogłębia się perspektywa, poszerza horyzont, serce i dusza rosną, nawet jeśli nie była to podróż do szamanów w puszczy amazońskiej.

Życie to nieustająca wędrówka po górach codzienności. Z każdym dniem jest ich coraz więcej – przybywa obowiązków, problemów wymagających odpowiedzi i decyzji do podjęcia. Po pewnym czasie łatwo stracić rozeznanie i umiejętność właściwej oceny wagi spraw i wydarzeń. Czasem najważniejsze wydają się te, które najgłośniej i najbardziej natarczywie domagają się rozwiązania. Życie zamienia się w wieczny pośpiech, pogoń za umykającymi godzinami i mętlik terminów, umów i oczekiwań. Łatwo się w tym zatracić i zagubić sens. Rośnie wtedy poczucie niespełnienia, rozczarowania, niechęci i niezadowolenia. Wtedy może pomóc tylko podróż.

To nie musi być wyprawa na drugi koniec świata. Wystarczy wynajęta chata na Mazurach, pokój w schronisku albo namiot w lesie. Odległość od domu nie jest istotna. Najważniejsze jest oddalenie i całkowite oderwanie się od codzienności – bez telefonów komórkowych, laptopów, podręczników menedżerskich, instrukcji obsługi nowych urządzeń ani żadnych innych rekwizytów nawiązujących do świata, który zostawiamy za sobą.

Po kilku dniach dziwnej niepewności i pewnego rodzaju rozterki spowodowanej nadmiarem wolnego czasu i czystego powietrza, pojawi się nagle perspektywa i horyzont. Góry codzienności, które zostały daleko za nami w miejscu pracy i wydawały się takie wysokie, zbyt strome i identycznie niedostępne, niespodziewanie zrobią się mniejsze, a niektóre w ogóle znikną.



Z odległości będzie wyraźnie widać, na które warto się wspinać, a które były tylko fatamorganą.

Dlatego dobrze jest co jakiś czas wziąć choćby kilkanaście dni wolności i wyjechać w podróż – chodzić, oddychać, myśleć i bratać się z przyrodą. To pozwala odzyskać spokój i właściwą perspektywę wobec wszystkich spraw, nawet tych najtrudniejszych.

A poza tym podróż sprzyja filozofii, nowym pomysłom i rewolucjom – zarówno w życiu prywatnym, jak i na arenie międzynarodowej. Wydaje mi się, że wszyscy ludzie, którzy wnieśli coś do rozwoju naszej cywilizacji i zapisali się w historii – zarówno pozytywnie, jak i negatywnie – mieli doświadczenia z podróżowaniem. Bo jest to stan wyzwolenia umysłu i ciała, w którym rodzą się nowe idee. Może więc napiszę książkę o wpływie podróży na dzieła wielkich twórców i myślicieli. Tak czy inaczej, bez zaskoczenia odkryłam, że Ernesto Che Guevara spędził dużo czasu w podróży i zwiedził pół świata – od krajów Ameryki Południowej, przez Europę i Azję aż po Afrykę. Z każdej podróży wracał bogatszy o nowe przemyślenia, wnioski i znaki zapytania, na które próbował znaleźć odpowiedzi. Stąd wzięła się jego idea stworzenia państwa, w którym dla wszystkich ludzi życie będzie sprawiedliwe. To tak niewiele – tylko dobra praca uczciwego robotnika i równie uczciwy pracodawca, który płaci dobrą pensję. To takie proste, że aż niemożliwe.

Pierwsza podróż Ernesta rozpoczęła się pierwszego stycznia 1950 roku. Miał wtedy 22 lata. Wsiadł na motocykl i pojechał na południe od Buenos Aires – przez dwanaście prowincji Argentyny od Salta po Cordobę, pokonując w sumie 4500 kilometrów. Jego zdjęcie na motocyklu – na prośbę firmy go produkującej – zamieszczono w piśmie *El Gráfico*. Po pierwszych czterdziestu godzinach dotarł do domu swoich przyjaciół – braci Tomasa, Gregorio i Alberta Granado. Ten ostatni był z wykształcenia farmaceutą i prowadził małą aptekę w miejscowości San Francisco de Chañar, znanej w okolicy z miejscowego leprozorium¹¹. Jako studentowi medycyny pozwolono mu wejść do środka i Ernesto spędził jakiś czas z chorymi na trąd, rozmawiając z nimi i starając się zrozumieć ich położenie. Podczas podróży człowiek często instynktownie porównuje życie innych ludzi do swojego; myślę, że Ernesto też to robił i dlatego tyle czasu spędzał na rozmowach. W końcu jednak wyruszył w dalszą drogę – przez Santiago del Estero, Loreto (gdzie zaproponowano mu pracę znachora, bo w okolicy nie było żadnego lekarza), Tucumán i do Salta. Po drodze zanotował:

„Po obu stronach szosy rośnie bujna roślinność podobna do tropikalnej dżungli, ze strumykami i bagniskami, przez co cała okolica wygląda jak puszcza amazońska. Wchodzę do tych naturalnych ogrodów, idę między lianami, paprociami i czuję, że przyroda śmieje się z nas, że tak mało o niej wiemy. Wydaje mi się, że za chwilę ciszą rozedrże ryk lwa, syk węża albo galop jelenich kopyt – i nagle rzeczywiście słyszę

¹¹ Leprozorium (z łaciny *leprosus* = trędowaty) = zamknięty zakład leczniczy dla chorych na trąd.





odległy hałas – i uświadamiam sobie, że to ciężarówka wjeżdżająca z mozołem pod górę. Rzęzenie jej silnika natychmiast przywróciło mnie do rzeczywistości”.

W następnym mieście napisał: „Mam już dosyć tego piękna, tak jakbym się przejadł słodką czekoladą. Przyjechałem do Jujuy umordowany, ale ciekaw jak z bliska wygląda legendarna gościnność tego miejsca”.

I trochę później: „Zapytano mnie co widziałem po drodze. Pytanie bez odpowiedzi, bo przecież nie chodzi o katedry ani muzeum. To tylko błyszcząca przykrywka dla turystów, a prawdziwą duszę każdego miejsca można znaleźć tylko w lokalnym szpitalu wśród chorych ludzi, wśród więźniów w areszcie albo w rozmowie z przechodniem na ulicy”.

Po powrocie do Buenos Aires Ernesto znów poświęcił się nauce, studiowaniu i zgłębianiu tajników medycyny. Po zajęciach pracował w klinice doktora Salvadora Pisani, zaprzyjaśnił się z jego znajomymi i rodziną, a matka doktora – Ramona Mafalda – specjalnie dla Ernesta piekla jego ulubione ciastka z płatków owsianych i placek kukurydziany. W małym pokoju, gdzie mieszkał z bratem, mieściło się piętrowe łóżko, szafa, dwie półki z książkami, komoda, stół i mniejszy stolik, na którym piętrzyły się stosy książek. Ale znalazło się też miejsce dla klatek ze zwierzętami, na których Ernesto przeprowadzał eksperymenty, co wzbu-





dziło zresztą panikę wśród sąsiadów, zarzucających mu szerzenie tajemniczych chorób i epidemii.

Ernesto znów się zakochał. Najpierw był gościem na ślubie swojej byłej – Carmen, a potem zaręczył się Marią del Carmen, zwaną przez przyjaciół Chichina. Znowu jednak zwyciężyła chęć podróżowania i poznania świata. Obiecał Chichinie, że będzie do niej pisał często listy i wyruszył w drogę – tym razem jako lekarz na pokładzie statku *Florentino Ameghino* i później na *Annie G*. Popłynął do południowej Argentyny, potem Sao Paulo w Brazylii, do Wenezueli i na wyspy Trinidad i Tobago na Morzu Karaibskim. Po powrocie do Buenos założył pismo *Tackle*, w którym pisywał pod pseudonimem Chang Cho, uczył się, studiował, pracował, spotykał się z Chichiną... i planował kolejną wyprawę.

W październiku 1951 roku napisał w dzienniku: „Pojechałem na weekend do Cordoby, usiedliśmy z Alberto Granadą pod winoroślą, piliśmy yerba mate z cukrem i rozmawialiśmy o tym jak to jest wżyciu. A potem zaczęli-

całą Azję”.

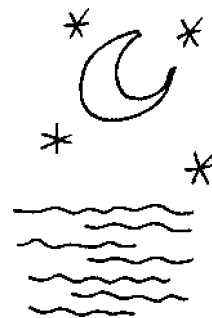
29 grudnia obaj wyjechali z Cordoby na starym motocyklu, któremu nadali dumną nazwę *Poderosa II*, czyli Wspaniały. Dla swojej narzeczonej Chichiny kupił szczeniaka o imieniu Wróce, zapakował go do plecaka i pognął w dal.



Tysiąc dwieście kilometrów później napisał: „Była pełnia księżyca, który odbijał się w oceanie i falach. Siedzieliśmy na wydmie zapatrzeni przed siebie. Dla mnie otwarte morze zawsze było przyjacielem, któremu mogłem bezpiecznie powierzyć wszystkie tajemnice i udzielającym najlepszych rad, które każdy sam odczytuje z szumu fal. Dla Alberta był to zupełnie nowy widok. Mając trzydzieci lat po raz pierwszy zobaczył Ocean Atlantycki, siedział więc w pełnym przejęciu milczeniu i śledził oczami każdą kolejną falę rozbijającą się w nicosć na plaży. Widziałem, że poczuł nagle cud odkrycia, że oto otwierają się przed nim nieskończone drogi do każdego zakątka świata. Nawet Wróćę, otwierając swój mały pyszczek, wpatruje się w srebrne wstążki fal, które co chwilę pojawiają się przed jego oczami. Ten szczeniak jest symbolem i wojownikiem – symbolem tego wszystkiego, co trzyma mnie w miejscu, skąd wyruszyłem; i wojownikiem, który przewycięża kolejne nieszczęścia: dwa upadki z motoru, podeptanie przez konia i nieustającą biegunkę”.

Jechali dalej przez góry i wioski, jedząc kolacje z pieczonej jagnięciny i przez sad czereśniowy, gdzie wspięli się na drzewa i jedli owoce wprost z gałęzi – tak długo, aż nie mogli zjeść więcej. Barką przepłynęli przez jezioro do Chile, spotykając po drodze turystów z Brazylii i grupę europejskich naukowców, szybko nabierając smaku do chilijskiego wina, które sprowadziło na nich gniew całej wioski, gdy pijany Ernesto zbyt natarczywie domagał się całusa od żony jednego z mężczyzn. W popłochu uciekli z miejscowej potańcówki, by następnego dnia cierpieć z powodu niestrawności. Znaleśli nocleg w domu przyjaznych Niemców. „Wieczorem dostałem ataku mdłości, którego w żaden sposób nie mogłem powstrzymać. Wstydziłem się zabrudzić miednicę wstawioną nam do pokoju do mycia, więc wychyliłem się przez okno, żeby tam wyrzucić w ciemność wszystko, co od wielu godzin boleśnie ugniatało mój żołądek. Następnego ranka wyjrzałem przez to samo okno i dwa metry poniżej zobaczyłem wielki metalowy półmisek, na którym suszyły się brzoskwinie – pod nowym malowniczym przykryciem. Czym prędzej wsiedliśmy na motor i odjechaliśmy”.

Dwa tygodnie później w Valparaiso został wezwany do chorej staruszki, którą wyrzucono z pracy z powodu choroby. „W takich przypadkach lekarz czuje się jak obcy element w dziwnym świecie, do którego nie pasuje. Chciałby to zmienić i naprawić niesprawiedliwość wyrządzoną tej starej kobiecie, która jeszcze miesiąc temu pracowała jako służąca. Właśnie w takich sytuacjach – kiedy człowiek jest świadkiem ostatnich godzin życia ludzi, którzy nie sięgają wyobraźnią dalej niż do jutrzejszego dnia – widać głęboką tragedię losów klasy robotniczej na całym świecie. Kiedy w tych umierających oczach widzę pokorne przeprosiny i ostatnią desperacką prośbę o pocieszenie. Jak długo jeszcze może trwać świat zbudowany na bazie podziałów klasowych...”





ROZDZIA, 7

Latający dywan

Gdyby młody Ernesto Guevara był bogaty – a przy tym równie żądny przygód – mógłby pozwolić sobie na kupowanie biletów na pociągi, statki i samoloty. Pieniądze jednak nie były jego mocną stroną. Zepsuty motocykl został oddany na złom, a Ernesto i Alberto zaczęli poszukiwać nowych sposobów podróżowania. Byli młodzi, przystojni i śmiali, i często robili z tego użytek. Wypracowali nowatorską technikę zdobywania pożywienia:

„Zatrzymaliśmy się w lokalu i jeden głośno popędzał drugiego:

– Przestań wreszcie marudzić, pośpiesz się!

Prawie od razu nawiązywała się rozmowa, bo nasz upatrzony kandydat pytał skąd jesteśmy i co tu robimy. Wtedy z wzrokiem wbitym gdzieś w przestrzeń Alberto beznamiętnie wspominał o naszych kłopotach, po czym ja włączałem się do rozmowy z pytaniem:

– A którego dzisiaj mamy?

Ktoś podawał datę, a wtedy Alberto z westchnieniem dodawał:

– Ach, co za zbieg okoliczności, minął dokładnie rok!

– Rok od czego? – pytał ktoś, a my na to:

– Rok od dnia, w którym rozpoczęliśmy tę podróż.

Alberto, który był zawsze trochę bardziej beczelny niż ja, dorzucał:

– Ach, co za szkoda, że jesteśmy w takiej kiepskiej sytuacji, bo moglibyśmy to jakoś uczcić.

Wtedy natychmiast nasz namierzony wcześniej kandydat odpowiadał, że chętnie zaprosi nas na drinka, my przez chwilę opieraliśmy się udając zawstydzonych i nieśmiałych, ale w końcu zgadzaliśmy się i siadaliśmy razem do stołu. Po pierwszym kieliszku stanowczo stwierdzałem, że nie wypiję już ani kropli więcej. Alberto głośno się śmiał, nasz gospodarz coraz bardziej natarczywie domagał się wyjaśnienia, a ja uparcie odmawiałem. W końcu zgadzałem się zdradzić mój sekret,





*Ernesto Che Guevara
spędził dużo czasu
w podróży i zwiedził
pół świata.*

mówiąc, że pochodzę z Argentyny, gdzie rygorystycznie przestrzega się obyczaju, żeby nie pić alkoholu bez jedzenia. Naturalnym odruchem naszego gospodarza było wtedy postawienie nam kolacji. System ten działał zawsze bez pudła”.

W poszukiwaniu środków transportu byli mniej wyrafinowani. W marcu 1952 r. weszli na łódź *San Antonio* „...tak jakbyśmy byli jej właścicielami. Z bagażami pod pachą udaliśmy się prosto do kwatery oficerów i tam czym prędzej zamknęliśmy się w łazience. Kiedy ktoś pukał, jeden z nas odpowiadał mocno cierpiącym głosem: »Zajęte!«. Około dwunastej w południe łódź wreszcie odbiła od brzegu, ale nasza radość była skutecznie tłumiona przez potworne wyziewy dobiegające z toalety, której widocznie od dawna nikt nie czyścił. Nie pomagał też wzmagający się upał. O pierwszej Alberto zwymiotował wszystko, co miał w żołądku, a kilka godzin później, wygłodzeni i bez nadziei na dotrwanie końca tej podróży, zgłosiliśmy się do kapitana i przyznaliśmy, że jesteśmy pasażerami na gapę.

Kapitan wezwał stewarda, kazał nas nakarmić i przydzielić jakąś pracę. Szczę-

czyszczenie oficerskiej latryny, jedzenie stanęło o mi w gardle. Kiedy przystąpiłem do pracy, czując na sobie rozbawione spojrzenie Alberta, który spokojnie w kuchni obierał ziemniaki, miałem ochotę zapomnieć o zasadach przyjaźni i żądać zamiany miejsc. To nie fair! Przecież to Alberto miał osobisty i znaczący wkład do ogromu nagromadzonych tu nieczystości!”



Podróż na *San Antonio* miała też dobre strony – Ernesto wspomina o niezwykłych nocach spędzonych na pokładzie, latających rybach, partiach kanasty i dodaje: „...oparci o barierki patrzyliś my na potężne morze, pełne zielonkawo-białych rozbłysków i każdy z nas pilotował w myślach własny samolot oblatując stratosfery marzeń”.

W tym samym czasie na Kubie generał Fulgencio Batista doprowadził do zbrojnego zamachu stanu i mianował się prezydentem, brutalnie tłumiąc demonstracje przeciwników. Ale Kuba jeszcze wtedy nie interesowała Ernesta. Zapragnął pojechać do Afryki. W porcie znaleźli odpowiedni statek, którego kapitan mimo długiej rozmowy i wielu argumentów nie zgodził się zabrać ich na pokład. „Kiedy odchodziliśmy, jeden z marynarzy w barwnej odmianie chilijskiego dialektu krzyknął za nami: »Wy migdalone migdały, lepiej przestańcie migdalić i zmigdalajcie z powrotem do waszego migdalonego kraju!«”

W poszukiwaniu nowych środków transportu, Ernesto i Alberto nadrabiali wyobraźnię: „W okolicach Iquique¹⁶ podróżowaliśmy ciężarówkami. Kiedy przyjechaliśmy do portu, słońce odbijało się w najczystszy błękit morza, które wyglądało jak scena z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, a nasza ciężarówka zdawała się być latającym dywanem, który miękko wylądował na klifie”.

Miesiąc później na innej ciężarówce podróżowali w towarzystwie dziesięciu młodych byków: „W pewnej chwili Alberto zauważył, że rogi jednego z byków znajdują się niebezpiecznie blisko głowy innego zwierzęcia i ostrzegł młodego Indianina, który pilnował ładunku. Indianin wzruszył ramionami: – I co z tego? Nawet jeśli nie wykłuje mu oczu, to i tak ten byk w swoim życiu będzie widział tylko śmieci”.

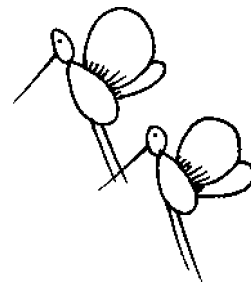
Z zakurzonych peruwiańskich dróg Ernesto i Alberto przesiadają się znów na statek płynący po rzece Ukajali. Wieczorami nękają ich stada amazońskich moskitów, Ernesto cierpi na powracające ataki astmy i pisze: „Podczas bezsennej nocy myślałem o Chichinie, która wydaje się być dalekim, pięknym snem, po którym zostały słodkie wspomnienia. Wysłałem jej w myślach łagodny pocałunek – taki, jaki otrzymałaby od przyjaciela, który ją zna i rozumie. Teraz jest pewnie ze swoim nowym narzeczoną, do którego zwraca się w swój elegancki i wyrafinowany sposób. A na niebie błyskały gwiazdy, tak jakby wysyłały mi mrugające potwierdzenie na pytanie: – Czy warto było?...”, które czało się w głębi mojego serca”.

Trzy miesiące później Ernesto wylądował na lotnisku w Buenos Aires, gdzie oczekiwała stęskniona rodzina. Wkrótce napisał: „Człowiek, który odbył tę podróż zapisując po drodze swoje wrażenia, umarł w momencie powrotu do Buenos Aires. To już nie jestem ja. Narodziła się zupełnie nowa osoba. Moje dotychczasowe podróże po Ameryce Południowej zmieniły mnie bardziej niż przypuszczałem”.

Ernesto spędził w Argentynie dziesięć miesięcy – zdając ostatnie egzaminy, uzyskując tytuł magistra medycyny i prawo do praktykowania zawodu lekarza.

¹⁵ „Migdalić, migdalony” – jak wyjaśniłam w mojej poprzedniej książce pt. „Blondynka Tao”, są to słowa zastępujące inne podobne, powszechnie uważane za obelżywe.

¹⁶ Iquique = port w północnej części Chile.





*„Rewolucja jest
możliwa tylko dzięki
człowiekowi, który
musi codziennie
rozniecać w sobie ducha
rewolucji”.*



W czerwcu zaprosił rodzinę i przyjaciół na pożegnalne przyjęcie. Ciotka Celia przygotowała na tę okazję jagnięcinę w sosie curry z pieprzem kajeńskim i ryżem. To był ostatni uroczysty wieczór Ernesta w ojczystym Buenos Aires. Siódmego lipca wsiadł do pociągu i na drewnianej ławce wagonu drugiej klasy odjechał w stronę Boliwii, by stamtąd dostać się do Wenezueli. W podróży towarzyszyli mu przypadkowi pasażerowie przewożący ze sobą kury i kaczki, paki i skrzynie, z którymi podzielił się kanapkami, krzycząc przy tym: „Oto nadchodzi żołnierz Ameryki!”. Nie wiadomo co konkretnie miał na myśli, ale zdaje się, że jego instynkt lub przeznaczenie wyprzedzały go o kilka kroków i prowadziły we właściwym kierunku.

W stolicy Boliwii trafił w sam środek rewolucyjnego zamętu. Do władzy doszedł właśnie Rewolucyjny Ruch Nacjonalistyczny, którego pierwszym zadaniem miało być przeprowadzenie reformy rolnej. Boliwia jest najbardziej indiańskim krajem Ameryki Południowej, gdzie połowa mieszkańców to Indianie czystej krwi, którzy utrzymują swoje zwyczaje i wierzenia. Przewroty polityczne i walka o władzę były zupełnie obce ich naturze. Jako rdzenni Boliwijczycy zostali jednak porwani w nurt rewolucji, a Ernesto obserwując ich w La Paz napisał w liście do matki: „Przypomniało mi się zdanie nauczyciela z Puracé, który powtarzał za pewnym Meksykaninem: jest to jedyne miejsce na świecie, gdzie zwierzęta są traktowane lepiej niż ludzie. I rzeczywiście, Indianin w świadomości białego człowieka jawi się jako dzika bestia”.

W liście do ojca żałuje, że nie będzie mógł w Boliwii zostać dłużej, bo kraj jest ciekawy, szczególnie teraz, gdy następuje w nim tak wiele zmian. Opisuje pochody ludzi na ulicach uzbrojonych w karabiny i dodaje: „Ludzkie życie nie ma tu wielkiego znaczenia. Jest dawane i odbierane bez ceregieli”.

Wszystkie sprawy zaczynają nabierać tempa i składać się w logiczną całość, która jak wielkie puzzle za chwilę wciągnie również Ernesta. Dwa dni później, 26 lipca, grupa młodych ludzi pod dowództwem Fidela Ruiz Castro przeprowadza atak na baraki garnizonu wojskowego w mieście Santiago de Cuba, położonym na wschodnim krańcu Kuby i pobliski garnizon w Bayamo.

W sierpniu Ernesto był jeszcze młodym podróżnikiem, choć bacznie obserwował przemiany zachodzące w Boliwii, komentując nawet poczynania rządu w La Paz i kolejne etapy rewolucji, ostrzegając, że jeżeli nie uda się powstrzymać korupcji urzędników, to rewolucja padnie łupem „amerykańskiego imperializmu”. Tymczasem zwiedził ruiny starożytnego miasta Tiahuanaco i wrócił na jezioro Titicaca, gdzie wynajął łódź i popłynął na Wyspę Słońca – święte miejsce w imperium Inków. W liście do matki napisał: „Właśnie spełniło się jedno z moich największych marzeń jako odkrywcy: na indiańskim cmentarzu znalazłem posążek kobiety-bóstwa, wielkości mojego małego palca, zrobiony ze stopu wynalezionej przez Inków”.

Miesiąc później po raz drugi zwiedził ruiny miasta Machu Picchu: „Nie wiem ile jeszcze będę miał okazji, żeby je podziwiać, ale te purpurowe szczyty podkreślające szlachetną szarość kamieni to jeden z najwspanialszych widoków, jakie można sobie wyobrazić”. Na odwrocie fotografii zrobionej podczas podróży i подарowanej w prezencie przyjaciółce, pisze: „Zoraido, mam nadzieję, że zawsze przyjmiesz pod swój dach tych dwóch wędrowców, którzy zmierzają przed siebie, będąc na zawsze pozbawieni zarówno przeszłości, jak i przyszłości. Ernesto Guevara i Alberto Granado”.

W Ekwadorze spotkał rodaków z Argentyny, którzy opowiedzieli mu o rewolucji, jaka właśnie odbywa się w Gwatemali i zaproponowali wspólną podróż. On sam musiał zdawać sobie sprawę z tego, że los kieruje go w bardzo określonym kierunku i prawdopodobnie w szczególnym celu, bo już z Panamy pisze: „Nie mogliśmy się zdecydować, zmieniając co chwilę zdanie w obawie przed podróżą do tego kraju – a wszystko to na skutek uwagi rzuconej żartem przez Eduardo Garcię: »Chłopaki, co tu się zastanawiać, jedźcie z nami do Gwatemali!«. Tak, już od dawna nosiłem to w sobie, potrzebowałem tylko kilku słów zachęty”.

W Kostaryce trafił na plantację bananów, której właścicielem był amerykański koncern United Fruit Co. W liście do ciotki Beatriz pisze: „Miałem okazję przejeżdżać obok posiadłości United Fruit i po raz kolejny uświadomiłem sobie, jak potworne są te kapitalistyczne ośmiornice. Przysięgłem przed portretem towarzysza Stalina, że nie spocznę dopóki te kapitalistyczne ośmiornice nie zostaną unicestwione. Pojadę do Gwatemali, żeby tam zdobyć wiedzę i doświadczenie prawdziwego rewolucjonisty”.



¹⁷ Tiahuanaco – zwane także Tiwanaku – starożytne miasto położone w Andach w pobliżu jeziora Titicaca w Boliwii, uważane za stolicę cywilizacji przedinkaskiej.

Miłość to też rewolucja. Pierwszego dnia po przyjeździe do Gwatemali Ernesto poznał Hildę Gadea, Peruwiankę na wygnaniu, członka Amerykańskiej Popularnej Partii Rewolucyjnej. Razem z nią spotykają kolejnych politycznych imigrantów, prowadzą długie rozmowy o lepszym świecie, polityce, sprawiedliwości i rewolucji, czytają książki pisarzy latynoamerykańskich, rosyjskich i chińskich; przerzucają się pomysłami i czerpią siłę ze wspólnej pracy na rzecz wyższej, słusznej idei.

Ernesto Guevara miał wtedy 26 lat. Jak każdy człowiek w jego wieku szukał w życiu potwierdzenia idealistycznych marzeń o dobrym świecie i sprawiedliwych ludziach. Podczas swoich podróży po Ameryce Południowej odkrył, że świat jest skonstruowany inaczej niż mu się wydawało: nikt nie troszczy się o ludzi chorych i ubogich, którzy w zapomnieniu próbują przeżyć kolejne dni, w milczeniu przyjmując złe traktowanie i zgadzając się na nieuczciwe warunki pracy. Pieniądz rządzi światem. Bogaci mają lepsze życie i łatwy dostęp do dóbr socjalnych. Dzięki pieniądзом można zdobyć władzę, co pozwala osiągać następne zyski. Ten kto ma pieniądze, ten ma władzę, a ten kto ma władzę, może dyktować warunki ludziom, którzy są od niego zależni.

W opozycji pojawili się myśliciele twierdzący, że jest możliwe skonstruowanie takiego państwa, gdzie dobra będą podzielone między ludzi w sprawiedliwy sposób. Każdy będzie miał dostęp do pracy i dzięki temu zyska możliwość uczciwego zarobienia na swoje utrzymanie, czym jednocześnie będzie się przyczyniał do dobrobytu całej społeczności. Nie świat utopii, gdzie wszyscy są bogaci i szczę-

kapitalizmu zasiedlonego przez pogardzane przez Ernesta „ośmiornice”.

Ernesto Guevara podczas swoich podróży zobaczył prawdziwy świat z jego brudem i niesprawiedliwością. Jako młody człowiek miał prawo przejąć się tym widokiem do głębi. Jako student medycyny tym dotkliwiej mógł odczuwać ludzkie cierpienie i dostrzegać niezdrowe warunki życia prowadzące do chorób, na które nie było lekarstwa. Ale jako inteligentny człowiek musiał rozumieć, że na

z których żaden nie jest idealny.

Ernesto bardzo dużo czytał. Do piętnastych urodzin wśród jego lektur znalazły się powieści Jacka Londona, „Dekameron” Boccaccia, „Grona gniewu” Johna Steinbecka,¹⁸ „Współczesna historia Europy”, rozprawy Marksa i Engelsa, książki José Martí, Mahatmy Ghandiego, wiersze Baudelaire’a, Verlaina, Garcii Lorki i Pabla Nerudy. Później pogłębiał swoje zainteresowania czytając teksty marksistowskie, książki Argentyńczyka Aníbala Ponce’a (m.in. „Edukacja i walka klasowa”, „Wiatr świata” i inne), „Zagubione miasto Inków” Hiram Binghama, „Socjalistyczne imperium Inków” Louisa Boutury, „ycie Majów” Franza Bloma,

¹⁸ José Martí (1853–1895) – bohater narodowy Kuby, pisarz, poeta, dziennikarz i rewolucjonista. Syn hiszpańskich imigrantów urodzony w Hawanie, który już w szkole średniej rozpoczął działalność rewolucyjną, której celem było odzyskanie niepodległości. Zginął na polu walki, w bitwie z Hiszpanami.





„Cywilizacja Majów” Sylvanusa, filozoficzne rozprawy Jeana Paula Sartre’a (takie jak „Egzystencjalizm to humanizm”, „Brudne ręce”), „Cytadelę” J.H. Cronina, powieści Dostojewskiego, Tołstoja, Czechowa i Gorkiego, wykłady rosyjskiego anarchisty Kropotkina, „Co robić?” Lenina, historię rewolucji meksykańskiej w książkach Johna Reeda, nie unikając też powieści Marka Twaina, Irvinga Stone’a czy Borysa Polewoja („Opowieść o prawdziwym człowieku” tego ostatniego autora była lekturą obowiązkową kiedy ja chodziłam do szkoły podstawowej i wydawało mi się wtedy, że to najlepsza książka świata.)

Człowiek o takim wykształceniu, rozległych horyzontach, wnikliwym umyślnym i historycznych, czytał poezję i powieści poszerzające jego rozumienie świata i ludzkiej natury, musiał sobie zdawać sprawę z tego, jak złożona jest psychika ludzka i na czym polega działanie systemów gospodarczych. Twierdził jednak uparcie, że siła woli i uczucia patriotyczne pozwolą przewyciężyć wszystkie trudności. Zalecał centralizację ekonomiczną i duchowe przewodnictwo. Zdecydowanie potępiał przedsiębiorstwa i jednostki nastawione na osiąganie dochodów i korzyści materialnych. Tak jakby nie wiedział, że tylko z przynoszącej zyski działalności można zdobyć pieniądze na pomoc dla biednych. Uważał,

*Idealne państwo to oaza
uczciwości społecznej
w oceanie bezdusznego
kapitalizmu.*



rewolucyjny entuzjazm oraz zachęcać do bezinteresownej i ochotniczej pracy na rzecz wspólnego dobra. Ernesto był inteligentnym i zdolnym do samodzielnego myślenia człowiekiem. Nie mógł nie wiedzieć o tym, że „wspólna” własność jest zwykle traktowana jako „niczyja”, bo człowiek instynktownie dokonuje wartościowania między tym co „moje” a tym, co do niego nie należy. Dotyczy to w równym stopniu ściany pomalowanej na biało, jak i przedsiębiorstwa czy sklepu. Być może wydawało mu się, że wszyscy będą czuli w sobie taki sam ogień rewolucji jak on, ale nie wierzę, że nigdy w swoim życiu nie spotkał leni, kłamców i złodziei, którzy po prostu wolą spać albo kombinować zamiast wziąć się do uczciwej pracy. Czy myślał, że odmieni wszystkich obiboków i oszustów Ameryki?

Być może, ale tylko dlatego, że dał się ponieść wyobraźni. Powiedział, że w imię osiągnięcia „socjalistycznego sumienia” należy potępić wszystkie przedsiębiorstwa przynoszące zysk oraz chęć osobistego gromadzenia majątku. Konieczna jest zmiana sposobu myślenia – by powstał „nowy człowiek”.

Ach, Ernesto, poszedłeś na całość. Całkiem jak rasowy polityk, od których tak się odcinałeś, a który wie, że plecie androny, ale ma świadomość tego, że jeśli będzie głośno krzyczał, to ktoś go usłyszy i ktoś mu na pewno uwierzy.

Myślę, że Che po prostu nie dopuszczał do siebie myśli o tym, że logicznie rzecz biorąc nie ma racji. Zachował się jak chłopiec, który widzi na horyzoncie piękną tęczę i zaczyna do niej biec, choć gdyby przywołał w pamięci naukę wyniesioną ze szkoły, wiedziałby, że do tej tęczy nigdy nie będzie miał szansy dobiec i nigdy nie schwyta jej w ręce. Ale bardziej porywa go radość tego pościgu i to, że zaczynają za nim biec inni chłopcy z boiska niż fakt, że tęcza realnie nie istnieje. Mechanizm wyparcia ze świadomości części prawdy, która nie pasuje do reszty idealnego obrazu.

Moim zdaniem Ernesto Che Guevara musiał zdawać sobie sprawę z tego, że

sia dezniewie nie jest, wpedealbobywiatozogystawozkzypitylkonidealisobudziema Ma lekarz najlepiej znał ludzkie słabości. I to właśnie on napisał: „Rewolucja jest możliwa tylko dzięki człowiekowi, który musi codziennie rozniecać w sobie ducha rewolucji. Muszą się do niego przyłączyć inni, tworząc wielką armię złożoną z jednostek, która maszeruje do wspólnego celu; jednostek, które mają świadomość koniecznych zmian; ludzi, którzy walczą o to, by z krainy potrzeby wkroczyć do królestwa wolności”.

Myślę, że Ernesto Guevara był jednym z tych młodych ludzi, którzy czerpią siłę z namiętnego pragnienia znalezienia w życiu celu, do którego będą mogli potem równie żarliwie dążyć. Napędza ich pasja i potrzeba spełnienia. Znam to trawiące jak gorączka uczucie, niecierpliwość, której towarzyszy koncentracja wszystkich myśli i sił. Ja też taka byłam i też niestrudzenie szukałam w świecie

stałpokrądnójarbędecmogłzwrocznie Argenyński spracjatozm Głabyła Lizma, zape wo e





zostałby pisarzem. Miał talent i duże doświadczenie. Codziennie zapisywał w dzienniku swoje wrażenia i przemyślenia na wiele tematów. Gdyby nie uległ kuszącej wizji zagrania na scenie życia roli bohatera z karabinem, który przynosi wolność uciśnionym, miałby szansę rozwinąć swoje talenty. Ale to rozumiało, że bardziej przemawiała do niego zabawa w policjantów i złodziei, w którą bawią się chłopcy na całym świecie. A rzadko który chłopiec ma szansę brać udział w tej grze także jako dorosły, tym bardziej obejmując dowództwo na podwórku.

Nie wątpię w szczerą intencję Ernesta Che Guevary. Myślę jednak, że pie-

ludzie ze swojej natury nie są doskonali. Gdzieś w głębi serca musiał zdawać sobie sprawę z tego, że choć ma rację i walczy w słusznej sprawie, jego zwycięstwo nie przyniesie oczekiwanych rezultatów. Być może dlatego zginął tak młodo.

W lipcu 1955 r. w domu Maríi Antonii González w mieście Meksyk spotkał młodego kubańskiego prawnika, Fidela Castro: „Poznaliśmy się w zimną

*„Socialistyczne sumienie”
wymaga, żeby potępić
przedsiębiorstwa
przynoszące zysk
oraz chęć osobistego
gromadzenia majątku.*



¹⁹ Ernesto Che Guevara został zabity w Boliwii 9 października 1967 roku, miał wtedy 39 lat.

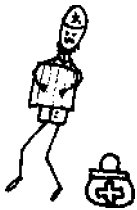
meksykańską noc i pamiętam, że nasza pierwsza rozmowa dotyczyła polityki międzynarodowej. Kilka godzin później, jeszcze tej samej nocy, postanowiłem przyłączyć się do jego grupy. Połączyła nas podobna otwartość na przeżycie romantycznej przygody, bo obaj byliśmy gotowi umrzeć na plaży w imię czystego ideału”.

To samo spotkanie tak opisuje Fidel Castro: „Poznałem Che po tym jak zostałem wypuszczony z więzienia i pojechałem do Meksyku. Już wcześniej nawiązał kontakt z kilkoma naszymi towarzyszami. Znał teorie marksizmu i leninizmu i był ich gorącym zwolennikiem, a tego, czego nie przeczytał w książkach, nauczył się od życia. Tak więc kiedy go spotkałem, był już dojrzałym rewolucjonistą, jednocześnie będąc też człowiekiem o wielkiej inteligencji i bystrym umyśle”.

Logicznie rzecz biorąc, dobry lekarz nie będzie dobrym żołnierzem, bo w krytycznym momencie powinna w nim zwyciężyć chęć ocalenia życia, a nie obowiązek odebrania go wrogowi strzałem z karabinu. Przypominam sobie jednak zdarzenie, które dobitnie świadczy o tym, że medycyna nie była prawdziwym powołaniem Ernesta Guevary. Miał naturę pasjonata, więc dopóki w jego życiu nie było nic bardziej porywającego od medycyny, poświęcał się jej bez reszty. Studiował podręczniki i specjalistyczne opracowania dotyczące alergii, prowadził badania terenowe i laboratoryjne, mieszkał z trędowatymi w leprozorium. Nie rozstawał się ze swoją torbą lekarską, słusznie uważając, że nie można przewidzieć chwili, w której okaże się ona potrzebna. Ale pewnego dnia niespodziewanie nadszedł moment dokonania wyboru, który pokazuje co naprawdę w głębi duszy było dla niego najważniejsze.

25 listopada 1956 r. Che jako jedyny obcokrajowiec wśród oddziału osiemdziesięciu jeden Kubańczyków, wypłynął na pokładzie jachtu *Granma* w kierunku Kuby. Ich zadaniem było wywołanie ogólnonarodowej rewolucji. Ernesto przyłączył się do oddziału jako szef ochrony medycznej w randze porucznika. Po tygodniu przybili do brzegu, gdzie zostali zaatakowani przez oczekujące ich oddziały armii rządowej. Z załogi jachtu przy życiu pozostało dwunastu mężczyzn, którzy dla bezpieczeństwa podzielili się na trzy mniejsze grupy. W jednej z nich znalazł się Ernesto, w drugiej – Fidel Castro, w trzeciej – jego brat, Raul.

Doktor Che Guevara uciekał wśród przelatujących wokoło kul dświgając swoją torbę lekarską i skrzynkę z amunicją. Dwa ciężkie i niewygodne pakunki przeszkadzały i opóźniały bieg. Musiał wybrać jeden z nich, drugi porzucając za sobą. Bez wahania zostawił torbę medyczną. Skrzynkę przycisnął do siebie i zaczął biec, gdy nagle został trafiony strzałem z karabinu. Poczuł ostry ból w klatce piersiowej, przez myśl przebiegło mu, że oto nadszedł koniec, ale nogi niosły go dalej. Kula utkwiała w skrzynce z amunicją. Gdyby kilka chwil wcześniej zdecydował się zabrać ze sobą torbę lekarską, zginąłby na polu chwały jako lekarz. Przeżył jako rewolucjonista, ocalony przez narzędzie służące zabijaniu.





undo me

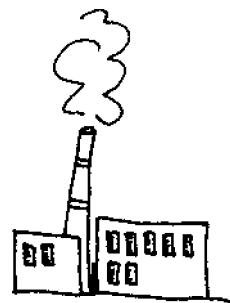


ROZDZIA, 8

Pokój do wynajęcia

Na dworcu autobusowym stanęłam twarzą w twarz w Ernestem Che Guevarą wymalowanym na ścianie. Spojrzałam mu w oczy, a potem popatrzyłam na miasto jego wzrokiem. Przez pięć dziesiąt lat prywatne inicjatywy były zakazane – zgodnie z zasadą, że nie wolno się bogacić, ponieważ różnice majątkowe szybko doprowadzają do rozwarstwienia społeczeństwa i powstania ohydnej klasy kapitalistycznych wyzyskiwaczy, którzy żerują na pracy biednych. Gospodarkę Kuby oparto na państwowych przedsiębiorstwach, które z wielkim mozołem starały się wypracować choćby minimalny zysk. Niestety, w idealnym państwie zabrakło idealnych robotników.

Ludzie w takich przedsiębiorstwach nie mieli motywacji do pracy. Każdy dostawał tę samą pensję, niezależnie od tego czy pracował dobrze, czy źle. Wystarczy sobie przypomnieć hasło obowiązujące kiedyś w Polsce: „Czy się stoi, czy się leży, dwieście złotych się należy”. „Wspólna” fabryka jest w rzeczywistości niczyja, więc ludzie rozkradają co się da: papier, mydło, narzędzia, długopisy... Nikt nie dba o meble, podłogi i ściany, które po pewnym czasie zaczynają się psuć i rozpadać, ale ponieważ nie ma pieniędzy na ich naprawę, fabryka stopniowo popada w coraz większą ruinę, co pociąga za sobą poczucie beznadziei i braku celu u robotników, przez co pracują jeszcze gorzej. Kiedy w całym państwie nie ma przedsiębiorstw działających na innych zasadach, cała gospodarka zaczyna się chwiać, a ludziom żyje się z dnia na dzień coraz gorzej. Jednocześnie rozrastała się biurokracja i liczba urzędników, których zadaniem było pilnowanie czy krnąbrne społeczeństwo właściwie wypełnia swoje obowiązki. W najtrudniejszym okresie Kubańcy jedli na obiad smażone skórki z grejfruta z gotowanym ryżem, a jedynym źródłem mięsa były szczury i koty. Coś trzeba było zrobić.





*Krawiec spokojnie
pracował przy ręcznej
maszynie do szycia
ustawionej pod
portretem Che Guevary.*



Rząd postanowił odrobinę poluzować ciasne socjalistyczne reguły. W sierpniu 1993 r. na wyspie zalegalizowano amerykańskie dolary – wolno było je posiadać, otwierać rachunki bankowe i wydawać. Miesiąc później zezwolono na zakładanie maleńkich prywatnych firm stu specjalności oraz dość swobodną sprzedaż produktów rolnych. Wtedy nieśmiało obok państwowych zniszczonych hoteli zaczęły się pojawiać kwatery prywatne. Różnica była ogromna. W hotelu obsługa pracowała jak w typowej socjalistycznej instytucji: najważniejszy był święty spokój. Gość hotelowy to przykry zgrzyt i zło konieczne, które traktuje się z wyższością i niechęcią: nieważne czy jest, czy go nie ma i jak się czuje. Właściciel prywatnego pokoju do wynajęcia podchodzi do sprawy zupełnie inaczej, bo od zadowolenia klienta zależy jego przyszłość i wysokość zarobków. Nawet Ernesto Che Guevara musiałby po namyśle przyznać, że to słuszne i logiczne.

Rząd kubański nie mógł jednak zgodzić się na to, żeby prywatni drobni przedsiębiorcy doprowadzili do upadku państwowych firm, wprowadził więc szereg drakońskich przepisów i ograniczeń. Właściciel prywatnej kwatery musi się oczywiście zarejestrować i kupić licencję. Za jej posiadanie płaci miesięcznie równowartość 100–300 dolarów, niezależnie od tego, czy uda mu się wynająć komuś kwaterę, czy nie. Jeśli znajdzie klienta, musi w ciągu 24 godzin zgłosić

to do odpowiedniego urzędu i zapłacić podatek w wysokości 10% od zysku. Jeśli tego nie zrobi i zostanie złapany przez kontrolera, grozi mu grzywna w wysokości kilku tysięcy dolarów (zamieniana na darmową pracę na rzecz państwa) oraz odebranie mieszkania i przymusowe przesiedlenie. Wszystkie mieszkania i domy na Kubie są własnością państwa. Każdy Kubańczyk miesięcznie zarabia równowartość 10 dolarów.

Dodatkowo właściciele kwater prywatnych mają zakaz promowania swoich pokoi – nie wolno im przychodzić na dworce autobusowe ani kolejowe i tam szukać klientów, nie wolno wywieszać plakatów ani reklam w żadnej postaci z wyjątkiem małej tabliczki umieszczonej na drzwiach, o standardowym kształcie i napisie, zakupionej w odpowiednim urzędzie. Najdziwniejsze jednak jest to, że mimo tych surowych zasad inicjatywa prywatna na Kubie nieśmiało rozkwita i choć wszyscy narzekają, nigdzie nie brakuje prywatnych pokoi do wynajęcia.

Na dworcu autobusowym w mieście Santa Clara za barierką oddzielającą podobnych od zwykłych przechodniów tłoczyła się grupa Kubańczyków. Na mój widok podskoczyli i zaczęli jednocześnie mówić, wymachiwać wizytówkami i rękami. Podeszłam.

– Pokój! Pokój do wynajęcia! – mówił z przejęciem młody chłopak. – Ciepła woda, klimatyzacja, blisko centrum!

Pozostali mówili dokładnie to samo, tylko głośniejsze i bardziej natarczywie.

– *Quien es el dueño?* – zapytałam. – Chcę rozmawiać tylko z właścicielem.

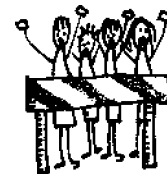
Konsternacja. Obcokrajowcy przyjeżdżający na Kubę rzadko mówią po hiszpańsku, a jeszcze rzadziej znają lokalne zwyczaje. Razem z pojawieniem się na wyspie drobnych przedsiębiorców, powstał nowy zawód *jinetero* – czyli naganiacz połączony z naciągaczem. *Jinetero* czatuje na turystów, proponując, e zaprowadzi ich do świetnej restauracji, pięknego hotelu albo na oryginalną kubańską imprezę muzyczną. I rzeczywiście zwykle wywiązuje się ze swojej obietnicy, pobierając w zamian haracz w wysokości 50% opłaty wniesionej przez turystę, przy czym ta opłata jest po cichu doliczana do rachunku. Widząc grupę zachwalających swoje usługi Kubańczyków od razu więc postanowiłam wyłączyć z nich *jineteros*. Wszyscy nagle zamilkli. Po chwili, nerwowo rozglądając się czy nie obserwuje nas policja, odezwała się blondynka w białej bluzce:

– *Yo soy* . Ja jestem właścicielką.

– Ile kosztuje pokój?

– Dwadzieścia dolarów – powiedziała nieco śmielej.

– To dziękuję – odpowiedziałam i chwyciłam za torbę. – W mieście znajdziesz tańsze.



²⁰ *Quien es el dueño?* (hiszp., czyt. kijén es el duenio?) = Kto jest właścicielem?

²¹ *Yo soy* (hiszp.) = Ja jestem.



*Przy ulicy Marthy
Abreu widziałam postój
dorożek, na którym
stała kilometrowa
kolejka chętnych
pasażerów.*

- Ile możesz zapłacić? – zapytała natychmiast, przytrzymując mnie za rękę.
- Dziesięć.
- Zgoda!

Spojrzałyśmy sobie w oczy. Przy chodniku już czekał dorożkarz, który wrzucił mój bagaż do powozu ciągniętego przez dwa konie i pojechaliśmy przez miasto. Stukot kopyt o bruk odbijał się echem od murów i szeptał do mnie coś, czego wtedy jeszcze z szumu kubańskiego wiatru nie potrafiłam odczytać. A szkoda.









ROZDZIA, 9

Kubańskie yeti

Zokna mojej facjatki zbudowanej na dachu domu przy ulicy Cespedes 15 widziałam parkan o fantazyjnych kształtach. Odcinał się wyraźnie na tle szafirowego nieba. Powyżej na sznurku kołysały się wieszaki, a sąsiadka z domu obok znowu wołała swojego syna, Cesara, który nigdy jej nie odpowiadał. Mój pokój miał dwie drzwi: jedne były przedłużeniem wąskich schodów prowadzących z parteru, a drugie otwierały się na panoramę dachów miasta Santa Clara.

Któregoś popołudnia położyłam się na łóżku patrząc na ptaki szybujące po niebie, gdy nagle zauważyłam, że przy żelaznym ogrodzeniu na dachu obok stoją buty, a nieco dalej leniwie buja się krzesło na biegunach, z którego ktoś przed chwilą wstał.

– Cesar! – usłyszałam znowu błagalne wołanie sąsiadki. Jak zdążyłam się zorientować, Cesar miał około pięciu lat, własne zdanie na każdy temat i niekonwencjonalne metody zachowania. Jego matka straciła już chyba nadzieję na nawiązanie z nim porozumienia, więc ograniczała się do przywoływania go do porządku. Cesar znowu gdzieś znikł albo się schował, a jego matka powróciła do prania w balii z zimną wodą wystawioną na mały taras.

Przymknęłam oczy, ale nagle usłyszałam miękkie kroki zbliżające się po trzeszczącej od upału blasze pokrywającej dachy domów. Może to iguana, która lubi wygrzewać się na gorącym dachu albo kot. Tyle że iguana nie potrafi się skradać, bo ma twarde, wystające pazury. Z kolei kot porusza się bezszelestnie na miękkich poduszkach na spodniej stronie łap. Mógł to więc być albo wielki tygrys, albo bosy człowiek. Zdążyłam zobaczyć tylko znikający cień. Usiadłam.

Czy to nie dziwne, że wszystkie dachy rozciągające się dookoła były płaskie i stłoczone jeden obok drugiego? Często stojące obok siebie domy miały wspólne pokrycie, rozdzielone umownie za pomocą niskiego muru albo płotu. Ale kto buduje płoty na dachach i w jakim celu?... To dziwne, ale wydało mi się, że na wysokości drugiego piętra ponad ziemią znajduje się inne miasto. Miasto kubańskiego yeti.



W dole znajdowało się miasto oficjalne, gdzie po ulicach krążyły samochody z białymi tablicami rejestracyjnymi służb bezpieczeństwa, gdzie jedzenie od ponad czterdziestu lat było reglamentowane, gdzie krawiec spokojnie pracował przy ręcznej maszynie do szycia ustawionej pod portretem Che Guevary, a konne dorożki niestrudzenie przemierzały swoje dzienne trasy.

Wewnątrz domów toczyło się drugie życie Kubańczyków – prywatne, gdzie można było komentować przemówienia Fidela Castro występującego codziennie w telewizji, gotować *congrís* – czyli ryż z czerwoną fasolą i marzyć o czasach, kiedy wołowina znów będzie dostępna wszystkim mieszkańcom Kuby.

A jeszcze wyżej, na dachach, powstało trzecie miasto. Tylko dla wtajemniczonych. Na dachach mieszkali też *gatoneros* – ludzie-koty, którzy nocą wędrowali ponad miastem i kradli ubrania, anteny telewizyjne, meble.

Od tej pory w mojej facjatce nie czułam się już sama i zamykałam na noc drzwi prowadzące na dach.

Santa Clara to miasto Ernesta Che Guevary. Tutaj tuż po świętach Bożego Narodzenia 1958 roku jego oddział złożony z trzystu partyzantów pokonał armię trzech tysięcy rządowych żołnierzy i przejął wojskowy pociąg pełen broni, co doprowadziło ówczesnego prezydenta do przyznania się do ostatecznej klęski. Dwa dni później, w dzień Nowego Roku uciekł z kraju.

Na wielkim placu przy Alei Defilad łopoczą ogromne biało-niebiesko-czerwone kubańskie flagi. Ponad nimi stoi pomnik Che – w czapce, z karabinem, zatrzymany w pół kroku. Weszłam do muzeum. Na ścianie wisiało duże powiększenie czarno-białego zdjęcia trzyletniego Che na nocniku. Obok stało krzesło z jadalni jego babci, w gablotach wystawiono elementy jego prywatnego życia: fartuch lekarski, narzędzia dentystyczne, którymi leczył zęby rewolucjonistów w górach Sierra Maestra, aparat fotograficzny Zenit 3M, inhalator na wypadek kolejnego ataku astmy, szachy, świadectwa ze szkoły, encyklopedia, której używał i mnóstwo innych przedmiotów, wśród których z dreszczem znalazłam argentyńską tykwę i *bombillę* do picia *yerba mate*. °adnego zdjęcia Ernesta z żoną ani dziećmi. W ostatniej sali Ernesto po rewolucji, w 1965 roku, kiedy zgolił brodę, zaczesał włosy do tyłu i włożył białą koszulę z krawatem, stając się całkiem niepodobny do siebie.

W marcu tego roku napisał w liście do rodziców: „Kochani, znów czuję pod stopami żebra Rosynanta. Znów wyruszam w drogę z tarczą w rękach. Niecałe dziesięć lat temu napisałem do Was pierwszy pożegnalny list. °ałowalem wtedy, e nie jestem lepszym żołnierzem i lepszym lekarzem. Na tym drugim już mi nie zależy; a jako żołnierz też nie jestem najgorszy.

W moim życiu niewiele się zmieniło – choć dziś j už lepiej rozumiem na czym polega marksizm i jestem do niego bardziej przekonany. Wierzę, że tylko walka zbrojna jest dla uciemnionych narodów szansą na odzyskanie wolności. Możecie mnie nazwać awanturnikiem – i być może nim jestem, ale takim, który jest gotów zaryzykować własną skórę, by udowodnić swoje słowa”.





W liście do swoich dzieci pisze: „Kochani Hildito, Aleidito, Camilo, Celio i Ernesto, pamiętajcie, żeby pilnie się uczyć, bo nauka i technologia pozwalają panować nad siłami natury. Pamiętajcie, że najważniejsza jest rewolucja i że każde z nas z osobna nie jest wiele warte. A ponad wszystko zawsze bądźcie wrażliwi na niesprawiedliwość wyrządzoną komukolwiek gdziekolwiek na świecie. To najpiękniejsza cecha rewolucjonisty”.

Dziwnie blisko był też przez cały czas drugi Ernesto – Hemingway – bardziej wyciszony i skupiony, mniej jaskrawy, ale wszędzie obecny. „Stary człowiek i morze” po hiszpańsku i w najtańszej wersji brulionowej kosztował jedno peso kubańskie, czyli dwanaście i pół grosza. Zaczynał się od słów: *Era un viejo que pescaba solo en un bote en la corriente del Golfo y hacía ochenta y cuatro días que no cogía un pez*²². Na poprzedzającej stronie widniało duże zdjęcie Hemingwaya z Fidelm Castro, podpisane: „Hemingway gorąco popierał Rewolucję Kubańską i jej przywódcę Fidela Castro, z którym spotkał się kilka razy, także podczas zawodów rybackich o Puchar Hemingwaya”.

Na dachach mieszkali ludzie-koty, którzy nocą kradli ubrania, anteny telewizyjne, meble.



²² „Był starym człowiekiem, który łowił ryby w Gólfstrumie, pływając samotnie łodzią, i oto już od osiemdziesięciu czterech dni nie schwytał ani jednej” – tłum. B. Zieliński, Muza SA, 2002. Ten sam fragment mógłby brzmieć także tak: „Był sobie pewien stary człowiek, który samotnie wypływał na połów w zatoce, ale już od osiemdziesięciu czterech dni nie złapał ani jednej ryby”. (tłum. B. Pawlikowska).



*Wnętrze ukochanej łodzi
Ernesta Hemingwaya
– Pilar, która stoi
w pobliżu jego domu
pod Hawaną.*



Ernest Hemingway razem z żoną Mary, stadkiem psów i kotów, od 1939 roku mieszkali w rezydencji w San Francisco de Paula, które dzisiaj jest przedmieściem Hawany. Oboje pasjonowali się polowaniem i łowieniem, które uprawiali w sposób czysto sportowy i jako hobby. Wydawało się, że w ogóle nie zdawali sobie sprawy z tego, że strzelanie do zwierząt jest zadawaniem im śmierci. Strzelali na wyścigi do kaczek i cietrzewi, a potem pozowali do zdjęć nad martwymi zwierzętami. Pamiętam fotografię zrobioną w Afryce w 1962 roku – wieczorem, w świetle lampy stojącej na ziemi obok zabitego lamparta pochyla się zadowolona Mary Hemingway ze strzelbą w ręce. Zdjęcie podpisała: „W tych okolicach lampart pożarł żywcem dziecko, więc nie miałam żadnych wyrzutów sumienia przed strzeleniem do tej ogromnej bestii”.

Mary i Ernest często wyruszali łodzią na morze, żeby łowić ryby. Najbardziej fascynowały ich walki z marlinami, których trzy gatunki żyły w okolicznych wodach. Najtrudniejszy do schwytania był marlin biały, który przed śmiercią walczył jak lew. Schwytany na odpowiednio grubą żyłkę, rozpoczynał cyrkowe akrobacje w głębinach i nad wodą, próbując uwolnić się od krępującej go linki i haka w pysku. Ludzie jednak zawsze w końcu zdobywali przewagę: uzbrojeni w specjalistyczny sprzęt, harpuny i moc silnika napędzającego łódź.

Ernest regularnie organizował Turniej Łowienia Marlina, w którym główną nagrodą był ufundowany przez niego srebrny puchar. Do zawodów mógł stanąć każdy, kto spełniał wymogi regulaminu: czyli posiadał odpowiedni sprzęt, przepisowe żyłki i haki oraz własną łódź. W 1960 roku jak zwykle pod koniec maja ogłoszono turniej. Chętnych było nieco mniej, ponieważ wielu przyjaciół i znajomych wyprowadziło się z Kuby po rewolucji i na skutek narastających nieporozumień między wyspą a jej potężnym amerykańskim sąsiadem. Ich łodzie zostały przejęte przez nowy kubański rząd i rozdane sprawiedliwie między robotników. Jedną z łodzi zatrzymał dla siebie młody Fidel Castro. Nie był jeszcze wtedy prezydentem, po zwycięstwie rewolucji zaproponowano mu urząd premiera. Tamtej wiosny Fidel Castro postanowił wziąć udział w zawodach na zdobyczej odzi. Jak wspomina Mary Hemingway, był to wyjątkowo dziwny turniej. Prąd Zatokowy, który zwykle o tej porze roku płynął około stu pięćdziesięciu kilometrów od północnego wybrzeża Kuby i był najlepszym miejscem do chwytania ryb, teraz znajdował się tuż pod powierzchnią wody na przestrzeni zaledwie dwudziestu kilometrów na wschód od Hawany. Czterdzieści łodzi, które zgłosiły się do konkursu, tłoczyło się więc w wąskim pasie morza, a spragnieni rezultatów wędkarze mogli zaglądać sobie nawzajem do wiader z przynętą. Ernest za pomocą wojskowej lornetki pilnie śledził co się dzieje na łodziach zawodników. Fidel Castro nie miał wielkiego doświadczenia w sportowym łowieniu ryb, ale bardzo ściśle trzymał się wszystkich zasad i przepisów, dzięki czemu udało mu się wyciągnąć pierwszego marlina. Następnego dnia złapał jeszcze jednego – i właśnie łączona waga obu ryb przyniosła mu zwycięstwo. Wieczorem podczas uroczystości rozdania nagród odebrał z rąk Ernesta srebrny puchar, przyznając przy tym, że czytał „Komu bije dzwon” po hiszpańsku i czerpał z tej książki pomysły podczas rewolucyjnych operacji wojskowych w górach Sierra Maestra.





ROZDZIA, 10

Pogromca korczaków

E*xcuse me* – usłyszałam niewyraźny głos spod kapelusza.

Siedziałam w autobusie jadącym z Santa Clary do Trinidadu na południowym wybrzeżu Kuby. Autobus miał zaciemnione szyby i rozkręconą klimatyzację, więc było w nim ciemno i zimno. Marząc o powrocie do słońca i gorącego, wilgotnego powietrza, zatopiłam się w myślach.

– *Excuse me* – powtórzył głos po angielsku z przedziwnym akcentem, wydobywający się z ust skrytych pod rondem argentyńskiego kapelusza. – Widzę, że masz nogi przewoźnik po Kubie, czy mógłbym go zahaczyć, żeby wyrównać higieny?

– *Como?* – zapytałam ze zdumieniem po hiszpańsku i niezbyt uprzejmie.

– *Do – you – speak – English?* – wyrecytował starannie i powoli osobnik w kapeluszu.

– *Yes – I – do* – odpowiedziałam równie wyraźnie, domyślając się, że ten ciężki akcent na jego angielskim prawdopodobnie pochodzi z Francji. Francuzi uczą się obcych języków tak jakby się bali, że podczas procesu nauki zagubią swój język ojczysty, nigdy więc nie oddalają się od niego zbyt daleko, nakładając na język francuski dodatkową warstwę w postaci obcej gramatyki i nowych słów, wymawianych jednak z francuskim akcentem i brzmieniem.

– *Oh – good* – odrzekł bez uśmiechu Francuz, starannie wymawiając każdą głoskę. – Widzę, że gnasz mowy grzechotnik po Hubie, czy mógłbym go wybańczyć, żeby poruszać sceny?

Zamrugałam oczami, próbując jak najszybciej przetrwać tę informację i usłyszeć ją może z nieco innej strony. Akcent Francuza przypominał bulgotanie. Na szczęście dostrzegłam jego głodny wzrok przyssany do mojego przewodnika po

²³ *Como?* (hiszp.) = dosłownie: jak. Używane także jako mniej elegancka forma pytania: „Słucham? Proszę?”, co na polski można przetłumaczyć jako: „Co (mówiłeś)?”



Kubie. Wyciągnęłam książkę w jego kierunku. O to chodziło. Francuz czym prędzej ją złapał i zajął się czytaniem bulgocząc coś pod nosem. Odwróciłam się z powrotem do okna i płaskich kubańskich pejzaży. Pomiędzy miastami na wyspie ciągnęło się pustkowie, porośnięte rzadką kępami osobliwego gatunku palm, który rośnie tylko na Kubie. *Palma real* ma dość wysoki, lekko rozszerzający się pień i bujną kitę liści. Pięknie się kołysała w jasnym słońcu, oddychając ciepłym wiatrem, podczas gdy ja marzłam zamknięta w klimatyzowanej kapsule autobusu.

Otuliłam się polarem i przymknęłam oczy. Autobus jechał miękko przed siebie, mrużąc jednostajnie jak wielki niedźwiedź. Oderwałam się na chwilę od rzeczywistości, a w myślach automatycznie cofnął mi się film z nagraniem ostatniej rozmowy. „Gnasz mowy grzechotnik po Hubie, czy mógłbym go zahaczyć, eby wyrównać hieny” – powiedział Francuz, co nagle przełożyło się na czytelną „masz nowy przewodnik po Kubie, czy mógłbym go zobaczyć, żeby porównać ceny?” Rzuciłam mu ukradkiem spojrzenie. Siedział zagłębiony w lekturze, a pomiędzy książki i runda kapelusza wystawał mu tylko fragment czerwonego jak wiśnia policzka. Postanowiłam pójść jego śladem.

– *Excuse me* – w moje myśli wtrącił się nagle bulgoczący głos. – *Thank you* – Francuz oddał mi książkę.

– *Where are you from?* – zapytałam, usiłując zajrzeć pod argentyński kapelusz. – Skąd jesteś?

Twarz Francuza była okrągła, o pulchnych policzkach i wyraźnie zarysowanych ustach. Raczej nie francuska, choć twarze ludzkie w XXI wieku nie mają już wielu cech charakterystycznych dla miejsc, z których pochodzą – z wyjątkiem strzegących swojej odrębności Japończyków. Typowo słowiańska twarz może mieszkać od urodzenia w Nowym Jorku, a smagły Włoch być Kolumbijczykiem. Jak dotąd bezbłędnie udawało mi się rozpoznać w każdym zakątku świata Amerykanów i Anglików. Nie dałam się zmylić argentyńskiemu kapeluszu. Bulgoczący Francuz mógł być...

– Bidon – odrzekł uprzejmie.

– Słucham?...

– Jestem z Pomponu.

– *Excuse me?*... – pochyliłam się, żeby lepiej słyszeć,

– *I am from LONDON!* – ryknął Francuz.

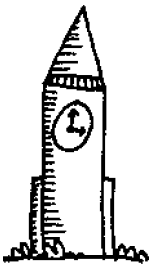
– Jesteś Anglikiem? – zdumiałam się.

– *Yes*.

– Twoi rodzice też są Anglikami?

– *Yes* – odrzekł Francuz zamieniony w Anglika, rzucając mi zaskoczone spojrzenie.

– Masz na myśli Londyn w Wielkiej Brytanii? – upewniłam się jeszcze raz, poszukując wyjaśnienia dla ciężkiego obcego akcentu.



²⁴ *Palma real* (hiszp.) – palma królewska, przy czym słowo *real* można tłumaczyć także jako „wyśmienita, wspańska”, a także „realna, prawdziwa”.

– *Yes* – powiedział jeszcze raz FrancuzoAnglik, ale tym razem ostrożnie. Chyba zaczynał się bać. – Moje racice przez całe życie wieszali na East Endzie.

Odetchnęłam z ulgą i bez trudu rozszyfrowałam informację o tym, że jego rodzice przez całe życie mieszkali na East Endzie, czyli we wschodniej części Londynu, gdzie w odróżnieniu do sztywnego West Endu osiedlali się robotnicy i imigranci, którzy z czasem wytworzyli własny dialekt zwany *cockney*. Teoretycznie jest to angielski, ale ze zmienioną wymową i akcentem, a czasem nawet układany w rymowanki, które opowiadają jakieś słowo zamiast użyć go wprost.

Pochyliłam się jeszcze raz przez poręcz fotela, zadrżałam w końcu pod kapelusz Anglika i popatrzyliś mi sobie w oczy.

– *My name is Gavin*²⁵ – powiedział. – Szczerze mówiąc, przyjechałem na Kubę przez przypadek, bo nie było innych biletów.

– Przez przypadek?

– To jest mój ostatni tydzień w podróży dookoła świata. Zaczęłam rok temu, ostatni tydzień chciałem spędzić na Isla Margarita, ale okazało się, że nie ma miejsc w samolotach i w zamian zaproponowano mi Kubę. ...Szczerze mówiąc, to chyba przeznaczenie – dodał po chwili.

„Szczerze mówiąc, to się dopiero okaże” – pomyślałam przedrześniając jego zwyczaj zaczynania co drugiego zdania słowami *to be honest with you*, przy czym ostatnie „with you” było bardzo starannie artykułowane, a Gavin składał przy tym usta w trąbkę.

– Wyruszyłeś z Londynu rok temu?

– Poleciałem do Afryki, potem do Azji, Australii, z powrotem do Afryki i do Ameryki Południowej. Kilka ostatnich miesięcy spędziłem w Argentynie i Brazylii.

To wyjaśniało jego skórzany argentyński kapelusz. Autobus nagle zjechał z głównej szosy i zatrzymał się przed hotelem. Czym prędzej zrzuciliśmy z siebie polary, skarpetki i długie spodnie (przynajmniej ja) i wyszliśmy na świeże powietrze. Zgodnie z latynoamerykańską tradycją podróży autobusem, na trasie zarządzana jest zwykle przerwa na obiad. Najczęściej odbywa się w tłoczonym lokalnym barze, gdzie stają autobusy i TIR-y, na Kubie jednak komuś się wydawało, że zagraniczni turyści nie będą chcieli mieszać się z tłumem „zwykłych” Kubańczyków, więc autobusy linii *Viazul* zatrzymywały się zawsze przed hotelami, gdzie w restauracji można było za wygórowaną cenę coś zjeść i wypić.

Gavin zdjął kapelusz i otarł pot z tyłego czoła.

– *To be honest with you* – zaczął, składając usta w trąbkę i ciągnąc szlachetniejszą odmianą angielskiego i dystyngowanym tonem: – Chciałem kupić dom, *but they are so unreasonably expensive, you know*²⁷.

– *I know* – odrzekłam tym samym tonem. – Wiem. A czym się zajmowałeś w Londynie?

²⁵ *My name is Gavin* (ang.) = Mam na imię Gavin.

²⁶ Isla Margarita = słynny kurort u wybrzeży Wenezueli na Morzu Karaibskim.

²⁷ *But they are so unreasonably expensive, you know* (ang.) – ale domy w Anglii są teraz tak nierealnie drogie.





*Dorożkarz wrzucił
mój bagaż do powozu
i pojechaliśmy przez
miasto.*



– Pracowałem jako inżynier i miałem mnóstwo szczęścia, bo od razu po studiach dostałem dobrą pracę. Zacząłem zbierać pieniądze na dom, ale... *you know*. A poza tym strasznie nie lubiłem tej pracy, więc postanowiłem ją rzucić i wyruszyć w podróż dookoła świata.

– °eby sobie wszystko przemyśleć?

Pokiwał głową i znów wytarł wilgotne czoło.

– Specjalizuję się w systemach grzewczych – dorzucił. – I chłodzących. Za tydzień wrócę do Londynu po roku nieobecności i będę zaczynał wszystko od początku. Jak jest kurczak po hiszpańsku?

– *Pollo* .

– Ciągle zapominam. *To be honest with you*, po pół roku w Ameryce Południowej powinienem lepiej znać hiszpański, ale ... ten *pullo* ciągle mi się myli.

– *Pollo* – poprawiłam.

– No właśnie – westchnął Gavin i wyciągnął z kieszeni swoich obszernych spodni rozmówki angielsko-hiszpańskie. Nie zdążył ich otworzyć, gdy stanął przy nas elegancki kelner w białej koszuli i czarnych spodniach. – Dla mnie jeden *pullo* – zamówił Gavin, a kelner bez mrugnienia okiem domyślił się, że „jeden korczak” oznacza kurczaka.

²⁸ Czytaj: „pojo”.

– *Pullo?* – kelner uprzejmie zwrócił się do mnie. – Dla pani też korczak? –
– Nie, dziękuję – odrzekłam. – W kraju, z którego pochodzę, nie jada się korczaków.

Gavin czym prędzej zaczął wertować słownik, a kelner odpłynął, by powrócić po chwili z gotowym daniem. Zapadła krótka cisza, a potem Anglik pochylił się konspiracyjnie w moim kierunku i szepnął:

– Czy myślisz, że ten kelner może być agentem?

– Czyim agentem? – szepnęłam.

– Rosyjskim, kubańskim albo amerykańskim, CIA albo KGB, ciiii – położył palec na ustach. – Właśnie nas obserwuje.

– *To be honest with you* – odrzekłam, nie mogąc się powstrzymać przed złonieniem ust w taką samą trąbkę, jak zawsze robił to Gavin, ale on był zbyt pochłonięty śledzeniem domniemanego agenta, żeby to zauważyć. – Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się.

– Trzeba zachować czujność – zabulgotał Gavin, po czym chwycił za nogę swojego smażonego korczaka i zaczął ją obgryzać, mlaskając przy tym tak wymownie i głośno, że złapałam za jego rozmówki, żeby ukryć za nimi twarz.

– *To be honest with you* – zamlaskał Gavin – to jest najlepszy korczak, jakiego jadłem.

– Cieszę się – odrzekłam trochę nieobecny głosem, bo trzymając rozmówki tuż przy twarzy, odruchowo zaczęłam je czytać, trafiając przypadkiem na rozdział zatytułowany „Narkotyki”.

Pierwsze zdanie brzmiało: „Jestem narkomanem uzależnionym od heroiny. Gdzie mógłbym dostać czystą strzykawkę?” I dalej: „Czy macie w tym kraju program leczenia methodonem?” Oba zdania po angielsku i hiszpańsku, ze starannie opisaną wymową. Mimo woli rzuciłam okiem na Gavina. Tłuszcz spływał mu po brodzie i palcach, a na okrągłej głowie płały mu promyki słońca, malując łysiejącą skórę na kolor soczystego pomidora.

Przerzuciłam kilka stron. Następne rozdziały nosiły zwyczajne tytuły, spotykane we wszystkich rozmówkach świata: jedzenie, transport, hotel, u fryzjera...

– Zobacz „Randki i romans” – podpowiedział znad kurczaka Gavin.

Randki i romans. Pierwsze zdanie: „Bardzo podoba mi się twoje...” i do wyboru następowały słowa: „ciało, piersi, biust, cycuszki, pupa, tyłek”.

– Na głos, czytaj na głos – zamlaskał Gavin.

– „Kocham cię, zakochałem się w tobie, chciałbym z tobą chodzić...” – zacytowałam. – Bardzo praktyczne. Po pierwszej części, gdzie są wyrażenia służące wyznawaniu uczuć, jest rozdział o odchodzeniu i zrywaniu.

– Pokaż – Gavin wytarł ręce w serwetkę i wyrecytował łamanym hiszpańskim: – „Muszi jutro wyjechać. Bendziu za tobo teńs-knił. Przejedę znów i ci odwiedzą”.



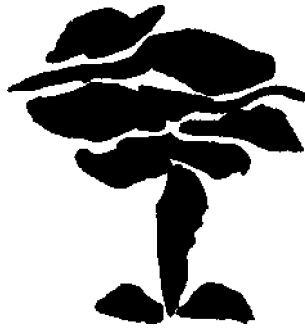
²⁹ Methodone – lek podawany podczas kuracji odwykowej ludziom uzależnionym od heroiny.

- Zakochałeś się? – zapytałam.
- To dość osobiste pytanie – zauważył Gavin nie podnosząc oczu.
- Chodzi mi o to czy zakochałeś się w tej podróży, bo przecież nie byłeś w domu przez rok.
- Chudziłem z kilkoma dziewczętami – odrzekł wpadając w swój ciężki londyński akcent.
- Chodziłeś z kilkoma dziewczynami? – powtórzyłam po nim, tłumacząc sobie z angielskiego na angielski.
- Tak, ale dla mnie to była przygoda, która zdarza się raz na całe życie i nie chciałem tego komplikować, *you know*.
- Ale używałeś zwrotów z tego samouczka? „Muszę jutro wyjechać, ale będę do ciebie pisał”.
- Nie, dziewczyny, z którymi się spotykałem, mówiły lepiej po angielsku niż ja po hiszpańsku – zamknął rozmówki i schował je do kieszeni swoich ogromnych, workowatych spodni, które zwisały mu z bioder. – Ja tylko sprawdzałem³⁰ jak po hiszpańsku zamówić sobie *pullo*. Oj, huba rozgwieżdża hasz gladiolus .
Biegnijmy!
I pobiegliśmy.



*Kelner bez mrugnięcia
okiem domyślił się,
e „jeden korczak”
oznacza kurczaka.*

³⁰ Oj, chyba odjeżdża nasz autobus.



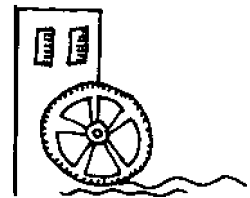
ROZDZIA, 11

Dolina Wodnych Młynów

Trinidad to najpiękniejsze miasto na Kubie, wygląda jak wyjęte z bajki o szlachetnych Hiszpanach, którzy przyплыли tu z dalekich krajów w poszukiwaniu spokoju i odpoczynku. W rzeczywistości bajka ta miała krwawe wątki. Hiszpanie przybyli tu w 1514 roku, by podbić i przyłączyć Kubę do swoich włości. Zakładali pierwsze osady – najpierw Baracoa na wschodnim krańcu wyspy, potem Bayamo, a jako trzecią – La Villa de la Santísima Trinidad, czyli Wioskę Najświętszej Trójcy. Cztery lata później przyплыł tu Hernán Cortéz, poszukujący chętnych do swojej wielkiej wyprawy na podbój Meksyku.

Trinidad był skromnym kolonialnym miastem o brukowanych ulicach do chwili, gdy zaczęli do niego przyплыwać piraci i handlarze niewolników. Wtedy stał się głównym portem przeładunkowym dla towarów szmuglowanych z Jamajki. Nieco później z sąsiedniego Haiti, gdzie szalała rewolta wzniecona przez zbuntowanych niewolników, do Trinidadu zaczęli masowo przyплыwać francuscy uciekinierzy, przywożąc ze sobą sadzonki trzciny cukrowej. Nowi osadnicy zamieszkali w dolinie, zakładając plantacje i przetwórnice trzciny cukrowej, od których całą okolicę nazwano Valle de los Ingenios, czyli Dolina Wodnych Młynów. Miasto zaczęło rozkwitać – podobnie jak amazońskie Manaus w Brazylii w okresie boomu kauczukowego. Z Trinidadu pochodziła jedna trzecia cukru produkowanego na Kubie. Stawiano piękne kościoły i domy o marmurowych posadzkach, nie oszczędzając na zdobieniach i luksusach.

O urodzie Trinidadu słyszałam już dawno. Kilka tygodni wcześniej podczas wyprawy do Wenezueli podróżowałam szalonym autobusem, siedząc obok czarnego jak węgiel przedsiębiorcy z wysp Trinidad i Tobago. Był biały ze strachu, gdy gnaliśmy przez wenezuelskie miasta i wioski z prędkością ponaddwukrotną. Na końcu tej podróży stanął na chwiejnych nogach i zapewnił mnie, że to była jego pierwsza i ostatnia podróż autobusem w tym kraju.



A potem opowiadał o cudach, jakie zobaczą w mieście Trinidad na Kubie. Teraz miałam okazję przekonać się na własne oczy czy to prawda.

Wytargowałam dobrą cenę za pokoje dla Gavina i dla siebie, przywitałam się z gospodarzem o imieniu Mojżesz, zastanawiając się co Mojżesz robi na komunistycznej Kubie, po czym wyszłam na poszukiwanie owoców. Było późne popołudnie. Słońce stało bardzo nisko, rzucając na miasto gorące, pomarańczowe promienie, które głąskwały białe mury domów i brukowane ulice. Każdy koń zaprzężony do dorożki wyglądał w tym ciepłym świetle jak czarodziejski jedno-rożec. Zapach kwitnących migdałowców mieszał się z gęstymi kłębamii spalin wypływanych przez stare amerykańskie krążowniki szos. Czasem w wąskich ulicach, gdy na bruku tłoczyły się sznury pięć dziesięcioletnich chevroletów, buicków i pontiaków, strach było oddychać. Tym chętniej weszłam do jednego ze sklepów.

Był dość duży i ciemny, pod niebieskimi ścianami stały rzędy prehistorycznych lad z ciężkiego drewna, oddzielających niesfornych klientów od półek zarzuconych używanymi towarami. Były tam potargane lalki w poślódkłych sukienkach, różne rodzaje zakurzonych kabli, nocniki, patelnie, czapki, urządzenia elektryczne i wiele innych rzeczy. Ciężkie lady miały przeszklony wierzch, pod którym rozłożono nieliczne małe przedmioty – spinki do włosów, zaworki, używane zapalniczki jednorazowe, ołówki. Było ich mało, więc sprzedawczynie starannie rozmieściły je w równej odległości od siebie, starając się sprawić wrażenie, że wypełniają całą gablotę. Gdyby jednak ułożyć je razem, zmieściłyby się w jednym rogu. To był kubański sklep dla tubylców, gdzie obowiązywały ceny w *moneda nacional*.

Zatrzymałam się przy ladzie, na której stały małe brązowe butelki z etykietami zrobionymi niebieską pieczęcią – najtańsze dezodoranty, przygotowane domowymi metodami. Obok leżały nierówne kostki mydła pachnącego zwierzęcym tłuszczem. Dwie dziewczynki z przejęciem oglądały kilka staromodnych długopisów, gorączkowo dyskutując który będzie najlepszy i czy w ogóle mogą sobie pozwolić na taki wydatek. Czulałam się jak w filmie. Oto najprawdziwszy kawałek świata zatrzymany w czasie. Taki sklep można było znaleźć w Polsce pod koniec XIX wieku, przy czym zaopatrzenie w towar przypominało dramatyczny okres stanu wojennego. Był to galopujący komunizm objawiający się tym, że ludzie zostają sprowadzeni do roli nędzarzy i żebraków we własnym kraju, nie mogąc liczyć na pomoc rządu i mając kategoriyczny zakaz rozwijania własnej inicjatywy.

Pamiętam jak czulałam się wtedy w Polsce – jak niewolnik, któremu przydzielany jest kilogram cukru i mięsa, uwikłany w biurokratyczne procedury i upokorzony obowiązkiem tłumaczenia się z chęci zagranicznej podróży, składania stosów dokumentów i ubiegania się o prawo do korzystania z własnego paszportu. Tygodniami stało się w kolejce po buty, a moja Mama dokonywała cudów, żeby dowiedzieć się gdzie „rzucić” towar bez kartek i przynieść do domu trzy cudowne, żółte, egzotyczne banany, które były wtedy dla mnie symbolem wolności i lepszego świata.



Trinidad stał się głównym portem przeladunkowym dla towarów szmuglowanych z Jamajki.



*Galopujący komunizm
objawia się tym,
e ludzie zostają
sprowadzeni do roli
nędzarzy i żebraków
we własnym kraju.*

Teoretyczna komunistyczna równość nigdy nie zadziałała w praktyce. Człowiek sprowadzony do dna stara się odzyskać szacunek do samego siebie i żyć godnie. Pani Krysia z mięsnego była szefową całej ulicy, bo ona decydowała kto dostanie prawo do kupienia jedynych trzech kabanosów. Pan Zbyszek miał dojście do paliwa bez kartek, więc wymieniał się ze swoją kierowniczką Jolą w pracy na papierosy, a ona dostawała kontakt do pani Krysi i mogła kupić swoim dzieciom kabanosa na kolację. Jola miała najlepiej – i kabanosa, i klucz do szafki, z której podkrażała służbową herbatę, którą przekupywała strażnika z recepcji i mogła przychodzić do pracy godzinę później niż wszyscy. Gdzie tu równość? Strażnikowi było wszystko jedno, bo zakład był państwowy, a on miał stałą niską pensję, więc najważniejsze było to, że udało mu się zdobyć trochę herbaty, której w normalnym sklepie i tak nie można było kupić.

Erneście Che Guevara – nie wiedziałeś o tym?



Poszłam w głąb sklepu oświetlonego posępnymi neonówkami. Po prawej stronie ustawiono drewniany krótki parkan z kilku sztachet, oddzielający stojaki z używanymi ubraniami. Pachniały stęchlizną, ale chciałam do nich podejść i obejrzeć je z bliska, bo zawsze dobrze jest mieć jakiś fragment lokalnej garderoby, żeby nie wyróżniać się z tłumu tubylców. Dlatego zwykle na początku każdej wyprawy kupuję w tanim miejscowym sklepie albo na targowisku bluzkę albo spodnie zgodne z lokalną modą i wpisujące się w tamtejszy klimat.

Sprzedawczynie w sklepie ze znudzonym wzrokiem opierały się o ściany albo lady, od niechcienia przyglądając się klientom. Widać było, że praca jest dla nich cierpieniem. Ale odnosiłam wrażenie, że nie było innego zajęcia, które chciałyby wykonywać z większym zaangażowaniem i radością. Stanowiły idealny element komunistycznego systemu: neutralne, apatyczne, pozbawione własnej woli i bierne oczekujące na dalsze wskazówki i polecenia, w zamian za co mogły liczyć na 240 peso miesięcznej pensji i przydział podstawowych artykułów żywnościowych.

Czasem wstępowała w nie dziwna energia, którą pożytkowały na opowiadanie sobie różnych historii, irytując się kiedy jakiś klient przeszkadzał im w rozmowie i prosił o pomoc. Właśnie takie dwie sprzedawczynie siedziały przy furtce zagrazającej przejście do wieszaków z ubraniami. Spróbowałam porozumieć się z nimi wzrokiem, zadając oczami pytanie o pozwolenie przejścia dalej. Wydawało mi się, że jedna z nich przyzwalająco mrugnęła, robiąc przy tym zbywający gest dłonią, minęłam je więc i pchnęłam furtkę. W chwili, kiedy przez nią przechodziłam, jedna ze sprzedawczyń, potężnej budowy tęga Kubanka zapytała:

– Rozumiesz po hiszpańsku? Bo ja chcę ci coś powiedzieć.

– Rozumiem – odrzekłam, spodziewając się czegoś nieprzyjemnego, na przykład kąśliwej uwagi, że jako bogata turystka „z zachodu” nie powinnam szukać okazji dla siebie w tanim sklepie, gdzie przychodzą biedni Kubańczycy.

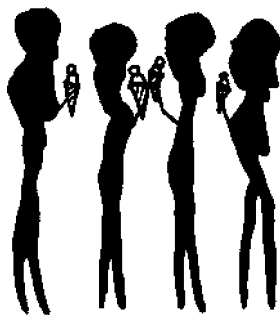
– Niech cię Bóg błogosławi – powiedziała Kubanka. – I niech cię prowadzi w szczęściu przez wszystkie dni!





*Kubańcy grają
w domino z wielkimi
emocjami, najczęściej
przy stoliku wysta-
wionym na ulicę.*





ROZDZIA, 12

Nicień czy wesz

Wieczorem Gavin uparł się, żeby pójść do lokalu zwanego *piano bar*, czyli miejsca, którego ośrodkiem jest wielki fortepian, na którym nie tylko się gra, ale i tańczy. Kiedy wróciłam z zakupów, Gavin czekał siedząc na skórzanej kanapie w pierwszym pokoju. Domy kubańskie z zewnątrz wyglądają wąsko i skromnie, ale w środku urządzone są z rozmachem. Za drzwiami wejściowymi zwykle znajduje się pokój gościnny, gdzie stoją fotele, kanapa, mały stolik i telewizor. Im dalej w głąb, tym bardziej rodzinnie, przy czym pokoje zwykle są umieszczone jeden za drugim, a mieszkanie jest długie jak kiszka. W następnym pokoju zwykle jest jadalnia, za nią kuchnia i jedna lub więcej sypialni. Tam często znajduje się pokój do wynajęcia – chyba że lokator (bo żaden Kubańczyk nie jest i nie może być właścicielem swojego domu czy mieszkania) posiada nadbudówkę dodaną na dachu dla któregoś z członków powiększającej się rodziny.

Prawie natychmiast po wyjściu na ulicę podszedł do nas pierwszy *jinetero*.

– *Hello!* – zagaił. – Szukacie dobrej restauracji?

– *No, gracias* – odpowiedziałam grzecznie.

– Znam świetną restaurację tu niedaleko, w samym centrum!

– Nie jesteśmy głodni, dziękuję – powiedziałam tym samym uprzejmym tonem.

– Szukacie hotelu? Pokoju do wynajęcia?

– *No, gracias*.

– Znam tu niedaleko bardzo miły mały hotel. Będzie Wam się podobało!

– *No, gracias*, już mamy pokój.

– A może chcecie kupić banknoty z Che Guevarą?

– *No, gracias* – odpowiedziałam cierpliwie i z uśmiechem.

To najlepszy i wielokrotnie przeze mnie sprawdzony sposób na niepożą danych natrętów. Nie wolno się denerwować ani okazywać złości czy zniecierpliwienia. Oni wiedzą, że ja nie potrzebuję ich usług, ale często takie niewinne zaczepki są



tylko pretekstem do stworzenia niebezpiecznej sytuacji, w której tubylec chce rozładować nagromadzoną w nim agresję. Udaję więc, że nie wiem, że zaczepiający mnie natręt jest drobnym oszustem żerującym na naiwności obcokrajowca. Traktuję go jak każdego innego przypadkowego przechodnia – choć żaden zwy-

■
– Mam wyjątkowe, słynne czerwone trzypesówki z Che Guevarą! Po bardzo okazyniej cenie!

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam po raz kolejny z uśmiechem, nie zwalnając kroku.

– Czy ty naprawdę musisz za każdym razem mu dziękować? – zachnął się Gavin.

– *Señor!* – natręt natychmiast skorzystał z okazji i przeszedł na łamany angielski: – *Restaurant? Restaurant?*

W tej samej chwili podeszło do nas dwóch następnych *jineteros*, tak jakby zwięszyli możliwość zrobienia interesu. To jest druga strona najpiękniejszych miejsc na Kubie – są pełne naciągaczy, którzy liczą na to, że zarobią pięćdziesiąt procent od wszystkiego, co turysta wyda.

– *Restaurant?* – powtórzył wyzywającym tonem jeden z natrętów i złapał się za kieszeń, tak jakby chciał nam uświadomić, że kryje w niej coś, czego używa przeciwko opornym turystom.

– *No, gracias* – odpowiedziałam, uśmiechając się do niego szeroko, udając że nie słyszę pogroźki w głosie i nie dostrzegam gestu. – Właśnie zjedliśmy obiad, bardzo dziękuję, może następnym razem, bo teraz trochę się śpieszymy.

Nie czekając na odpowiedź stanowczo ruszyłam przed siebie, ale nagle zauważyłam brak Gavina. Obejrzałam się i zobaczyłam, że stoi cały błądy, z kropelkami potu na twarzy i nie rusza się, jakby został przymurowany do chodnika. Minęły może trzy sekundy, nie zdążyłam przywołać go do porządku, gdy nagle wszyscy spojrzeliśmy na niego jakby właśnie przybył z kosmosu. W napiętej ciszy rozległo się ciche „Zabiłem byka, cóż to dla mnie byk”. Gavin śpiewał bez słów, zamieniając je na „Tut-tu-tu-tu-tu”. Jego usta poruszały się z trudem, a ciało pozostało nieruchome i zdętwiałe ze strachu.

Musiałby się bardzo starać, żeby wybrać bardziej nieodpowiedni moment do popisów wokalnych. Na szczęście ze sklepu po drugiej stronie ulicy niespodziewanie wyszło dwóch umundurowanych milicjantów. Natręci natychmiast zrobili w tył zwrot, a Gavin zamilkł.

– Wszystko w porządku? – zapytałam ostrożnie.

– Nicień czy wesz, ale przed gliną szczyrzyło nam cienkie niesie maleństwo – odpowiedział drżącym i zaślinotowanym głosem Gavin. – Wyleje mi się, że ja-dem z tych budzi dział wroń .



⁵¹ Nie wiem czy wiesz, ale przed chwilą groziło nam wielkie niebezpieczeństwo. Wydaje mi się, że jeden z tych ludzi miał broń.



– Właśnie dlatego trzeba było iść za mną, a nie stawać na środku ulicy – odrzekłam cierpko.

Prawdę mówiąc nie przypuszczam, żeby *jinetero* miał broń. Ich jedynym orężem jest nieustanna obecność, uporczywe namawianie do skorzystania z ich usług i wciskanie obcokrajowcom kitu. Byli tylko bardziej śmiałymi wcieleniami zwykłych Kubańczyków, liczących na łatwy zarobek. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek zrobili komuś krzywdę. Byłoby to zresztą bardzo utrudnione wśród agentów i szpiegów wewnętrznych służb specjalnych, których zadaniem było czuwanie nad bezpieczeństwem kubańskiej rewolucji.

Nie brakowało agentów i szpiegów wewnętrznych służb specjalnych, których zadaniem jest czuwanie nad bezpieczeństwem kubańskiej rewolucji.



Wieczorami zaczyna grać muzyka – zespoły w każdym barze grają typowo kubańskie son, tęskne bolero i porywającą do tańca guarachę.





ROZDZIA, 13

Gavin w krainie marzeń

Umieram z głodu – powiedział niespodziewanie Gavin poważnym głosem.

Rzeczywiście wyglądał na wyczerpanego. Okrągłe policzki zapadły się, w oczach zgasł blask, a jego łysina obejmująca pół głowy zaczęła wyzywająco błyszczeć. Znalezienie restauracji na Kubie nie jest trudnym zadaniem, choć znacznie bardziej skomplikowane bywa trafienie do takiego lokalu, w którym akurat jest coś do jedzenia. Restauracje państwowe działają na ogólnie przyjętych światowych zasadach komunizmu: dwie lub trzy kelnerki o nieobecnych spojrzeniach i powolnych ruchach, duża pusta sala zastawiona brzydkimi stolikami i krzesłami, zakurzone sztuczne róże w wazonikach, muchy na ścianie i standardowe menu, składające się z kilku dań o ściśle odmierzonej gramaturze. Klient w takim lokalu jest koszmarnym dopełnieniem „warunków pracy i płacy”, którego obecność bezpośrednio uderza w dobre samopoczucie kelnerek i kucharzy.

Rzeczywistość kubańska dopisała kolejny rozdział do światowych zasobów komunizmu. O dwunastej w południe weszłam do restauracji. Usiadłam przy stoliku. Po kilku minutach podeszłam do kelnerki drzemiącej przy barze i poprosiłam o kartę dań. W menu napisanym długopisem było do wyboru kilka potraw. Poprosiłam o ryż z fasolą – najbardziej podstawowe danie, dodawane do wszystkich potraw tak jak u nas ziemniaki.

– Nie ma – odrzekła kelnerka.

– Nie ma ryżu? – zdumiałam się naiwnie, bo to był mój pierwszy dzień na Kubie.

– Nie ma, skończył się.

– W takim razie... – zajrzałam do karty, próbując rozszyfrować odręczne pismo. – Jest jakaś ryba?

– Nie – kelnerka pokręciła głową, robiąc przy tym taką minę, jakbym pytała o kawałek pieczonego dinozaura.



- Może jakaś sałatka? – nie ustawałam w poszukiwaniach.
- Nie ma.
- Ziemniaki pieczone?
- Nie ma.
- A co jest?
- Nic nie ma, skończyło się.
- Ale tu w karcie jest przecież napisane... co tu jest napisane?
- Kurczak smażony.
- Jest kurczak?
- Nie ma – odpowiedziała tym samym beznamiętnym, zmęczonym głosem.
- Skończył się.
- A co jest, co mogłabym zjeść?
- Już dzisiaj nic nie ma – powtórzyła cierpliwie. – Skończyło się. Jest tylko piwo.

Szurając klapkami odeszła do swojego stolika w rogu, usiadła ciężko na krześle i powróciła do drzemki. Kilka ulic dalej było targowisko, gdzie można było kupić każdą ilość świeżych pomidorów, ogórków, papryki, ziemniaków, innych warzyw i owoców na deser. W kapitalistycznym świecie kelnerce zależałoby na tym, żeby klient wyszedł z restauracji zadowolony, więc pobiegłaby na targowisko, zainwestowała w produkty i przygotowała nowe dania. W komunistycznym mieście przepisy zabraniały jakichkolwiek odstępstw od ściśle określonego regulaminu pracy. Własna inicjatywa mogła zostać odczytana jako chęć zakłócenia porządku i doprowadzenia do powstania nowej klasy imperialistycznej, która zagrażała ideałom rewolucji. Gdyby więc kelnerka w państwowej restauracji przyniosła z domu dwa jajka, żeby usmażyć klientowi jajecznicę, mogłaby zostać oskarżona o dywersję i zdradę państwa. Dlatego restauracja stała pusta, ciemna i zakurzona przez ponad pół dnia, a kelnerka spokojnie spała na jednym ze stolików – jej lenistwo i bierna postawa były ściśle zgodne z przepisami.

Co pan na to, señor Che Guevara?

Co ty na to, Che?

Gavin został uratowany od głodowej śmierci przez smażonego kurczaka, po którym wyszedł z restauracji trzymając się za brzuch.

– Pyszny był ten korczak – powiedział z odrobiną bólu w głosie. – Nie powinienem tyle jeść.

– Nie powinienesz – zgodziłam się.

– Wiem, że to zabrzmi jak obżarstwo – odezwał się po chwili wahania – ale mam jeszcze ochotę na lody.

Włoskie lody z maszyny to jedna z niewielu drobnych przyjemności, na które mogą liczyć Kubańczycy na co dzień. Zwykle występują w dwóch smakach: truskawkowym i śmietankowym, a jedna porcja kosztuje jednego peso, czyli dwa naście i pół polskiego grosza.





– Pofolguj sobie – zachęciłam. – W końcu to twój ostatni tydzień wakacji.
– Wiesz o Rzym orze od kilku tysięcy? – westchnął Gavin.
Napięłam całą uwagę i wgryzłam się myślami w jego kosmicznego *cockneya*.
– Acha? – odrzekłam niezobowiązująco.
– O jabłkach – powiedział z głębokim przekonaniem. – O tym, żeby zjeść jedno prawdziwe, wielkie, czerwone jabłko.
– Od kilku miesięcy marzysz o tym, żeby zjeść jabłko? – upewniłam się, czy dobrze rozszyfrowałam.
– Tak, bo od pół roku jestem w krajach, gdzie nie ma jabłek.
– Wiesz co? °eby zjeść dobre jabłko, musiałbyś przyjechać do Jabłkowego Królestwa, czyli do Polski.
– U nas w Anglii są aż trzy gatunki jabłek – powiedział Gavin z godnością, a ja nie mogłam się powstrzymać i zaczęłam się śmiać.
– Granny Smith, Golden Delicious i ten trzeci, czerwony waszyngtoński, tak? – zapytałam, nie przestając chichotać.
– Nie wyśpiewaj się z angielskich jabłek – zabułgotał lekko urażonym głosem. – To raczej nieeleganckie.
Złapałam się za głowę, chichocząc nad tym, że to co dla Anglika wydaje się „raczej nieeleganckie” dla Amerykanina byłoby „totalnie nie na miejscu”. Różnicy

*Wyszliliśmy na zewnątrz
kierując się pośpiesznie
w stronę hipnotycznie
pulsujących rytmów
muzyki.*





w uczuciach nie ma, istnieje jedynie w opisanu ich słowami. Gavin okazał się na wskroś brytyjski.

– *Excuse me* – powiedziałam w końcu. – Ale wiesz co? Jakbyś chciał kiedyś spróbować prawdziwych jabłek, takich najprawdziwszych wyhodowanych na drzewie, to przyjedź do Polski. Mamy kilkaset gatunków jabłek do wyboru.

– *Thank you* – odrzekł dość sztywno Gavin, a z wyrazu jego twarzy widziałam, że mi nie wierzy. – Może przyjadę.

Piano bar okazał się wielką, pustą, dziwnie pachnącą salą. W kącie stało czarne pianino obudowane dodatkową półką – tak jakby miały po niej skakać tancerki. Pod czarnymi ścianami czuwały czarne fotele, było kilka stolików i pustka. Po przeciwnej stronie za czarnym barem stał uśmiechnięty Murzyn i przyrządzał drinki.

Popatrzyliśmy na siebie z Gavinem. Najwyraźniej ten legendarny *piano bar* był bardzo daleki od jego marzeń. Ciekawe czy ta bezludna, samotna sala kiedykolwiek zapełnia się namiętnym tańcem i gorącymi rytmem muzyki. Czy może jest tylko pozostałością po dawnych czasach, kiedy przychodzili tu amerykańscy przyjaciele Ernesta Hemingwaya. Wrażenie było przygnębiające, ale jednocześnie na tyle dziwne, że bez słów usiedliśmy przy barze.

– *Cuba Libre?* – rzucił barman, co zabrzmiało jak tajne hasło.

– Tak – odrzekł Gavin tym samym sekretnym tonem. – Jedna Wolna Kuba dla mnie.

„Jedna Wolna Kuba dla każdego” – pomyślałam, przyglądając się szybkim ruchom barmana.

– Kiedyś chciałem pojechać do Indii – powiedział Gavin, otrząsając się po pierwszym lyku. – Jakie to mocne! Kiedyś chciałem pojechać do Indii i nająłem się do pracy w restauracji w Londynie, żeby zarobić pieniądze na tę podróż. Kucharz tej restauracji patrząc jak całymi dniami stoję przy zlewie i myję talerze, w końcu nie wytrzymał i mówi do mnie: „Chłopie, zastanów się nad sobą. Nie chcesz przecież przez całe życie zmywać talerzy. Przyłóż się, ucz się, może uda ci się osiągnąć sukces i zostać kucharzem!” A ja spojrzałem na niego i powiedziałem: „*Actually*, ja właśnie studiuję inżynierię na uniwersytecie!”

– Pojechałeś do Indii?

– Tak, razem z bratem. A znasz taką piosenkę Beatlesów „Penny Lane”?

– Pewnie, że znam.

– Ludzie ciągle kradli tabliczkę z nazwą ulicy, w końcu policja miała ich dość i wiesz co zrobili? Namalowali nazwę wprost na ścianie budynku, żeby nikt nie mógł jej ukraść. – Gavin pociągnął znów ze szklanki i dodał z nostalgią: – Mieszkałem dwie ulice dalej od Penny Lane.

– Mieszkałeś w Liverpoolu? – nagle spojrzałam na Gavina zupełnie inaczej.

– Skończyłem studia na Uniwersytecie w Liverpoolu. A wiesz o czym teraz marzę?



Tamtej nocy jednak Gavin
został królem kubańskich
tancerzy, z każdym
ruchem ciała wyrzucając
z siebie fragment trapiącego
go smutku.



– °eby zjeść prawdziwe jabłko?

– O błękitnym steku.

Alkohol wyraźnie Gavinowi nie służył.

– *Blue steak*? – powtórzyłam powoli, usiłując domyślić się o co chodzi.

– Błękitnym, prawie surowym – powtórzył Gavin mlaszcząc językiem, a na jego okrągłą twarz wpłynęła fala rozmarzenia. – Taki stek zamawiałem w Londynie, to jest stek jednodominutowy. Tylko jedna minuta na patelni, a mięso zostaje czerwone, rozumiesz, praktycznie surowe.

– Rozumiem – potwierdziłam, dodając w myślach „ohyda”. Swoją drogą, chyba tylko Anglicy mogli czerwoną, surową wołowinę nazwać błękitną. Może miało to coś wspólnego z błękitną krwią brytyjskiej arystokracji?

– Chciałem kupić mieszkanie – odezwał się nagle Gavin z tęsknotą w głosie.

– Dwa pokoje, czterdzieści metrów kwadratowych, za sto dwadzieścia tysięcy funtów. W banku powiedzieli, że będę sponował tysiąc dwieście funtów kredytu miesięcznie, co zostawiałoby mi dwadzieścia funtów na wszystkie inne wydatki i utrzymanie się przy życiu... przy życie – poprawił się Gavin, wsłuchał we własne słowa i poprawił się jeszcze raz: – Przy życiu.

Czułam, że za chwilę pogrążymy się w londyńskim *cockneju*, którego nawrotowi wyraźnie sprzyjała szybko opróżniająca się szklanka rumu.



– I właśnie dlatego gestem hultaj – zabułgotał Gavin – bo mlaskałem podarty usłudze.

– Hm – mruknęłam niezobowiązująco.

– Przeglądałem dzisiaj pismo oferujące nieruchomości w Buenos Aires – powiedział Gavin po długiej zamyślanej ciszy. – Nicień czy wesz, ale za te pieniądze mógłbym kupić cztery nieruchomości w Buenos i zostać zawodowym właścicielem ziemskim, który żyje z wynajmu.

– *Why don't you?* – zapytałam. – Czemu tego nie zrobisz?

– Mam tylko jednego brata, żadnej siostry. Mój brat mieszka w Mediolanie, pewnie tam się ożeni i zostanie. Widziałem jak starzeli się moi dziadkowie i jak bardzo byli zależni od moich rodziców. Jeżeli obaj z bratem wyjedziemy z Anglii – co się z nimi stanie? Mój tata jest taksówkarzem, *you know*.

W odpowiedzi z oddali nagle dotarły do nas elektryzujące dźwięki muzyki. Był już późny wieczór, w zagadkowym *piano barze* nie działo się nic oprócz trwania ciemnej ciszy, wyszliśmy więc na zewnątrz, kierując się pośpiesznie w stronę hipnotycznie pulsujących rytmów kubańskiego *son* i *salsy*. Reszta nocy upłynęła zbyt szybko. Pamiętam, że wracaliśmy do naszych pokojów w tak głębokiej ciemności i ciszy, że uderzenia miękkich sandałów o kocie łby odbijały się echem przez uśpione miasto. Tamtej nocy jednak Gavin został królem kubańskich tancerzy, z każdym ruchem ciała wyrzucając z siebie fragment trapiącego go smutku.



³² I właśnie dlatego jestem tutaj, bo zostałem odarty ze złudzeń.





ROZDZIA, 14

Cuba Libre

K³⁵iedy zamawiałam w barze pierwszą colę z rumem znaną pod nazwą *Cuba Libre*, nie rozumiałam co tak naprawdę oznacza to wyrażenie. Wydawało mi się, że chodzi o przyszłość wyspy uciemnionej rządami socjalistycznego rządu. Myślałam, że jest to hasło opozycji, którym posługuje się cały świat i które na Kubie prawdopodobnie będzie zakazane. Okazało się, że jest odwrotnie. *Cuba Libre* powstała właśnie dzięki kubańskiej rewolucji z 1958 roku. Wtedy wyspa została ostatecznie oswobodzona spod wpływu obcych państw, które w bardziej lub mniej otwarty sposób sprawowały nad nią władzę. „Wolna Kuba” to jest właśnie ta, którą od kilkudziesięciu lat rządzi Fidel Castro. Wolna, bo niezależna. Tak wolna, jak była pięć tysięcy lat temu, gdy przybyli na nią pierwsi ludzie z plemienia Sibonej.

°yli szczęśliwie nie wadząc nikomu, do dnia, gdy na wyspie wylądowali rolnicy z plemienia Arawaków uciekających przed agresywnymi Indianami Karib. Karibowie byli świetnymi żeglarzami i wyprawiali się na sąsiednie wyspy w poszukiwaniu świeżych ludzkich ciał, którymi raczyli się w spokojne karaibskie wieczory. Ich zła ludożercza sława jest obecna do dzisiaj w słowie „kanibal”, utworzonym od nazwy ich plemienia *Caribal*.

Krzysztof Kolumb przyłynął na Kubę 27 października 1492 roku, zdjął kapelusz i zakrzyknął: „To najpiękniejsza ziemia, jaką widziały ludzkie oczy!”. Niedługo później Kuba została włączona do Hiszpanii – bo tak zdecydował jeden z konkwistadorów, Diego Velázquez de Cuéllar. Nikt nie zapytał o zgodę mieszkańców wyspy i takie traktowanie stało się tradycją przez następne kilkadziesiąt lat. Hiszpanie zabili indiańskich wodzów i zajęli się wydobywaniem złota, które natychmiast transportowano przez ocean do Europy. Kiedy do pracy w kopalniach i na plantacjach trzciny cukrowej zabrakło Indian, sprowadzono z Afryki



³⁵ *Cuba Libre* (hiszp.) – dosł. Wolna Kuba; także nazwa popularnego koktajlu złożonego z rumu, coli, lodu i plasterka cytryny.

czarnych niewolników. Wyspa rozwijała się tak pomyślnie, że zwróciła na siebie uwagę innych kapitalistów: o przejęcie Kuby walczyli ze sobą piraci, Hiszpanie i wysłannicy różnych krajów, takich jak choćby Korona Brytyjska i Francja, które podbijały sąsiednie wyspy na Karaibach i na mocy królewskich edyktów włączały je do swojego terytorium. Wtedy Jamajka przestała być jamajska, a Haiti haitańskie, bo zostały zawłaszczone przez Anglię i Francję. Kuba też przechodziła z rąk do rąk: podczas wojny siedmioletniej (1756–63) w Hawanie wylądowali Anglicy, ogłaszając się jej nowymi władcami. Po jedenastu miesiącach Kubę zwrócono Hiszpanii w zamian za Florydę i Luizjanę, którą dorzuciła od siebie Francja.

W 1820 roku Kuba jako największy producent cukru na świecie stała się słodkim i łakomym kąskiem dla następnych chętnych, którzy jak dotąd nie mieli okazji włączyć się do walki o władzę na Karaibach. Na scenę dość pewnym krokiem wkroczyły Stany Zjednoczone. Zbyt dystygowane, żeby uciekać się do zbrojnej przemocy, postanowiły zaufać potędze pieniądza, składając Hiszpanii propozycję nie do odrzucenia: 100 milionów dolarów w zamian za Kubę. Hiszpania milczała. Stawkę podwyższono do 130 milionów. Kubańczyków nikt oczywiście nie zapytał o zdanie. Na wyspie kwitła produkcja trzciny cukrowej, przy której pracowali zarówno niewolnicy z Afryki, jak i nowi przybysze: Chińczycy oraz Indianie sprowadzeni z Meksyku. Hiszpania nie chciała sprzedać drogocennej wyspy, Amerykanie więc postanowili przejąć ją w inny sposób – nie za pomocą walki politycznej, ale doprowadzając do stopniowego uzależnienia gospodarczego.

I tak się stało. Pod koniec XIX wieku Amerykanie budowali na Kubie linie kolejowe łączące plantacje trzciny cukrowej z fabrykami i portami, kupowali upadłe gospodarstwa i ogromne ilości cukru produkowanego na Kubie. Przyszłość wyspy zależała prawie wyłącznie od powodzenia plantacji i amerykańskich zamówień. Niektórzy bogaci właściciele ziemscy zaczęli nawet doradzać, żeby nie czekać aż Ameryka straci zainteresowanie kubańskim cukrem – co oznaczałoby upadek całej gospodarki – tylko czym prędzej przyłączyć Kubę do Stanów Zjednoczonych, dzięki czemu będzie można liczyć na stałą opiekę i rynek zbytu.

Kuba, która od prawie czterystu lat była pod kontrolą i władzą kolejno zmieniających się imperiów, teraz sama była gotowa wyrzec się niepodległości.

Tak się jednak nie stało, ponieważ głos zabrali Kreole, czyli potomkowie hiszpańskich, portugalskich i francuskich kolonizatorów urodzeni w Ameryce, oburzeni niesprawiedliwym traktowaniem i przywilejami ekonomicznymi, którymi mogli się cieszyć tylko Hiszpanie przybyli na Kubę wprost z Hiszpanii. Zapragnęli uwolnić swoje ziemie spod kontroli i zaczęli snuć plany rewolucji. Tak rozpoczęła się Pierwsza Wojna Niepodległościowa, która trwała przez dziesięć lat i kosztowała dwieście tysięcy ofiar.

Do odnowionych planów rewolucyjnych wkrótce przyłączył się młody Kreol, José Martí. Miał wtedy 25 lat, a za sobą już pobyt w więzieniu i przymusową





pracę w kamieniołomach, na które został skazany za działalność i publikacje skierowane przeciw kolonialnym władzom; deportację do Hiszpanii, gdzie studiował prawo, emigrację do Meksyku, małżeństwo, przeprowadzkę do Gwatemali i powszechną amnestię, dzięki której mógł po ośmiu latach wygnania wrócić na Kubę. Nie przestał marzyć o niepodległości i głośno wyrażać swojego sprzeciwu wobec traktowania Kuby jako zamorskiej kolonii. Brał udział w wiecach, publicznych przemówieniach i planach konspiracyjnych, i po roku znów został za karę deportowany do Hiszpanii, z której pojechał dalej do Francji, Wenezueli i Stanów Zjednoczonych. Zamieszkał w Nowym Jorku, gdzie z tęsknoty za ojczyzną tworzył wiersze i nie przestawał namawiać do oswobodzenia Kuby spod obcej władzy, zakładając Kubańską Partię Rewolucyjną. Pisał też artykuły do południowoamerykańskich gazet i zasłynął serią barwnych opowieści o życiu i obyczajach Nowego Jorku. I to właśnie José Martí jest największym bohaterem narodowym Kuby, którego pomniki i popiersia są obecne w każdym mieście i miasteczku, łącznie z wierzchołkiem najwyższego szczytu Kuby Pico Turquino (1972 m n.p.m.) w górach Sierra Maestra.

Nadszedł wreszcie moment walki. José Martí w porozumieniu z innymi rewolucjonistami przybył na Kubę w kwietniu 1895 roku, by doprowadzić do odzyskania niepodległości. Miesiąc później galopował na białym koniu, stając się

O przejęcie Kuby walczyli ze sobą piraci, Hiszpanie, Anglicy i Amerykanie.





łatwym celem dla snajpera, który z ukrycia ugodził go śmiertelnym strzałem. Hiszpanie natychmiast wzmocnili armię i wprowadzili surowe przepisy, żeby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się niezdrowej myśli o wyzwoleniu Kuby. Rolników przesiedlano do specjalnych obozów, a każdy kto popierał lub namawiał do rewolucji, podlegał karze śmierci. Egzekucje wykonywano natychmiast.

Fala wolności pędziła jednak przez Kubę jak huragan. Im bardziej Hiszpanie zaciskali pętlę, tym mocniej Kubańczycy próbowali ją rozerwać. Na całej wyspie trwała wojna. Wtedy właśnie Amerykanie postanowili odegrać się na niepokornej Hiszpanii, która odrzuciła ich wspaniałomyślną handlową ofertę. Sekretarz stanu Teodor Roosevelt gorąco poparł plany amerykańskiej interwencji na Kubie, która miała przynieść ulgę uciemiężonemu narodowi. Niektórzy mówią, że USA czekały z wkroczeniem na wyspę do momentu, gdy siły rewolucji znajdowały się o krok od zwycięstwa, by przy minimalnym wysiłku zagarnąć całą chwałę.

W styczniu 1898 roku amerykański okręt wojenny *Maine* wyruszył w triumfalną podróż do Hawany w celu „zapewnienia ochrony i bezpieczeństwa mieszkającym tam obywatelom Stanów Zjednoczonych”. Okręt szczęśliwie zacumował i stał w porcie przez miesiąc, a potem nagle wybuchł. Do dziś nie wiadomo co było przyczyną eksplozji. Hiszpanie twierdzili, że to przypadek, Amerykanie podejrzewali Hiszpanów, a Kubańczycy uważali, że mogła to być zamierzona akcja Amerykanów, która dawała im pretekst do zbrojnej interwencji na Kubie. Zginęło wtedy 266 marynarzy.

Kuba była zbyt słodka od bogactwa trzciny cukrowej, by móc łatwo odzyskać niepodległość.

Amerykanie wystąpili do Hiszpanów z propozycją ostatniej szansy: trzysta milionów dolarów w zamian za wyspę. Zgodnie z wielowiekową tradycją nikt oczywiście nie zapytał o zdanie samych Kubańczyków. Hiszpania odrzuciła ofertę licząc na szybkie zwycięstwo. Amerykanie postanowili więc porzucić nieskuteczne jak dotąd pertraktacje handlowe i przystąpili do regularnej wojny. Bili się z Hiszpanami na terytorium Kuby, walcząc o to kto obejmie nad wyspą władzę. Najważniejszą bitwę stoczono na wschodnim krańcu wyspy pod wzgórzem San Juan niedaleko Santiago de Cuba. Wygrali Hiszpanie, chociaż było ich dziesięć razy mniej niż wojsk amerykańskich. Resztkom armii przyszedł prezydent USA Teodor Roosevelt rozkazał szturmować na wzgórze i ogłosić zwycięstwo. I tak się stało. Hiszpanie poddali się w lipcu 1898 roku, a pół roku później obie strony konfliktu spotkały się w Paryżu, by podpisać traktat pokojowy dotyczący zakończenia wojny hiszpańsko-amerykańskiej i przyszłości Kuby. Chciał tam również być generał Calixto García, jeden z bohaterów kubańskiej rewolucji, ale nie pozwolono mu uczestniczyć w ceremonii. Być może dlatego, że jego armia składała się z wielu ciemnoskórych żołnierzy, a może dlatego, że niepotrzebnie chciałby zabierać głos. Hiszpania i Ameryka chciały w spokoju dogadać się w sprawie słodkiej jak trzcina cukrowa wyspy.



*Kubańskie ananasy
mogą się śmiało równać
słodyczką z najlepszymi
na świecie ananasami
z Peru i Borneo.*



Hiszpania zobowiązała się do wycofania swoich wojsk, a Stany Zjednoczone obiecały wspierać kubańskie dążenia do niepodległości – stwierdzając jednocześnie, że niezbędny jest w tym celu nadzór nad wyspą i założenie amerykańskiej bazy wojskowej. I tak właśnie – zamiast upragnionej wolności – rozpoczął się kolejny okres okupacji Kuby, tym razem narzuconej przez potężnego sąsiada. Amerykanie nie pozostawili wątpliwości co do swoich intencji. Gubernatorem Kuby został amerykański generał, a do zapisów dotyczących statusu Kuby szybko dopisano kolejne punkty, dające Amerykanom prawo do interwencji zbrojnej. W 1903 roku zażądali od Kuby wydzielenia fragmentu terytorium nad zatoką Guantanamo, na którym założono bazę amerykańskiej marynarki wojennej. W 1934 roku prezydent Roosevelt dopisał aneks do umowy, na mocy którego „wynajem” bazy Guantanamo może zostać zakończony wyłącznie na zasadzie obustronnej zgody. Do dziś oczywiście nie osiągniętej.

Mijał czas. Kuba teoretycznie była niepodległą republiką, podobną trochę do Polski w czasach komunizmu, kiedy rządził u nas „Wielki Brat” zza wschodniej granicy. Na Kubie pojawiali się kolejni prezydenci podporządkowani interesom Stanów Zjednoczonych, które kilkakrotnie wkrczały na wyspę korzystając z zapisu o prawie do interwencji zbrojnej „w uzasadnionym przypadku”.



W latach dwudziestych XX wieku Amerykanie byli właścicielami siedemdziesięciu procent kubańskiej ziemi uprawnej i kopalni. Plantacje trzciny cukrowej wciąż przynosiły bajeczne zyski. Pojawiło się też całkiem nowe źródło dochodu: alkohol, po który masowo przyjeżdżali obywatele Ameryki objętej żelaznymi kleszczami prohibicji. Na wesołej, tropikalnej Kubie znajdowali odpoczynek, zabawę w kasynach i domach publicznych. Wyspa stała się „hotelem Ameryki”. Nie przez przypadek właśnie wtedy na Kubę po raz pierwszy przyjechał Ernest Hemingway.

Załamanie gospodarcze w USA natychmiast odbiło się echem także na Kubie. Upadł rząd, władzę przejął sierżant Fulgencio Batista, który mianował się dyktatorem (popieranym przez rząd amerykański). Wszystko wskazywało na to, że Kuba już nigdy nie odzyska pełnej niepodległości. Z każdym miesiącem rosła jej zależność od potężnego sąsiada, popierana przez skorumpowany rząd. Na początku lat pięćdziesiątych ponad połowa wyspy – ziemi, przemysłu i gospodarki – znajdowała się w obcych rękach. Nadszedł więc taki moment w historii, kiedy coś musiało się stać – teraz albo nigdy.

Niewola trwała prawie pięćset lat – od chwili, gdy na wyspie wylądowali konkwistadorzy i siłą wcielili Kubę do Hiszpanii, przez okupację Anglików, potem znów Hiszpanów, aż wreszcie Amerykanów. Kuba była przedmiotem transakcji handlowych i traktatów politycznych, przyłączana do kolejnych imperiów. Była cennym nabytkiem – jako drugi największy producent cukru na świecie po Brazylii, położony w strategicznie ważnym punkcie Karaibów, z którego było blisko zarówno do Miami na Florydzie, jak i do Kanału Panamskiego. Przez całą swoją nowożytną historię Kuba była przekazywana z rąk do rąk, bez prawa do stanowienia o sobie. Nic dziwnego, że pewnego dnia musiał się pojawić ktoś, kto z marzeń o oswobodzeniu wyspy spod obcej władzy i odzyskaniu pełnej niepodległości był w stanie rozniecić wielką rewolucję. Tym człowiekiem był młody prawnik, urodzony w domu na plantacji trzciny cukrowej swoich rodziców w miejscowości Biran w prowincji Oriente. Nazywał się Fidel Castro Ruz.

Jego ojciec przybył na Kubę z Hiszpanii. Po pewnym czasie został właścicielem dużej plantacji trzciny cukrowej, gdzie pracował także jego sześciolatek syn. Fidelowi udało się przekonać rodziców, żeby wysłali go na naukę do szkoły, dzięki czemu mógł rozpocząć edukację zakończoną uzyskaniem dyplomu prawnika na Uniwersytecie w Hawanie. Razem z dwoma współnikami udzielał porad prawnych i zajmował się pomocą biednym. Zamierzał też startować w wyborach do parlamentu, gdy nastąpił przewrót wojskowy dowodzony przez generała Fulgencio Batistę, który obalił poprzedni rząd i mianował się nowym prezydentem. Młody prawnik Fidel Castro – miał wtedy 26 lat – na widok tak jawnej niesprawiedliwości, postanowił odwołać się do praworządnych kubańskich sądów. Złożył doniesienie o popełnieniu przestępstwa i pogwałceniu konstytucji. Sąd oddalił jego powództwo.



W 1952 roku poznał w Hawanie innych ludzi ogarniętych tym samym pragnieniem wolności. Miał wtedy dwadzieścia sześć lat. Rok później poprowadził pierwszy nieudany rewolucyjny atak na koszary wojskowe Moncada w Santiago de Cuba. Krótko przed rozpoczęciem akcji jego oddział został zauważony przez przypadkowy patrol. Ponad połowę rebeliantów schwytano, poddano torturom i egzekucji. Fidel Castro też został złapany, ale z niewyjaśnionych do dziś powodów trzymający go na muszce porucznik nie zastrzelił go na miejscu – choć taki miał rozkaz. Fidela doprowadzono do więzienia i wytoczono mu proces, podczas którego – jako prawnik – wygłosił w swojej obronie słynne przemówienie zatytułowane „Historia mnie rozgrzeszy”. Został skazany na piętnaście lat więzienia na Isla de Pinos³⁴, z którego wyszedł dwa lata później na mocy powszechnej amnestii, ogłoszonej po sfałszowanych wyborach wygranych po raz kolejny przez Fulgencio Batistę.

Fidel pojechał wtedy do Meksyku i tam spotkał innego młodego człowieka, który podobnie jak on był pełen świeżych pomysłów i pragnął zmienić świat na lepsze. Kuba była doskonałym miejscem na wcielenie w życie rewolucyjnych idei. Najpierw należało obalić nieuczciwy rząd, a potem uczynić z wyspy oazę sprawiedliwości i dobrobytu.

W grudniu 1956 roku grupa dowodzona przez Fidela Castro podpłynęła do wybrzeży Kuby na jachcie *Granma* i tak rozpoczął się drugi etap kubańskiej rewolucji, zakończony 31 grudnia 1958 roku, kiedy wojska Fulgencio Batisty ostatecznie ogłosiły kapitulację. Następnego dnia – dwie godziny po wybiciu Nowego Roku – dyktator zabrał czterdzieści milionów dolarów z funduszy rządowych i uciekł z nimi do Republiki Dominikany, a stamtąd do Hiszpanii, gdzie wygodnie żył przez następne piętnaście lat, czyli aż do śmierci. Fidel Castro, Ernesto Che Guevara i pozostali rewolucjoniści wkroczyli do Hawany, wezwali naród do powszechnego strajku, przejęli władzę i tak narodziła się *Cuba Libre* – wolna Kuba.

Wtedy dla Kuby rozpoczęła się następna wojna.



*Wyciskanie soku z trzciny
cukrowej, który jest tam
najbardziej popularnym
napojem, zwanym guarapo.*

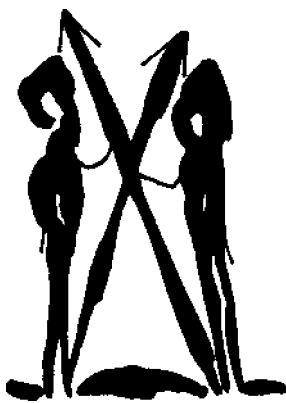
³⁴ Isla de Pinos – dosł. Wyspa Sosen, znajdująca się u południowo-wschodnich wybrzeży Kuby. Krzysztof Kolumb nadał jej nazwę *El Evangelista*, zmienioną później przez okolicznych piratów na *Parrot Island*, Wyspę Papug. Potem znana pod nazwą Wyspa Sosen, obecnie nazywa się *Isla de Juventud*, czyli Wyspa Młodości.



A woman with dark hair tied back, wearing a red t-shirt and large white hoop earrings, is shown from the back and side. She is looking over her shoulder towards the left. The background is a blurred outdoor setting with a blue fence.

**ESTA HUMANIDAD TIENE
ANSIAS DE JUSTICIA**

FIDEL



ROZDZIA, 15

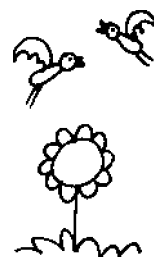
Era Fidela

Pierwszym prezydentem wolnej Kuby został Manuel Urutia, który występował jako adwokat w obronie rewolucjonistów wziętych do niewoli po ataku na garnizon wojskowy w 1953 roku. Premierem mianowano także prawnika, Fidela Castro. Pierwszymi ustawami nowego rządu był zakaz dyskryminacji rasowej oraz obniżenie opłat za elektryczność i czynsz. Nowe państwo szybko zaczęło wcielać w życie swoje wzniosłe ideały. Równość dla wszystkich, sprawiedliwość społeczna, zakaz wyzysku i prywaty. Wkrótce ogłoszono Pierwszą Reformę Rolną, na mocy której wszystkie gospodarstwa o powierzchni większej niż czterysta hektarów podlegały nacjonalizacji – czyli odebraniu właścicielom i przekazaniu w ręce „społeczeństwa”. Od lat największymi inwestorami na Kubie byli oczywiście Amerykanie. Kiedy prezydent Urutia zaprosił ich do rozmów i negocjacji, został uznany za zdrajcę rewolucji. Fidel Castro podczas publicznego wystąpienia zażądał: „Albo on odejdzie z rządu, albo ja”. Tak rozpoczęła się era Fidela.

Niełatwo było utrzymać władzę w kraju, który przez kilkaset minionych lat pozostawał pod wpływami obcych mocarstw traktujących wyspę jak kolonię, gdzie można robić szybkie interesy i spędzać tanie wakacje. Kuba była kurą znoszącą złote jajka, która zapragnęła rządzić własnym kurnikiem. Ale zaraz – zapytali Amerykanie – a co z naszymi grzędami, które zbudowaliśmy w tym kurniku?

– Nie pytaliście nas o zgodę czy wolno wam w naszym kurniku budować grzędy – odpowiedział Fidel. – Więc teraz, kiedy całe podwórko jest znowu nasze, wasze grzędy uznajemy za naszą własność i mówimy wam: do widzenia.

W Ameryce zakopiało. Oskarżając rząd rewolucyjny o bezprawie i kradzież, rozpoczęto przygotowania do kontrrewolucji i odzyskania wpływów. W odpowiedzi na ataki Fidel Castro powołał do życia milicję ludową, której zadaniem była – i jest w dalszym ciągu – obrona rewolucji kubańskiej.



W ten sposób do ideałów dołączyła wielka polityka, a razem z nią wszystko, co z polityką zawsze jest związane: walka o władzę, korupcja, biurokracja i niesprawiedliwość, która zawsze dotyka najuboższych i najskromniejszych obywateli każdego państwa.

Teoretycznie sposób myślenia nowego kubańskiego rządu był słuszny. Oto istnieje „państwo” i „obywatele” w nim mieszkający. Niektórzy obywatele są mądrzy, inni mniej. Niektórzy są obrotni i przedsiębiorczy, pomysłowi i aktywni, a inni myślą znacznie wolniej, trudniej przyswajają nowe pojęcia i wynalazki. Dlaczego więc ci, których natura wyposażyła w lepszy, szybszy i sprawniej działający rozum, mają mieć wszystkiego pod dostatkiem, podczas gdy ci wolniej myślący będą cierpieć głód i ubóstwo?

Zacząli pracować nad systemem, który miał być *sprawiedliwy*. Tak żeby każdy miał możliwość znalezienia pracy i żeby nie było więcej biedaków zniewolonych przez okrutnego zarządcę, który jak pijawka wysysa z nich ostatnie siły i oszczędności. Każdy człowiek powinien mieć swoje miejsce i czuć się dobrze.

I gdyby obywatele podeszli do swojego państwa z tym samym nastawieniem, to byłby sukces. Ale ludzie są leniwi. Kiedy dostają coś za darmo, przestają się starać i wkładać w pracę wysiłek i serce. Kiedy dom nie jest ich własnością, ale należy do „państwa”, to jest „niczyj”, więc jak się coś w nim zepsuje albo zużyje, to „państwo” naprawi albo da nowy. Są też ludzie, którzy oszukują – także w instytucjach zarządzających takim państwem. Ulegają pokusie na widok ogromnych sum i przejmują pieniądze przeznaczone na apteki, szkoły czy szpitale – a każdy taki akt to cegła wyjęta z konstrukcji, która zaczyna się chwiać.

Stąd bierze się „terror” panujący w komunistycznych państwach. Obywatele mają tendencję do wykorzystywania państwa i nie identyfikują się z nim. Pojawiają się drobne i większe przestępstwa, mnożą się kolejne zakazy, pojawia się coraz więcej policji i urzędników, których zadaniem jest pilnowanie przestrzegania tysięcy przepisów, które miały ze zwykłych ludzi uczynić obywateli idealnego systemu. Ludzkiej słabości i skłonności do grzechu nie da się wykreślić z rzeczywistości za pomocą ustawy. Ciekawe, że lekarz Che Guevara i prawnik Castro nie zdawali sobie z tego sprawy. Raczej nie chcieli o tym pamiętać. Z drugiej strony włożyli całe serce w budowanie nowej nadziei dla świata, więc porywała ich i niosła szczytna idea i głębia wiara w to, że wszystko jest możliwe.

Wyobrażam sobie, że gdybym roznieciła rewolucję w Europie i doprowadziła do tego, żeby politycy oddali swoje luksusowe limuzyny i poszli do urzędu pracy, gdzie zostaliby skierowani na sześć miesięcy resocjalizacji w normalnym miejscu pracy za zwykłą pensję, to też ze wszystkich sił wierzyłabym, że uda się doprowadzić do tego, żeby na najwyższe stanowiska w państwach wybrano wyłącznie ludzi o wielkiej mądrości – rozumu i serca. °e można by zaapelować do sumień wszystkich ludzi – by uczciwie oddawali swoje głosy na obiektywnie najlepszych kandydatów, a nie na takich, którzy są ich kumplami i mogą im „załatwić” coś na górze.





Rozumiem więc dlaczego Ernesto Che i Fidel rozpostarli skrzydła do lotu i nie widzieli chmur na horyzoncie. Bo niosła ich nadzieja i pragnienie pozytywnej zmiany.

Obywatele chętnie korzystają z darmowych prezentów, ale nie czują się w obowiązku spłacać dług wdzięczności dobrą, uczciwą pracą. Myślą, że jeśli dostają coś za darmo, to im „się należy”. To prowadzi do kolejnej rewolucji i lat wojny, i do ubóstwa, podczas którego ludzie uczą się znów doceniać dobrodziejstwo dostępności najprostszych rzeczy takich jak chleb, kawa czy mydło.

Wtedy ktoś znów wpada na pomysł, żeby zbudować państwo, gdzie wszyscy ludzie będą mieli dostęp do tych podstawowych dóbr. Po pierwszych latach zachwyty i zadowolenia ze zwycięstwa ludzie zaczynają oszukiwać i naginać system do własnych potrzeb, zaślepieni smakiem władzy i luksusu. A wśród nich rośnie kolejny rewolucjonista – taki jak Che Guevara albo Fidel Castro.

Być może prezydent Kuby jest jednym z ostatnich ludzi na świecie, który wierzy w ideały, za które przez wieki ginęli rewolucjoniści: w uczciwość, sprawiedliwość, w obronę biednych, chorych i mniej zdolnych. Ale właściwie nie miał innego wyjścia. Jako młody człowiek głosił piękne ideały, potem u jego boku walczył i zginął Che Guevara, który stał się bohaterem. Jakże Fidel mógł się

Cuba Libre – Wolna
Kuba w dniu święta
ludu pracującego
– 1 maja.



kiedykolwiek wycofać? Pozostał jako żywy pomnik Che Guevary i rewolucji, od ponad pięćdziesięciu lat grając na nosie potężnemu sąsiadowi.

Kuba nie mogła jednak pozostać całkiem sama na wielkim oceanie światowej polityki. Kiedy pod koniec lat pięćdziesiątych Amerykanie stali się oschli i agresywni, oznaki przyjaśni zaczęli okazywać Rosjanie. Dla nich Kuba też od dawna była obiektem pożądania, jako bliski sąsiad Stanów Zjednoczonych, z którymi Rosja toczyła zimną wojnę napędzającą wyścig zbrojeń. Kiedy urażeni Amerykanie z hukiem zatrzasnęli za sobą drzwi, pomocną dłoń wyciągnął w imieniu ZSRR Anastas Mikojań, ówczesny wicepremier. Niebawem podpisano kilka ważnych kontraktów, na mocy których ZSRR zobowiązywał się do współpracy z Kubą i udzielenia jej pomocy, między innymi wysyłając na Kubę zastępy profesjonalistów wielu specjalności, będących w stanie zastąpić pół miliona Kubańczyków, którzy wyemigrowali w ciągu pierwszych dziesięciu lat działania rewolucyjnego rządu.

W odpowiedzi właściciele amerykańskich koncernów naftowych na Kubie odmówili oczyszczenia radzieckiej ropy naftowej. Dwa tygodnie później koncerny zostały więc znacjonalizowane. Rozpoczęła się dosłowna walka na ciosy polityczne i gospodarcze. Wzburzony prezydent Eisenhower odmówił kupowania kubańskiego cukru. Wtedy na scenę znów usłużnie wkroczył Związek Radziecki proponując, że dla „wielkiego ZSRR” kupno tego cukru nie będzie problemem. Słusznie podejrzewając, że Ameryka nie zawaha się przed wykorzystaniem swoich ostatnich wpływów na Kubie, rząd czym prędzej postanowił ubiec groce niebezpieczeństwo i znacjonalizował należące wciąż do Amerykanów firmy telekomunikacyjne i energetyczne, kilkadziesiąt cukrowni i innych przedsiębiorstw, majątków i firm wartych prawie milion dolarów.

Patrząc na to obiektywnie, Kubańczycy mieli prawo odzyskać wolność i stać się w pełni niezależnym państwem. Światem zawsze rządziło pragnienie bogactwa, władzy i sławy, trudno więc przypuszczać, żeby Amerykanie przybywający na Kubę kierowali się szlachetnym dążeniem pomocy, a nie własnym lukratywnym interesem, który można było ubić na wyspie. I trudno się w końcu dziwić, że kiedy Kubańczycy wywalczyli niepodległość, chcieli wypędzić Amerykanów, a ci wcale nie mieli ochoty się na to zgodzić. No cóż, zbudowali swoje przedsiębiorstwa na ziemi, która wydawała się już prawie całkiem amerykańska. Pech chciał, że Kuba pozostała Kubańczykami. Gdyby przywódcy obu państw byli mądrymi ludźmi – a nie politykami – to znaleźliby rozwiązanie. Ale dali się ponieść emocjom i złości.

Jak wojna, to wojna. W odwecie Amerykanie doprowadzili do rezolucji wydanej przez Organizację Państw Amerykańskich³⁵, potępiającą sowiecką interwencję na zachodniej półkuli, w odpowiedzi Fidel Castro nawiązał stosunki

³⁵ Organizacja Państw Amerykańskich (OPA) – organizacja skupiająca 34 państwa obu Ameryk, utworzona w 1948 r. na bazie poprzedniej Unii Panamerykańskiej (od 1962 r. bez Kuby). Jej celem jest szeroko rozumiana współpraca na wszystkich polach – od współpracy kulturalnej aż po rozwiązywanie problemów ekonomicznych, społecznych i politycznych.



*Sprzedawca malangi,
zwanej japońskimi
ziemniakami.
Bulwy po ugotowaniu
mają smak podobny
do ziemniaków.*

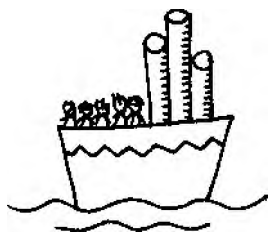


dypłomatyczne z Chinami, znacjonalizowano banki i domy, a kiedy Stany Zjednoczone wprowadziły embargo na towary kubańskie, rząd kubański przejął wszystkie pozostałe firmy amerykańskie na wyspie. W końcu oba kraje zerwały ze sobą stosunki dyplomatyczne.

W 1961 roku Stany Zjednoczone wprowadziły zakaz podróży na Kubę obowiązujący do dziś wszystkich obywateli amerykańskich. Biurom podróży i liniom lotniczym nie wolno sprzedawać biletów lotniczych na Kubę nawet okrężnymi trasami. Za złamanie tego zakazu grozi do 250 000 \$ grzywny (zwykle zasądzana jest kara 7500 dolarów) i kara więzienia do lat dziesięciu. W szczególnych przypadkach (rodzinnych, artystycznych, naukowych) można starać się o uzyskanie specjalnego pozwolenia na wyjazd na Kubę. Amerykańskim firmom nie wolno handlować z Kubą, zakaz ten dotyczy także wszystkich zagranicznych oddziałów tych firm na całym świecie. Statki wszystkich bander, które zawiną do któregoś z kubańskich portów przez sześć miesięcy mają zakaz wstępu do portów amerykańskich.

Dodatkowo na mocy Aktu o Handlu z Wrogiem³⁶ na teren USA nie wolno przywozić żadnych produktów pochodzących z Kuby. Kilka dni po powrocie z Kuby do Polski prowadziłam w radiu konkurs, w którym można było wygrać oryginalne

³⁶ Ang. *Trading with the Enemy Act*.



kubańskie cygara. Po audycji okazało się, że jednym ze zwycięzców jest słuchacz mieszkający w Nowym Jorku. Błagał mnie, żebym nie wysyłała mu nagrody.

Wzajemna niechęć i zaciekle wojna między USA a Kubą trwa nieprzerwanie od prawie pięćdziesięciu lat. Głęboko zaangażowane są w nią tajne służby wywiadowcze CIA, FBI, milicja ludowa i kubańska służba bezpieczeństwa. Najgorsze jest jednak to, że wojna na szczycie dotyka wszystkich zwykłych ludzi na co dzień.

Zakaz handlu z Kubą dotyczy w praktyce głównie żywności, lekarstw i urządzeń³⁸ medycznych. W 1997 roku Amerykańskie Stowarzyszenie Światowego Zdrowia napisało w dorocznym raporcie, że embargo „doprowadziło do znacznego wzrostu cierpienia – a nawet przypadków śmierci – na Kubie”.

Od lat Stany Zjednoczone wydają 26 milionów dolarów rocznie na utrzymywanie rozgłośni radiowych i telewizyjnych, których zadaniem jest przedrzeć się przez kubańskie blokady, by dotrzeć do odbiorników obywateli Kuby. Jednocześnie podczas *periodo especial* – „okresu specjalnego” wprowadzonego przez Fidela Castro w latach 1990–95 każdy dorosły Kubańczyk stracił na wadze od dwóch do dziesięciu kilogramów, bo zwyczajnie brakowało jedzenia i panował głód.

Wojna między Kubą a USA wcale nie zmniejsza się z upływem lat, a wprost przeciwnie – rośnie i nabrzmiewa coraz bardziej. Nowe uchwały amerykańskiego rządu pozwalają na wytaczanie procesów sądowych firmom i osobom, które przejęły ich dawny majątek na Kubie, a także zabraniają jakiegokolwiek prezydentowi USA zniesienia embarga nałożonego na Kubę do chwili, gdy na wyspie zmieni się rząd. Organizacja Narodów Zjednoczonych w oficjalnych dokumentach potępiła takie postępowanie.

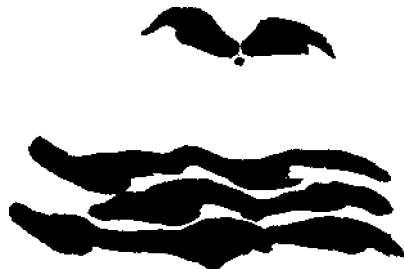
Kubańczycy nie pozostają Amerykanom dłużni. Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych teoretycznie zlikwidowano ambasady w obu krajach. Jednak w Hawanie przy ambasadzie Szwajcarii – czyli na gruncie „neutralnym” – powstała Sekcja Interesów Amerykańskich, której zadaniem jest śledzenie wydarzeń na miejscu. Jej obecność w samym centrum Hawany nie jest dla nikogo tajemnicą. Kubańczycy prowadzą w tym miejscu bardzo intensywną kampanię polityczną, skierowaną zarówno do stacjonujących tam Amerykanów, jak i samych Kubańczyków. Naprzeciwko okien Sekcji zawieszono ogromnych rozmiarów powiększenie jednej z fotografii zrobionych w Iraku, pokazującej torturowanie więźniów przez amerykańskich żołnierzy. Dodano do tego zdjęcia wielką czarną hitlerowską swastykę i napis: Neonaziści.

Fidel Castro często występuje w telewizji wygłaszając wielogodzinne przemówienia, podczas których wytyka błędy i nadużycia dokonywane przez amerykański rząd, oskarżając go także o wspomaganie terrorystycznych działań skierowanych przeciwko Kubie i samemu Castro. Trudno się zorientować co z tego jest prawdą, a co polityczną propagandą.



³⁷ Ang. *American Association for World Health*.





ROZDZIA, 16

Durian na plaży

Porannek wstał ciepły i obiecujący. Znowu odniosłam wrażenie, że odkryłam następne dwa światy kubańskiej natury. Jeden obowiązujący za dnia – galopującego komunizmu ze wszystkimi jego paradoksami i uciążliwościami; drugi – rozpoczynający się nocą, kiedy na wyspie króluje radosne szaleństwo kubańskiej muzyki, tańca i śpiewu. Tak jakby dzienna Kuba była żywym pomnikiem Fidela Castro, a nocna – wcieleniem legendarnego Buena Vista Social Club.

O siódmej rano usiadłam w pustym pokoju gościnnym przy ciężkim brązowym stole. Za drzwiami słychać było przejeżdżające kolaski i stukanie końskich kopyt. A może wpadłam w realną pętlę czasową i za drzwiami czekał mnie Dziśki Zachód, gdzie konne powozy są regularnym środkiem transportu i zastępują wynalazione później autobusy i taksówki... Wczoraj przy ulicy Marthy Abreu widziałam postój dorożek, na którym stała kilometrowa kolejka chętnych pasażerów czekających na swoją kolej. Kiedy podjeżdżała dorożka, z kolejki w pośpiechu wybiegało osiem pierwszych osób, które siadały na dwóch drewnianych, wąskich

trzymały więc na kolanach, woźnica zaciął konie i odjeżdżał na trasę.

Nie, to nie może być Dziśki Zachód. Piję kawę z filiżanki *Made in USSR*, a przede mną siedzą dwa pieski z ruszającymi się głowami, takie jakie były popularne w Polsce w latach siedemdziesiątych. Na ścianie wiszą chińskie obrazki – owoc współpracy Fidela Castro z zaprzyjaźnionym narodem Mao.

Nawet Gavin w świetle dnia znów wyglądał jak pulchny Anglik zabłąkany tu przez przypadek, w argentyńskim kapeluszu, wielkich obwisłych spodniach i jeszcze większej szarej koszulce z krótkimi rękawami. O ósmej usiedliśmy do śniadania przygotowanego przez żonę Mojżesza. Gorąca, świeża kawa smakowała niebiańsko. Nie zdziwiłam się, kiedy Gavin poprosił o herbatę. Musiał na tej obcej ziemi podtrzymywać angielskie tradycje. Starannie i pracowicie przeżuwał kawałek bułki



z masłem i dżemem, zjadł jajecznicę z cebulą i pół pomarańczy, w końcu odsunął od siebie talerz i powiedział, składając usta w trąbkę, tak samo jak robił to w przypadku wypowiedzania sakramentalnych słów *to be honest with you* :

– Tak strasznie chce mi się pić – dotknął parującej filiżanki i syknął – ale muszę poczekać aż ostygnie.

Cierpliwie i z brytyjską godnością siedział przy stole, czekając aż herbata przestanie parować, po czym wziął filiżankę w dwa palce i wychylił ją do dna, wydając z siebie w końcu zadowolone westchnienie.

Dzień spędziliśmy pracowicie – najpierw wynajętym *coco taxi* pojechaliśmy do Doliny Wodnych Młynów, a potem na szczyt wzgórza, z którego roztacza się widok na ciągnące się w dole spokojne pola z kępami królewskich palm. Tak jak w każdym ważnym miejscu na Kubie, tak i tutaj ideały kubańskiej rewolucji i niepodległości potwierdzała obecność popiersia bohatera narodowego José Martí. Komunistyczna rzeczywistość narzucała jednak pewne ograniczenia. Zapotrzebowanie na popiersia było tak ogromne, a środki finansowe tak skromne, że rozpoczęto masową produkcję popiersi z plastiku. I taki właśnie plastikowy José Martí stał na straży Doliny Wodnych Młynów. Miał ułamany nos, przez który można mu było zajrzeć do środka – by zobaczyć, że we wnętrzu jest pusty.

Po południu następną taksówką pojechaliśmy dwanaście kilometrów na po-

Varadero, na której Gavin chciał spędzić ostatni tydzień swojej podróży dookoła wiata. Biały piasek, turkusowe morze, niskie palmy czochrane przez wiatr i luksusowy hotel z betonu i szkła. Cisza, spokój, pręgowany kot polujący na jaszczurki i tropikalnie gorące słońce. Miałam dosyć po pół godzinie, ale Gavin usiadł pod palmą i sycił się karaibskim zapachem słonych fal.

Usiadłam więc i ja, ulegając hipnotyzującej wizji horyzontu, która zawsze uruchamiała we mnie trudną do opanowania ciekawość. Co jest tam po drugiej stronie? Jak żyją tam ludzie, w co się ubierają, co jedzą, czym pachnie ich dom, czy są szczęśliwi?

– Zabiłem byka, cóż to dla mnie byk – usłyszałam nagle. – Tu-tu-tututu-tu-tutu-tutu – śpiewał pod nosem Gavin, najwyraźniej dając się ponieść emocjom. Zauważyłam, że ten powracający motyw jest czymś w rodzaju wentyla bezpieczeństwa i instynktowną reakcją na stres. Ale czym może się stresować Anglik z East Endu na cudnej kubańskiej plaży?

– Wiesz co mi to przypomina? – zagadnął Gavin. – Poszedłem kiedyś z przyjacielem do wielkiego orientalnego supermarketu w Londynie i tam jeden człowiek sprzedawał duriany . Znasz?

– Znam.



³⁸ Durian (łac. *Durio zibethinus*) – drzewo owocowe rosnące w południowo-wschodniej Azji. Owoce duriana są dużymi koleczastymi kulami o wadze kilku kilogramów. Po otwarciu wydobywa się z nich bardzo silna cuchnąca woń. W niektórych krajach, m.in. w Malezji, obowiązuje zakaz wnoszenia durianów do miejsc publicznych, takich jak metro, hotele czy restauracje.



– Ale nie wpuścili go do środka, więc sprzedawał je na zewnątrz.
– To zrozumiałe, bo gdyby wszedł do środka, to wszyscy by uciekli.
– No właśnie, ale ja o tym nie wiedziałem. Przyjaciel namówił mnie, żebym kupił kawałek duriana, uprzedzając żeby lepiej nie wносить go do domu. Schowa-

się ciała. Byłem przerażony. Przeszukałem cały dom i cały garaż myśląc, że ktoś podrzucił mi nieboszczyka, a potem przypomniałem sobie o durianie. Otworzy-

Gavin zamilkł z zamyślonym wyrazem twarzy, tak jakby naprawdę na chwilę uszło z niego życie.

– Wziąłem kawałek duriana do ręki – ciągnął po chwili z niejaką trudnością, jakby w gardle utkwiała mu kość – i włożyłem go do ust, ale nie mogłem go przełknąć, po prostu nie mogłem.

Znowu zamilkł, wyraźnie przeżywając na nowo tamto okropne przeżycie.

– Aty lubisz duriany? – zapytał w końcu.

– Uwielbiam – powiedziałam zgodnie z prawdą. Durian wprawdzie śmierdzi jak zepsute mięso i spleśniały ser, ale jeśli odrzuci się porażające skojarzenia zapachowe i wzrokowe (bo wewnątrz duriana wygląda trochę jak surowe podroby), jeśli człowiek skoncentruje się na doznaniach smakowych, to odkryje

*Kubańskie coco taxi,
czyli taksówki kokosowe.*



w durianie niebiańskie bogactwo słodyczy o konsystencji delikatnego śmietanowo-orzechowego budyniu.

– *Oh, it's so disgusting!* – zawołał Gavin patrząc na mnie z pomieszaniem obrzydzenia i zaintrygowania. – jakie to odrażające! Musisz być całkowicie pozbawiona zmysłu zapachu!

– Wprost przeciwnie – odrzekłam cierpko. – Nigdy mi go nie brakowało, a po latach spędzonych w dżungli nawet się wyostrzył. Teraz na przykład czuję, e po porannym połowie rybacy zostawili na brzegu zepsute ryby.

– Gdzie? Gdzie? – zdenerwował się Gavin. – Nic nie widzę!

– Czasem ważniejsze jest to, czego nie widać – odparłam filozoficznie. – Czuję je nosem.

Osiągnęłam zamierzony skutek, bo Gavin podkurczył pod siebie nogi, jakby się bał, że śmierdzące ryby pełzną po piasku specjalnie po to, żeby dotknąć jego szlachetnie angielskiej skóry i zostawić na niej cuchnący znak.

Kierowca czekającej na nas taksówki też musiał wyczuć, że nadszedł właściwy moment, żeby nam o sobie przypomnieć, bo syknął, tak jak to jest w zwyczaju wszystkich Kubańczyków, którzy chcą zwrócić na siebie uwagę. Odwróciłam się do niego i pokiwałam mu uspokajająco ręką.

– Idziemy? – zapytałam Gavina.

– To zabawne – powiedział, wstając i otrzepując się z piasku. – W kilku krajach spotkałem się z tym, że ludzie sykają na siebie zamiast powiedzieć „Przepraszam”.

– Tak jest prawie w całej Ameryce ,acińskiej – potwierdziłam.

– W Afryce też widziałem, że sprzedawca syka na klienta, żeby zwrócić jego uwagę na swój towar.

– No właśnie – zgodziłam się. – Tutaj jest tak samo. Kierowca syknie na pasażera, policjant na zagubionego turystę, ale nie okazują w ten sposób zniecierpliwienia, tylko chęć pomocy i nawiązania kontaktu.

– To jest tym bardziej interesujące – zauważył Gavin. – Ponieważ w Anglii sykanie na kogoś jest bardzo obraźliwe. Gdyby ktoś syknął na mnie w Londynie, to byłoby absolutnie *socially not acceptable*, towarzysko nie do przyjęcia.

– Może twój świat jest zbyt skomplikowany?

Kierowca znów syknął, żeby mi pokazać, że minęło już czterdzieści minut, na które byliśmy umówieni. Wsiedliśmy więc do taksówki i pojechaliśmy z powrotem do Trinidadu. Gavin podczas drogi nie powiedział ani słowa. Raz tylko zaśpiewał tu, tu, tututu, tututu, tutu na melodię „Zabiłem byka” i aż do wieczora pozostał zatopiony w swoich niewątpliwie niezwykle angielskich myślach.



Gavin usiadł pod palmą
i sycił się karaibskim
zapachem słonych fal.



kVF 4t:

fp l';

0

do

A

4

p

[Redacted area]

[Redacted area]

411'1 "d" 74;

w

411le.
"Me% 'W'"

~ho-

NI

111bN.



ROZDZIA, 17

Astro, czyli Gwiazda

Spędziliśmy z Gavinem dwa spokojne dni, podczas których udało nam się dotrzeć do miasta Camagüey i wiele razy zabłądzić w labiryncie jego krętych ulic. Zbudowano je specjalnie z myślą o korsarzach, którzy po dopadnięciu brzegu mieli się pogubić w podstępnych zaułkach. Zbójcy pod wodzą słynnego pirata Henry’ego Morgana okazali się jednak sprytniejsi, czego nie można powiedzieć o zabłąkanych i kompletnie zdezorientowanych europejskich turystach, chodzących po Camagüey z oszołomionym wyrazem twarzy i przewodnikiem w rękach. Camagüey słynie z wielkich glinianych dzbanów, które kiedyś służyły do przechowywania wody. Legenda mówi, że jeśli ktoś napije się wody z takiego dzbana czyli *tinajone*, to zakocha się w mieście bez pamięci i zawsze będzie chciał tu wracać. Mieszkańcy chyba nie życzą sobie obcych przybyszów, bo dzisiaj dzbany stojące w ogrodach są pełne piasku.

Camagüey było tylko przystankiem w drodze do osławionego Santiago de Cuba położonego na wschodnim krańcu wyspy. Po złych doświadczeniach z samobieżnymi klimatyzowanymi lodówkami marki *Viazul*, do których na Kubie są pakowani obcokrajowcy, postanowiłam tym razem nie dawać za wygraną tak długo, aż zdobędę bilet do zwykłego autobusu dla tubylców. Po wejściu na dworzec natychmiast jak zwykle skierowano mnie do specjalnego pokoju dla nie-Kubańczyków, gdzie pani w białej bluzce już kładła palce na kasie, żeby wyrwać z mojej kieszeni słoną opłatę za przejazd.

- Nie chcę biletu na *Viazul* – oświadczyłam. – Chcę jechać autobusem *Astro*.
- *Astro* nie jeździ do Santiago de Cuba.
- Jeździ, pytałam u naczelnika stacji.
- Ale *Astro* jeździ wolniej niż *Viazul*.
- To nic, mam dużo czasu.
- Często się psuje, nigdy nie wiadomo czy dojedzie do celu.



- Zaryzykuję.
- Ale *Astro* jest tylko dla Kubańczyków.
- Ale w każdym autobusie są dwa miejsca dla turystów.
- Ale już nie ma miejsc.
- Są, pytałam u naczelnika stacji. Może pani sprawdzi jeszcze raz.
- Ale dzisiaj *Astro* nie jeździ.
- Ja wcale nie chcę dzisiaj jechać.

Kubanka niechętnie przerzuciła kilka tekturowych, zniszczonych teczek z napisami, w końcu wyciągnęła jedną z hasłem „Astro”.

- Na jutro? – zapytała.
- Tak. Dwie osoby.

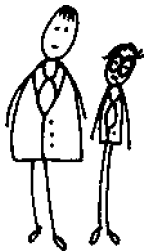
Zamaszyście wpisała dwa nazwiska, ostrzegła na koniec, że trzeba przyjść godzinę wcześniej i wcale do końca nie wiadomo czy autobus odjedzie, po czym wręczyła mi bilety. Wtedy jeszcze czułam się jak zwycięzca.

Wyjechaliśmy zgodnie z planem o dziewiątej rano. Autobus był taki, jak lubię: zwykły, bez klimatyzacji, przez otwarte okna do środka wpadał ciepły wiatr i promienie słońca, ludzie opowiadali sobie różne historie, dzieci spały albo rozglądały się szeroko otwartymi oczami, a koła toczyły się naprzód po rozgrzanym asfalcie w rytm mruczenia potężnego silnika. Kierowca i jego pomocnik – zgodnie z regulaminem pracy na Kubie – byli ubrani w śnieżnobiałe koszule z krawatami. Obaj wyglądali jak bohaterowie amerykańskiej komedii z lat pięćdziesiątych: kierowca był okrągły jak beczka i z trudem wciskał się za kierownicę, a jego pomocnik – Rafaello – drobnej budowy i półtora metra wzrostu, nosił okulary w grubych rogowych oprawkach, a na czole miał starannie przylizaną falę błyszczących, czarnych włosów. Wszyscy wydawali się w świetnych nastrojach, choć po pół godzinie jedna z najmłodszych pasażerek nie wytrzymała kołysania i zwymiotowała na gumową podłogę między siedzeniami. Nikt nie zwrócił na ten wypadek większej uwagi. Ja szukałam w przewodniku adresu najlepszej kwatery prywatnej w Santiago de Cuba, a Gavin wyglądał przez okno, dyskretnie kryjąc swój wrażliwy angielski nos pod rondem argentyńskiego kapelusza.

– Chciałbym kupić koszulkę z logo firmy Cohiba³⁹ – powiedział nagle, odwracając się do mnie. – Może gdzieś widziałaś?

– Chyba nie – odrzekłam podnosząc wzrok znad książki. Gavin codziennie wypalał jedno cygaro, próbując różnych gatunków i smaków, przy czym za każde płacił co najmniej dziesięć dolarów. – Ale na pewno wszędzie dostaniesz koszulkę z portretem Che Guevary.

– O nie, nigdy! – odparł natychmiast. – Przecież to był morderca!



³⁹ Cohiba – jeden z najsłynniejszych gatunków kubańskich cygar.



W jego głosie zabrzmiało to, co często wcześniej słyszałam w niektórych kręgach w Polsce. Automatyczna odpowiedź, która brzmiała jak hasło reklamowe lansowane tak długo, aż zapadnie w pamięć i wyda się prawdą uniwersalną.

- Dlaczego uważasz, że to był morderca? – zapytałam z ciekawością.
- Bo zabijał ludzi – odrzekł równie szybko i automatycznie Gavin.
- Była wojna – przypominałam mu. – Podczas wojny ludzie z obu stron strzelają do siebie i chcą się pozabijać.
- Bronisz go? – zapytał ze zdumieniem Gavin.
- Nie bronię go, ale przyjechałam na Kubę po to, żeby się dowiedzieć prawdy. Kim naprawdę był Che Guevara, jaki był i o co w tym wszystkim chodziło.
- To był morderca – powtórzył Gavin. – To on rozniecił tę wojnę, kiedy pojechał do Boliwii.

Nagle oboje wbiliśmy się policzkami w poprzedzające fotele, bo kierowca gwałtownie nacisnął na hamulec i autobus stanął. Powietrze zgęstniało. Gdy zabrakło wiatru wpadającego przez okna, na sile zyskały wszystkie zapachy obecne w autobusie, łącznie z przysychającym pawiem dziewczynki. Do środka wszedł milicjant, kazał zgasić silnik. Rutynowa kontrola stanowiska pracy. Kierowca i jego asystent posłusznie prezentowali dokumenty i odpowiadali na pytania. W ciszy wyraźnie było słyhać, że pytania stawały się bardziej napastliwe,

Postanowiłam zdobyć bilet do zwykłego autobusu dla tubylców.





*Nie kończący się
podwieczerek w gronie
pomnikowych pań.*

a odpowiedzi nerwowe. Wszyscy pasażerowie już od pewnego czasu musieli się wsluchiwać w tę rozmowę, bo nagle po kolejnym ostrym zdaniu wypowiedzianym przez milicjanta, odpowiedział mu cały autobus. Ludzie nie wstając z miejsc zaczęli coś do niego wołać, przekrzykiwać się, na co milicjant krzyczał jeszcze głośniej:

– *Permiso, permiso!* Przepraszam! Przepraszam! – i coś im zawile wyjaśniał, a pasażerowie w odpowiedzi krzyczeli, że nie chcą się spóścić, żeby dał spokój, bo to oznacza co najmniej godzinę opóźnienia w Santiago de Cuba.

Milicjant okazał się jednak nieugięty. Kazał zawrócić autobus na posterunek do najbliższej miejscowości. Kierowca musi zapłacić grzywnę za to, że w autobusie na podłodze znajdowały się nie posprzątane wymioty – czyli za to, że jego miejsce pracy było brudne. Koniec i kropka. Nie ma negocjacji.

W grobowym milczeniu kierowca zapalił znów silnik i cofnęliśmy się kilkanaście kilometrów do miasteczka, gdzie razem ze swoim asystentem, Rafaello, znikli w czeluściach komendy milicji obywatelskiej. Wrócili pół godziny później, lekko błądzi i wyraźnie niezadowoleni, sprzątnęli podłogę autobusu, sprawdzili obecność równie poirytowanych pasażerów i przystąpili do czynności zmierzających do udania się w dalszą drogę. Niestety, nieskutecznie. Autobus nie chciał ruszyć.



Dśwignia zmiany biegów zgrzytała ostrzegawczo i stawiała opór. Kierowca z czołem pokrytym kropelkami potu próbował coraz to nowych sposobów, aż wreszcie Rafaello zdjął śnieżnobiałą koszulę, włożył swoje cywilne ubranie i wpełzł pod autobus, żeby zobaczyć co się stało.

– *To be honest with you* – zauważył Gavin – gnam złe przeżucia.

– Słucham? – odwróciłam się do niego z roztargnieniem, bo przyglądałam się właśnie kościstej, nagiej klatce piersiowej Rafaella.

– Nie chciałbym brzmieć pesymistycznie, ale naprawdę mam złe przeżucia co do tego autobusu.

– Spokojnie – mruknęłam. – Nie martw się, dojedziemy do celu.

– Tak, ale kiedy? I czym?

Rafaello wyczołgał się spod autobusu z rękami czarnymi do łokci. Wsiadli- my czym prędzej, kierowca usadowił się w swoim fotelu, zazgrzytał dśwignią zmiany biegów i westchnął. Rafaello bez słowa wydobył skrzynię z narzędziami, rozścielił na ziemi kawałek starego koca i zniknął pod podłogą autobusu. Pasażerowie wysypali się na zewnątrz, rozsiedli na ławkach i zaczęli rozmawiać o tym, co się stało, zauważając, że wszystkiemu jest winny milicjant, bo gdyby nas nie zatrzymał, to autobus by się nie zepsuł i jechalibyśmy dalej.

Wyjęłam z plecaka trzy ostatnie owoce *nispero*, które kupiłam poprzed- niego dnia. Są okrągłe jak śliwki, o brązowej, szorstkiej skórce, pod którą kryje się słodki, mazisty miąższ w smaku podobny do daktylowej gruszki. Przez noc zdążyły dojrzeć i jeden z nich pękł, odsłaniając swoje niezbyt wi- dowskowe wnętrze.

– Masz ochotę spróbować? – zapytałam Gavina, choć odpowiedź właściwie znałam. Gavin nie jadał niczego, co jest miękkie i nie chrupie. Dlatego zawsze z lekkim obrzydzeniem spychał na skraj talerza pomidory, a z pracowitą przyjem- nością chrupał surową kapustę i ogórki.

– Uch! – zawołał z odrazą odwracając głowę. – Wolałbym już patrzeć na rzygi!

Nie dam mu tej przyjemności. Owoce *nispero* rosną na niezwykle ważnym drzewie, z którego starożytni Majowie robili pierwszą gumę do żucia na świecie. Nacinali korę, z której wypływała gęsta mleczna żywica nadająca się do żucia. °u- li gumę stając twarzą w twarz z hiszpańskimi konkwistadorami, którzy zauważyli ten dziwny zwyczaj, ale nie mieli zamiaru go naśladować. Dopiero gdy sok mlecz- ny uzyskany z drzewa trafił przez przypadek do Stanów Zjednoczonych w 1860 roku, rozpoczęła się jego oszałamiająca kariera. Po polsku drzewo i owoce nazy- wa się sapodilla, sączyniec właściwy lub pigwica właściwa (łac. *Achras zapota*, *Manilkara zapota*).

Usiadłam na drewnianej ławce obserwując nieruchome nogi Rafaella zanu- rzonego pod autobusem.

– A więc uważasz, że George Bush i Tony Blair są mordercami? – zagadnę- am Gavina, bo przypomniła mi się nasza wcześniejsza rozmowa.



– Słucham? – zamrugął nieprzytomnie oczami.

– Kiedy rozmawialiśmy o Che Guevarze, powiedziałaś, że to morderca, bo doprowadził do wybuchu wojny, w której ginęli ludzie. George Bush i Tony Blair też doprowadzili do wybuchu wojny, w której giną ludzie. Może powinieneś powiedzieć: „Och, przy okazji, oni także są mordercami”.

– Ale nikt nie uważa George’a Busha i Tony’ego Blaira za swojego idola, tak jak chcą się wzorować na Che Guevarze – odrzekł wzburzony Gavin. – To są przywódcy polityczni, ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś mówił: „George Bush to świetny gość, też chciałbym taki być”.

– Ale doprowadzili do wybuchu wojny, więc czemu nie potępisz ich za to samo, za co potępiasz Che Guevarę?

– Chodzi o przywództwo ideologiczne, a nie o politykę. Siła w odpowiedzi na siłę to pojęcie dość romantyczne. Czy nie wolałabyś, żeby przywódcą ideologicznym był ktoś, kto jest rzecznikiem pokojowego rozwiązywania sporów, takim jak Martin Luther King?

– Ale czy Martin Luther King nie skłonił ludzi do sprzeciwienia się istniejącej sytuacji i czy w ten sposób nie doprowadził do ich śmierci?

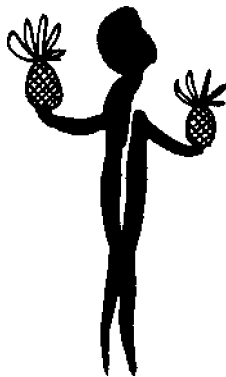
– Tak – odpowiedział Gavin po chwili milczenia. – Ale oni byli świadomi ryzyka, jakie podejmują. A kim był Che?

– Człowiekiem, który miał nadzieję, że kraj odzyska wolność – odrzekłam i znów zapadła cisza. Musieliśmy sobie to wszystko przemyśleć. A autobus wciąż stał.



*Cierpliwość jest darem
bogów i przywilejem
wszystkich ubogich narodów
wiata. Tam gdzie brakuje
pieniędzy, czasu jest
najczęściej pod dostatkiem.*





ROZDZIA, 18

Prawda Gavina

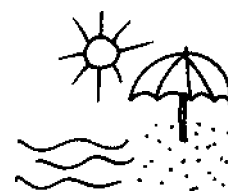
Cierpliwość jest darem bogów i przywilejem wszystkich ubogich narodów wiata. Tam gdzie brakuje pieniędzy, czasu jest najczęść cieję pod dostatkiem. Kuba była wystarczająco biedna, żeby nauczyć swoich obywateli cierpliwości. Pasażerowie autobusu unieruchomionego przez tajemnicze zrządzenie mechaniki czekali bez słowa. Siedzieli na ławkach, spacerowali, jedli lody i pizze z serem, rozmawiali lub drzemali. Tylko jedno było wiadomo na pewno: nic nie można zrobić. Po tym jak zatrzymała nas milicja i wlepiła mandat za brudną podłogę, także my – Gavin i ja, jedyni Europejczycy i jedyni turyści w promieniu wielu kilometrów – mieliśmy świadomość tego, że pewne wydarzenia są nieuniknione i można jedynie przyjąć je do wiadomości.

Gavin ocknął się nagle z głębokiego zamyślenia, które wyglądało jak sen.

– *To be honest with you* – złożył usta w trąbkę – jestem gotów dużo zapłacić za to, żeby móc leżeć na plaży i nic nie robić, ale takie siedzenie w autobusie i nic nierobienie doprowadza mnie do wściekłości.

Była to bardzo dystygowana wściekłość, w najwyższym stopniu brytyjska. Kilka dni wcześniej na plaży w Ancon pod Trynidadem sprawdzaliśmy ceny hoteli *all-inclusive*⁴⁰. Gavin postanowił ostatnie dni swojej podróży dookoła świata spędzić na słynnej plaży Varadero niedaleko Hawany w takim właśnie hotelu, który przy skromnych założeniach kosztuje co najmniej siedemdziesiąt dolarów za dobę.

Ja też nie lubię przymusowego czekania, chociaż zdążyłam się przyzwyczaić do tego, że w Azji obowiązuje czas azjatycki, w Afryce czas afrykański, a w dżungli czas dżunglowy, które sprowadzają się do nieustannego oczekiwania na coś, co miało się wydarzyć, ale z bliżej niewyjaśnionych powodów się nie staje. W takich



⁴⁰ *All-inclusive* (ang.) – hotel, którego cena obejmuje nie tylko nocleg, ale także całodzienne wyżywienie, napoje w barze i korzystanie z basenów oraz plaż.

sytuacjach są dwa wyjścia: albo zatopić się w filozoficznej medytacji, która nie dostrzega upływu kolejnych minut i godzin, ale unosi się nad wszystkimi zegarami w ponadczasowym milczeniu; albo znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Chwyciłam aparat fotograficzny i wyruszyłam na łowy. Instynkt myśliwego zaprowadził mnie najpierw na jedną z ulic, gdzie znajdował się malowniczy postój dorożek konnych z równie interesującymi dorożkarzami palącymi cygara. Stamtąd wiedziona niezawodnym przeczuciem trafiłam na mały rynek. Wyglądał zupełnie nie zachęcająco: zaczynał się półokrągłą bramą zbudowaną z białego betonu, przez którą było widać szereg smutnych, opuszczonych betonowych bokosów. Weszłam do środka. Po prawej stronie dostrzegłam jeden z najbardziej cudownych widoków świata: zielone kępy ostrych liści wyrastających ze szczytu dojrzałego ananasa. Oczy mi się zaświeciły, a w sercu poczułam miód. Targowisko było prawie zupełnie puste – tylko przy jednej z długich lad stało kilkoro Kubańczyków, którzy czekali na spósnionych klientów z wyjątkowym uporem albo z powodu niespotykanego lenistwa.

Ananasy były małe, ale pachniały na tyle słodko, że zakasałam rękawy i przystąpiłam do dzieła. Od jednego ze sprzedawców pożyczyłam wielki rzeźnicki nóż, położyłam ananasa na boku, obciąłam mu piętki z obu stron, a potem – tak jak robiłam to tysiące razy wcześniej – wprawnymi ruchami obrałam go z łupiny, pokroiłam na plastry i zjadłam. Z każdym kęsem czułam wstępującą we mnie energię. Przypomniałam sobie także o cierpiącym z nic nie robienia Gavinie, kupiłam więc następne dwa ananasy, obrałam je, pokroiłam w plastry i podziękowałam oszołomionym sprzedawcom, którzy najwyraźniej po raz pierwszy widzieli w swoim miasteczku podróżującego Europejczyka, który mówił i zachowywał się jak tubylec.

Triumfalnie wkroczyłam do autobusu, usiadłam obok Gavina i podsunęłam mu aromatyczną zawartość nieco zużytej torebki plastikowej.

– *Oh* – powiedział z zaskoczeniem. – Ty chyba zawsze potrafisz dać sobie radę, prawda?

– Prawda – odrzekłam. – Masz ochotę spróbować?

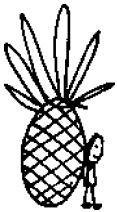
Zobaczyłam w jego angielskich oczach wahanie, więc z okrutną uczciwością dodałam:

– Przyznaję, że nie miałam gdzie wymyć rąk, a torebka nie była zbyt czysta, ale proszę, poczęstuj się.

Ostrożnie wziął kawałek ananasa i delikatnie, jakby bał się zabrudzić, włożył go sobie do ust.

– Proszę – podsunęłam mu torebkę, z której wydobywały się tak oszałamiająco słodkie i żywiczne zapachy świeżego ananasa, że wszyscy w autobusie zaczęli nerwowo poruszać nosami.

– Nie, nie, dziękuję – odparł Gavin zgodnie z moimi przypuszczeniami. Jego wspiarskie wychowanie najwyraźniej nie pozwalało na jedzenie surowych, nieumytych owoców, krojonych w niehigienicznych warunkach i przechowywanych





w podejrzanej torebce. Tym lepiej. Ananasy były dojrzałe, pełne słońca i tak pyszne, że bez trudu sama zjadłam wszystko do końca. Wyciągnęłam się błogo w fotelu, nagle zgłodniałym pasażerom udzieliłam wskazówek jak trafić na targ i przymknęłam oczy.

Gavin znów dał się ponieść czarnym myślom, bo po dłuższej przerwie zauważył:

– Wiem, że ludzie tutaj potrafią sobie dać radę w każdej sytuacji, ale... *to be honest with you*, to jest przecież kierowca, a nie mechanik.

Minęły już ponad trzy godziny od momentu, kiedy okazało się, że nie możemy jechać dalej. Nagle Rafaello wyczołgał się spod autobusu. Wyglądał jak kominiarz.

Wytarł czarne ręce w starą skarpetkę i ogłosił, że nic więcej nie da się już zrobić.

– No tak, przypuszczałem, że tak będzie! – powiedział Gavin.

– Ale nie martwcie się – dodał Rafaello. – Wezwaliśmy pomoc. Zaraz do nas wyślą z Camagüey zastępczy autobus.

Ale co teraz? – zapytał ktoś.

– Czekać – odrzekł Rafaello, mrugając czarnymi oczami za grubymi szklami okularów. Jego starannie nabrylantowana fala nad czołem pozostała tak doskonała, jak była o dziewiątej rano. Nie zaszkodziły jej godziny jazdy ani czołganie się pod podłogą. – Musimy czekać aż przyjedzie autobus.

Są miejsca, gdzie czas sprowadza się do nieustannego oczekiwania na coś, co miało się wydarzyć, ale się nie staje.





*Wjadłodajni dla
Kubańczyków można
zjeść bułkę z „proteiną
jarzynową” za 25
groszy, kupić najtańsze
cygaro i wypić szklanekę
wody z syropem.*

W innym państwie szybko można by znaleźć zastępczy transport, choćby dlatego, że więcej jest linii autobusowych i obsługujących je pojazdów. Ale nie na Kubie. Tutaj linia jest tylko jedna, państwowa, a na miejsce w autobusie trzeba czasem czekać tygodniami. Cóż więc znaczy pół dnia opóźnienia i następne kilka godzin oczekiwania? Doprawdy nic. Czekaliśmy więc dalej.

– Starożytni Egipcjanie pracowali przez siedem dni w tygodniu i mieli tylko dwa

■ – Naprawdę?

– I dlatego tak szybko umierali – dokończył ponuro.

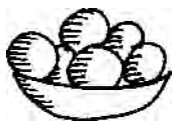
Dochodziła druga po południu, z nieba lał się skwar, pasażerowie wrócili do autobusu, jakby mieli nadzieję, że uruchomią go wiarą w cuda. Zamilkliśmy na chwilę, pochłonięci tragicznym losem mieszkańców starożytnego Egiptu, a potem Gavin zapytał z nagłym błyskiem w oku:

– Wiesz jak się robi pączki?

– Wiem, robiłam kiedyś pączki w domu.

– Ale wiesz jak się pączki napełnia dżemem?

– Wiem, normalnie można nakładać łyżeczką. A wiesz, że najlepsze pączki wiata robi się w Polsce? Mają w środku konfiturę z róży, a na wierzchu biały lukier ze skórka pomarańczową.



– Naprawdę? – popatrzył na mnie podejrzliwie, tak samo jak wtedy, kiedy opowiadałam mu o polskich jabłkach.

– Poza tym są różne pączki, nie tylko z dżemem różanym, mamy na przykład pączki z ajerkoniakiem w środku albo z nadzieniem orzechowym.

Ze spojrzenia Gavina wyczytałam, że już nie podejrzewa mnie o przesadę i zmyślanie, tylko jest ich pewien.

– A czy widziałaś kiedyś maszynę do napelniania pączków? – zapytał.

– Maszynę?

– Miałem taką weekendową pracę podczas studiów – w piekarni, gdzie wy-piekano pączki. Zostałem przydzielony do obsługi maszyny do pączków, która napelniała je dżemem.

– Maszyny? – powtórzyłam, próbując sobie ją wyobrazić.

– Nadziewasz pączka, pociągasz za wajchę i wstrzeliwujesz do niego dżem. A jeśli zapomnisz nadziać pączka i pociągniesz za wajchę, to dżem ląduje na suficie. Hi, hi, hi – zaczął się śmiać. – Właśnie sobie przypomniałem jak strzelałem z dżemu truskawkowego do sufitu, hi, hi, hi, hi, hi...

– Hi, hi, hi, hi, hi – wyobraziłam sobie jak w łysego Gavina w białym fartuchu wstępuje duch walki, prowadzący go do okopów cukierni, gdzie strzela truskawkowym dżemem do much na suficie.

– Ale skoro już o tym rozmawiamy – Gavin nagle spowaźniał i pochylił się do mnie, jakby chciał mi zdradzić w sekrecie, że w rzeczywistości strzelanie z pączków było tylko przykrywką dla jego szeroko zakrojonej działalności jako agenta 007 w brytyjskim kontrwywiadzie. – Zwykle nie jestem aż tak bardzo uparty, ale ponieważ ciągle wracasz do tego tematu, muszę ci coś powiedzieć.

W sennej ciszy kubańskiego popołudnia słychać było metaliczne zetknięcie się naszych stalowych spojrzeń.

– Słucham? – podjęłam wyzwanie.

– Przypomniałem sobie artykuł pewnego lewicowego dziennikarza napisany dla *The Independent* – powiedział Gavin. – To jedna z moich ulubionych gazet, mimo że usiłuje zachować polityczną neutralność, przez co staje się nudna do czytania.

Uniosłam brwi na to dziwne połączenie zaangażowanego politycznie dziennikarza w neutralnej gazecie, której zaleta była postrzegana jako wada. Czy chodzi o to, żeby gazeta angażowała się politycznie po którejś ze stron i w atrakcyjny sposób atakowała opozycję, czy o to, żeby przekazywała obiektywne informacje? Ale nic nie powiedziałam, wyczuwając, że zbliżamy się do próby ostatecznego rozstrzygnięcia dyskusji o rewolucji kubańskiej.

– To był artykuł napisany jako komentarz do filmu „Dzienniki motocyklowe” na podstawie pamiętników Che Guevary – ciągnął Gavin.

Skinęłam głową. Widziałam ten film i podobał mi się, chociaż rzeczywiście odniosłam wrażenie, że postać Ernesta Che Guevary jest pokazana w bardzo idealistyczny sposób.



– No i?

– Napisał, że film odświeża pamięć o jednym z symboli komunizmu, który był seksowny i głosił piękne ideały, ale jednocześnie wielbił Stalina i pochwalał masowe ludobójstwo.

– Doprawdy? – zapytałam, nie mogąc się powstrzymać od prowokującego tonu.

– Doprawdy – powtórzył po mnie Gavin i wytoczył swoje najcięższe działo:

– Pamiętam fragment z przemówienia czy artykułu napisanego przez Che Guevarę, w którym namawiał ludzi do tego, żeby nienawiść do wroga pomogła im pokonać naturalne ograniczenia człowieka i stać się skutecznymi, zimnymi maszynami do zabijania.

– Tak powiedział?

– Tak. Pamiętam z tego artykułu taki cytat: *murder and run away, murder and run away*⁴¹. To była technika wojny zalecana przez Che Guevarę. Czy naprawdę uważasz, że takiego człowieka należy stawiać na piedestale?

Spojrzałam Gavinowi w oczy. Jeżeli nie zmyślił tego cytatu, to wszystko co dotychczas myślałam o doktorze Che Guevarze właśnie legło w gruzach. Nie można być jednocześnie zimnym mordercą i wrażliwym lekarzem, który chciał ratować świat przed niesprawiedliwością, ubóstwem i chorobą. Jaka jest prawda? Gdzie jej szukać? Chyba tylko tutaj, w przybranej ojczyźnie Che Guevary, na wyspie targanej przez gwałtowne wichry historii. I w zakurzonych tomach „Dzieł wszystkich” Ernesta Che Guevary, kupionych w starej księgarni, gdzie czas zatrzymał się prawie sto lat temu – i w których czym prędzej się zatopiłam.



Gavin poprosił o herbatę.
Musiał na tej obcej ziemi
podtrzymywać angielskie
tradycje.

⁴¹ *Murder and run away* (ang.) = Morduj i uciekaj.



ROZDZIA, 19

Noc potworów

Zbliżał się wieczór, gdy obudził mnie wspaniały hałas działającego silnika. Nadjechał obiecany zastępczy autobus, do którego mieliśmy się przesiąść, żeby móc kontynuować przerwana podróż. Wydawało się, że pasażerowie zdążyli już przyrosnąć do foteli zepsutego autobusu, bo wychodzili z niego powoli, z trudem ciągnąc za sobą dzieci i tobołki. Raffaello cierpliwie doglądał przesiadki, pomagając przenosić bagaże, odpowiadając na pytania i uspokajając zaniepokojonych. Niestrudzenie krążył między starym a nowym autobusem, przebrany z powrotem w służbową białą koszulę z epoletami, a jego nieprawdopodobna fryzura układająca się gładkimi falami nad czołem była tak świeża i nienagannie przylizana, jak dziesięć godzin wcześniej.

Usiadłam obok Gavina. Znowu śpiewał na melodię „Zabiłem byka”:

– Tut, tu, tututu, tut tutututu....

Rzuciłam mu z ukosa krótkie spojrzenie, ale był zbyt zajęty swoimi myślami. Ruszyliśmy. Zauważyłam, że śpiewanie pomagało mu zachować zimną krew w sytuacjach kiedy czuł, że może stracić nad sobą panowanie. Udawałam więc, że go nie słyszę, ciesząc się jednocześnie, że potrafi w tak powściągliwie angielski sposób okazywać skłonność do bliskiego wybuchu wściekłości, hysterii lub paniki. Mieliśmy osiem godzin opóźnienia. Po jakimś czasie Gavin zmienił repertuar. To był dobry znak.

– *Strangers in the night* – pucił Gavin, wyglądając przez okno w zapadającą ciemność – *exchanging glances* ... A jaka jest twoja ulubiona piosenka Franka Sinatry? – zagadnął mnie nagle pogodnym głosem.

– „I’ve Got You Under My Skin” – odpowiedziałam bez namysłu.



⁴² *Strangers in the night exchanging glances* (ang.) – „Nieznajomi nocą wymieniają spojrzenia...”, pierwsze słowa piosenki „Strangers in the Night” Franka Sinatry.

– Tego nie będę śpiewał – zmarszczył czoło i zamilkł na jakiś czas w ponurym zamyśleniu. – A co byś wołała: mieć więcej pieniędzy czy więcej wakacji?

– Więcej wakacji – powiedziałam od razu. – Człowiek, który nie odpoczywa, gorzej pracuje, jest bardziej zmęczony i mniej szczęśliwy.

– *To be honest with you*, chciałbym... – odezwał się Gavin po chwili milczenia z dziwną tęsknotą w głosie. – Chciałbym być teraz w Capetown na początku mojej podróży.

– Naprawdę? – zapytałam zastanawiając się dlaczego chciałby cofnąć czas i wykasować ze swojego życia minione dwanaście miesięcy fantastycznej przygody dookoła świata.

– Och, bez urazy! – Gavin chyba pomyślał, że poczułam się dotknięta tym, e zamiast siedzieć ze mną w autobusie wołałby być w Afryce. – Ale gdybym mógł mieć znowu przed sobą rok niesamowitej wyprawy w nieznanne!... I tę samą wielką sumę pieniędzy znów w kieszeni!...

– Jeszcze możesz to zrobić.

Uśmiechnął się tylko lekko kącikami ust, nasunął na czoło kapelusz i westchnął głęboko. A ja wróciłam do lektury dzieł wszystkich Ernesta Che Guevary, szukając w nich potwierdzenia tego, że był mordercą.

Przed jedenastą w nocy dotarliśmy do portu przeznaczenia, czyli dworca autobusowego w Santiago de Cuba. Panowała głęboka ciemność i bezludna cisza. Ostrożnie zeszliliśmy na ląd. Czekałam na otwarcie bagażnika, gdy podszedł do mnie urzędnik *servicio de seguridad*⁴³ w niebieskim mundurze, dotknął mojego ramienia i czułą, prawie szeptem zapytał czy potrzebuję taksówkę.

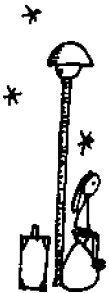
– *Si, creo* – odpowiedziałam z wdzięcznością, ciesząc się, że kubański ochroniarz tak znakomicie spełnia swoją rolę i pojawia się dokładnie w momencie, kiedy jest potrzebny.

– I kwaterę prywatną? – dodał strażnik.

– *Si, creo*.

– Znam pewnego właściciela kwatery prywatnej – strażnik wyjął z kieszeni wizytówkę – w samym centrum. Poczekaj tutaj! – polecił i szybkim krokiem odszedł.

Ogarnęło mnie dziwne przeczucie. Czy strażnik polecał mi swojego znajomego właściciela kwatery prywatnej, czy działał wciąż oficjalnie jako urzędnik kubańskiej ochrony, którego zadaniem jest dbać o bezpieczeństwo obywateli? Czy mogę zignorować jego polecenie i przystąpić do organizowania sobie noclegu, czy też ze względu na okoliczności powinienam okazać mu szacunek należny umundurowanej władzy, która jeśli zechce może mnie wsadzić do aresztu? Zanim zdążyłam rozstrzygnąć tę istotną kwestię, strażnik wrócił, prowadząc za sobą wysokiego Murzyna w czerwonej koszulce piłkarskiej i czerwonej czapce,



⁴³ *Servicio de seguridad* (hiszp.) – ochrona, służba bezpieczeństwa.

⁴⁴ *Si, creo* (hiszp.) – Tak sądzę, chyba tak.



od którego mocno pachniało alkoholem. Dśwignął moją torbę, władował ją na podest swojego *bici-taxi*⁴⁵ i powiedział uspokajającym głosem w narzeczu kubańsko-angielskim:

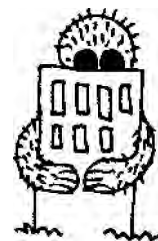
– *No problema, no problema!*

Strażnik potwierdzająco zamrugał oczami. Wcisnęliśmy się do *bici-taxi* z Gavinem i jego plecakiem, w sumie stanowiąc ładunek około stu pięćdziesięciu kilogramów – i wyruszyliśmy w ciemną noc.

Miasto wyglądało jak plan zdjęciowy do dreszczowca. Lada moment z każdego wąskiego, wypełnionego gęstą ciemnością zaułka mógł wyskoczyć potwór morski, włochaty goryl albo inny Obcy, który w rozpaczliwej tęsknocie za ojczystą planetą demoluje Ziemię i pożera jej mieszkańców. W oczekiwaniu na niespodziewany rozwój wydarzeń trwaliśmy w głuchej ciszy, którą rozbiła nerwowe turkotanie kół naszej rowerowej taksówki. Zawodnik numer 15 – taki numer miał na koszulce wiozący nas Kubańczyk – nie oszczędzał nóg i pedałowal przez noc jak uczestnik Wyścigu Pokoju.

– Tu tu, tututu, tut tutututu... – wydobył ze ściśniętego gardła Gavin.

Fidel Castro powołał do życia milicję ludową, której zadaniem jest obrona rewolucji kubańskiej.



⁴⁵ *Bici-taxi* (hiszp.) – trójśladowy pojazd taksówkowy, którego kierowca siedzi na połowie roweru (*bici* to skrót od hiszpańskiego słowa *bicicleta* = rower), ciągnąc za sobą ławkę na dwóch kółkach, przykrytą daszkiem, gdzie mieści się dwóch pasażerów.



*W nocy dotarliśmy do
portu przeznaczenia,
czyli Santiago de Cuba.*



Był blady jak prześcieradło i siedział nieruchomo jak posąg, zaciskając ramiona wokół górnej części plecaka. Po kilkunastu minutach w oddali zobaczyłam wiatła. Wyraźnie zbliżyliśmy się do zamieszkałej części Santiago de Cuba. Na pierwszym skrzyżowaniu stały cztery mdłe latarnie rzucające w ciemność trochę óltego światła. Odetchnęłam z ulgą. Powracamy do świata żywych. Swoją drogą czy to nie dziwne, że o jedenastej w nocy w drugim największym kubańskim mieście panuje taka cmentarna cisza, ciemność i pustka? Nagle uświadomiłam sobie, że od początku drogi towarzyszy nam jak duch drugi pojazd, mniejsza *bici-taxi*, na której jechał Kubańczyk o posępnie milczącej twarzy i w rastafariańskiej czapce. Spojrzałam na Gavina, ale wydawał się całkowicie oderwany od rzeczywistości. Popatrzyłam więc na plecy pedałującego Zawodnika Numer 15, a on jakby czując mój wzrok odwrócił się i powiedział:

– No problema, no problema!

W odpowiedzi rozległ się huk, nasza taksówka raptownie stanęła i położyła się na boku.

– No problema, no problema! – powtórzył natychmiast Zawodnik Numer 15 i tylko dzięki jego przytomności umysłu nie wylądowaliśmy twarzami na asfalcie. Przytrzymał przewracającą się taksówkę swoim ciałem, biorąc na siebie uderzenie sztywnego Gavina wraz z jego stukilogramowym plecakiem.

Drugi Kubańczyk zatrzymał się przy nas i bez słowa podał urwane koło. Twarde siedzisko ławki, na której dość boleśnie spędziliśmy ostatnie kilkanaście minut, wydało się teraz nagle oazą ciepła i bezpieczeństwa. Kiedy obie rowerowe taksówki stanęły, cisza panująca w mieście wydała się jeszcze większa i tak głośnie, że biła po uszach. No tak, pomyślałam, to wszystko mogło być w ten sposób precyzyjnie zaplanowane. Taksówkarz satelita podążał za nami czekając na znak, a teraz kiedy nastąpił ten umówiony moment...

– Tu tu, tututu, tut tutututu... – usłyszałam nagle ze ściśniętego gardła Gavina. Rzuciłam mu piorunujące spojrzenia, którego jednak w otaczających nas ciemnościach mógł nie dostrzec. W krytycznym momencie i w dramatycznej sytuacji, kiedy stoimy na bezludnej ulicy w środku nocy w obcym mieście, on zachowuje się jak beztroski turysta i prosi o kłopoty.

– Daleko jeszcze? – zapytałam czym prędzej po hiszpańsku, żeby uzmysłowić naszym przewodnikom, że nie damy się łatwo skołować. – Może pójdziemy dalej piechotą?

– To wykluczone! – odrzekł od razu Kubańczyk. – Zbyt niebezpiecznie, żebyście sami nocą szli po pustych ulicach.

Trudno było się z nim nie zgodzić. Z drugiej jednak strony jakie bezpieczeństwo zapewnia nam upojony alkoholem kierowca taksówki w koszulce piłkarskiej i jego milczący rastafariański cień?

– *No problema!* – Kubańczyk jednym ruchem przewrócił swoją taksówkę do góry nogami, przyjrzał jej się dokładnie, ostukał i stwierdził: – Tego się nie da naprawić. To koło będzie się pod nami urywało. Musicie się przesiąść!

Duch usłużnie podstawił nam swój pojazd. Gavin jak zahipnotyzowany usiadł na ławce i zamarł, przytrzymując podawane mu bagaże. Na końcu wciśnęłam się też ja i ruszyliśmy, potykając się na dziurach i kamieniach. Z ulgą widziałam coraz częstsze tabliczki z zielonym trójkątem, które oznaczały pokój do wynajęcia.

– Zatrzymaj się! – powiedziałam do naszego kierowcy. – Spróbujemy zapukać do drzwi i może znajdziemy wolną kwatere.

– Nie mogę! – odrzekł Zawodnik Numer 15 nie przestając pedałować. – *Tengo un compromiso*, mam zobowiązanie!

– Jakie zobowiązanie? – pochyliłam się do przodu.

– Mam zobowiązanie! – powtórzył Kubańczyk nie zwalnając. – Zobowiązaniem się wobec oficera na dworcu autobusowym, że dowiozę was na miejsce przeznaczenia! Rozumiesz?

– Rozumiem – powiedziałam. Słowo honoru jest święte, choć skąd mogę wiedzieć, że chodzi o dżentelmeńskie wywiązanie się z danego słowa, a nie chęć zarobienia swojego 50% haraczu, który zostanie zapewne ściągnięty z właściciela kwatery, do której zostaniemy zawiezieni?...

– *No problema* – pocieszył mnie Kubańczyk. – To jest blisko, w samym centrum! Już niedaleko.



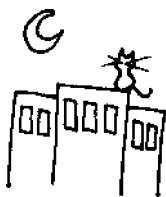
– Dobrze się czujesz? – zapytałam bladego Gavina, a kiedy skinął głową, dodałam cicho po angielsku: – Byłoby dobrze, gdybyś mógł się powstrzymać od piewania na jakiś czas.

Kiwnął jeszcze raz głową, ale zauważyłam, że usta same rwą mu się do śpiewu i mimowolnie składają się na kształt trąbki. Zanim jednak zdołał wyrzucić z siebie kolejną serię „tututututu”, podniosłam jego miękką dłoń i położyłam mu na ustach. Mknęliśmy teraz z górką tak szybko, że wiatr świstał w uszach. Najdziwniejsze jednak było to, że z każdym obrotem kół jasna dzielnicowa sfera światła coraz bardziej się od nas oddalała, a my wślizgiwaliśmy się z powrotem w nieprzeniknioną ciemność i pustkę.

– Dokąd jedziesz? – zapytałam czym prędzej naszego kierowcy. – Chcemy zostać w centrum!

– *Si, si!* – odrzekł Zawodnik Numer 15. – *No worry, no worry!*⁴⁶ Zaraz będziemy na miejscu!

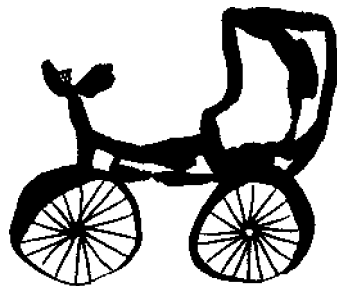
Każdy zjazd w dół ma to do siebie, że prowadzi najczęściej do kolejnego podjazdu do góry – i tak też było w naszym przypadku. Zaczęliśmy się wspinać po stromym, brukowanym zaułku. Dookoła ścieliła się czarna kubańska noc, która gęstniała z każdą minutą. Nagle zobaczyliśmy kilka osób siedzących na krawężniku. Szeroko otwartymi oczami śledzili nasz każdy ruch, a my rewanowaliśmy się im tym samym, do chwili, kiedy Gavin nie wytrzymał napięcia i wymamrotał: „Tu tu, tututu, tut tutututu...”, a błyszczący od potu Zawodnik Numer 15 odwrócił się i obdarzył go ponurym spojrzeniem. Wiedziałam już, że to śle wróży. Minęliśmy głęboko zdumioną grupkę na chodniku i potoczyliśmy się w kolejną wąską, bezludną i czarną uliczkę, z której prawdopodobnie nie było już odwrotu.



*Minęliśmy głęboko
zdumioną grupkę na
chodniku i potoczyliśmy
się w kolejną wąską,
bezludną i czarną uliczkę,
z której prawdopodobnie
nie było już odwrotu.*

⁴⁶ *No worry!* – z angielskiego: Nie bój nic, nie martw się (poprawnie: *Don't worry!*).





ROZDZIA, 20

Strefa żywych

Zatrzymaj się! – powiedziałam twardym głosem do Zawodnika Numer 15.
– Zatrzymaj się, nie chcemy jechać dalej!

– *No worry* – powiedział łagodnie, ale nie zwolnił nawet o metr. – *No problema, no problema*, za chwilę będziemy na miejscu.

– Gdzie to jest? – zapytałam najbardziej surowym głosem, na jaki mogłam się zdobyć, jednocześnie kładąc na szczycie plecaka plastikową torbę wypchaną ubraniami, którą niby niechcący przycisnęłam Gavinowi do twarzy. Gdyby teraz zaczął śpiewać, to poważny nastrój pękłby jak dojrzały owoc *nispero*, a mój wymagający ton i ostre spojrzenie nabrałyby zupełnie innego znaczenia.

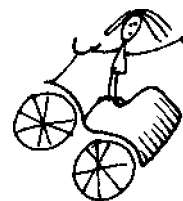
– To jest tu blisko, już całkiem niedaleko – zadyszał Kubańczyk, bo znowu zaczęliśmy się wspinać uliczką do góry.

Nie było czasu do stracenia. Teraz albo nigdy. Z każdą minutą oddalaliśmy się coraz bardziej od jedynych kilku oświetlonych ulic, wpadając coraz głębiej w cmentarną pustkę i ciemność bezludnego miasta, w której kłębiły się cienie mrozących scen w żyłach obrazów z horrorów i kryminałów. Wyprostowałam się, chwyciłam za metalowy pręt podtrzymujący daszek nad siedzeniem dla pasażerów i czując się jak Juliusz Cezar na rydwanie porwanym przez przestraszone konie, zawołałam w noc:

– Zatrzymaj się! Nie chcę jechać dalej! Ja wysiadam!

Zawodnik Numer 15 natychmiast odruchowo nacisnął na hamulec. Gavin huknął głową w siodełko od roweru, ale nawet nie mruknął, prawdopodobnie dlatego, że ustami bezgłośnie jak ryba szczypał sztywne od strachu powietrze. Kierowca pochylił się do mnie i półgłosem powiedział:

– To nie jest dobre miejsce, *comprende?*⁴⁷ To nie jest dobre miejsce.



⁴⁷ *Comprende* (hiszp.) – rozumiesz?

Zrozumiałam. Trafiliśmy do najczarniejszej dzielnicy Santiago de Cuba, gdzie nawet tubylec czuł się zagrożony. W jego głosie brzmiała nuta szczerzej przestrogi i lęku. Odbił się od ziemi i już mieliśmy ruszać dalej, ale złapałam go za rękę:

– Nie, chcę jechać w tamtą stronę! – pokazałam w prawo, gdzie jak mi się wydawało zostały w tyle jedyne jaśniejsze ulice. – Mijaliśmy tam kilka *casas particulares!* Spróbujmy tam!

– Nie! – sprzeciwił się Kubańczyk. – Ja mam *un compromiso! Compromiso con el señor, comprende?* Dałem słowo oficerowi na dworcu! Słowo kubańskie, rozumiesz? Słowo wielkiej wagi! Najwyższej!

Z tymi słowami wskoczył na siodełko i ze szczytu ciemnego wzniesienia stoczyliśmy się w jeszcze ciemniejszy zaułek, głośno stukając kołami o bruk. Czułam jak miejska brudna ciemność przykleja mi się do skóry i nagle zrozumiałam dlaczego wyruszył przez miasto w towarzystwie rastafariańskiego satelity: bo znając zagrożenia sam nie chciał ryzykować życia. Kubańczyk znów zaczął mamrotać do siebie:

– To nie jest dobre miejsce, to nie jest dobre miejsce...

Zdaje się, że i on jechał tutaj wbrew własnej woli, kierowany poczuciem obowiązku do wypełnienia obietnicy złożonej oficerowi ochrony; albo nadzieją zysku, bo zgodnie z obowiązującą niepisaną umową Kubańczyk, który przyprowadza klienta do kwatery prywatnej lub restauracji, może w zamian żądać od właściciela połowy tego, co zapłacił turysta (przy czym oczywiście ta dodatkowa połowa jest dopisywana później do rachunku gościa).

Odczekałam do chwili kiedy znów zaczęliśmy się wspinać na czarną stromą ulicę, złapałam kierowcę za rękę i zażądałam, żeby natychmiast zawrócić!

– To nie ma sensu! – krzyknęłam. – Ty się męczysz pedałując pod górę, a ja i tak nie chcę tu być!

– Nie mogę – zajęczał, ale czułam, że mięknie. – Dałem słowo, dałem kubańskie słowo! Jeśli nie będzie ci się tam podobało, to jest inna sprawa, mogę cię wtedy zawieść z powrotem do centrum, ale najpierw muszę cię zawieść tam, gdzie obiecałem.

– Nie zgadzam się! – zawołałam kategorycznie. – Odmawiam! Nie chcę jechać dalej! Chcę natychmiast wrócić tam, gdzie było światło i pokoje do wynajęcia. Nawet nie masz co próbować jechać dalej, bo ja i tak już wiem, że nie będę chciała tam zostać!

Kubańczyk popatrzył na mnie z wahaniem. Jego czerwona sportowa koszulka była mokra od potu. Satelita rastafarianin zbliżył się do nas cicho jak duch i skinął głową.

– Dawaj! Zawracaj! Jedziemy do centrum! – powiedziałam czym prędzej i zataupałam w podłogę. – Nie ma co gadać, jedziemy z powrotem!



W ciemności miasta kłębiły się cienie mrozących scen w żyłach obrazów z horrorów i kryminalów.

²⁸ *Compromiso con el señor, comprende?* (hiszp.) = Zobowiązałem się wobec tamtego człowieka, rozumiesz? Dałem mu słowo!



Trafiliśmy do najczarniejszej dzielnicy Santiago de Cuba, gdzie nawet tubylec czuł się zagrożony.



Nasz kierowca niechętnie, z ociąganiem zawrócił swoją rowerową taksówkę i pozwolił, żeby zaczęła się staczać z górki z powrotem w dół. Odetchnęłam. Nagle usłyszałam obok siebie dziwny hałas. To Gavin zaczął oddychać. Na jego policzki wrócił delikatny różowy kolor życia. Po chwili pochylił się do mnie i szeptem wyznał:

– *You know, actually*, prawdę mówiąc, po raz pierwszy tutaj na Kubie naprawdę się bałem. Myślę nawet – ścisnął usta w jeszcze ciaśniejszą trąbkę – że groziło nam wielkie niebezpieczeństwo.

– Wiem – odrzekłam krótko.

– Ale teraz – pocieszył mnie Gavin – wszystko powinno być dobrze. Byle bymy tylko znaleźli jakiś pokój.

– Znajdziemy.

Znowu w oddali zamigotały ciepłe światła latarni. Kubańczyk posłusznie skręcił w ich kierunku i kilka minut później powróciliśmy do strefy żywych, choć głęboko uśpionych mieszkańców Santiago de Cuba. Szybko się zorientowałam,

e nasz kierowca nie ma zamiaru odpuścić wielkiej szansy, jaką dawało mu dowiezienie na miejsce dwojga Europejczyków. Na wyścigi chodziliśmy od bramy do bramy i waliliśmy do drzwi oznaczonych zielonym trójkątem. Gavin czekał w taksówce pilnując bagaży. Było grubo po północy. W końcu jednak drzwi się otworzyły i stanęła w nich ponętna blondynka w różowym peniuarze.

– Przepraszam – zająknęłam się ze zdumieniem. – Czy tu są pokoje do wynajęcia?

– Są – odrzekła blondynka zaspanym głosem, odgarniając z twarzy złote loki. – Wejdźcie do środka.

Obaj kierowcy natychmiast podążyli naszym śladem i usiedli wygodnie w fotelach.

– Poproszę paszporty – blondynka usiadła przy stole i wyjęła teczki z dokumentami. – Muszę zgłosić was do urzędu.

– Wiem – odrzekłam ze współczuciem. Jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie zgłosisi naszego pobytu i nie odprowadzi podatku od zarobionych pieniędzy, może stracić wszystko, łącznie z domem i całym dobytkiem.

– *Polonia*? – zapytała ze zdziwieniem.

– *Si*.

– Napiłbym się wody – wtrącił Zawodnik Numer 15.

– I ja też – dodał jego rastafariański satelita.

Zapłaciłam im umówioną sumę pięciu peso wymienialnych i dorzuciłam jeszcze pięć. Najważniejsze w końcu jest to, że wylądowaliśmy bezpiecznie w prywatnej kwaterze, bez względu na kubańskie *compromiso* i godzinę duchów. Skinęłam na Gavina i czym prędzej oddaliliśmy się do naszych pokoi, zostawiając obu taksówkarzy wygodnie rozpartych w fotelach i popijających wodę. Uznałam, że kwestie kubańskich zwyczajów najlepiej wytłumaczą sobie sami Kubańczycy.

Kiedy zasypiałam, słyszałam cichy szmer głosów dobiegających z dołu, ale potem wszystko zlało się w cudownie spokojny, aksamitny sen, który jak welon zaścielił moje łóżko i trzymał mnie w uścisku aż do rana.







ROZDZIA, 21

Mieszanka wybuchowa

Mam takie hobby – powiedział Gavin z dziwnym uśmiechem – znaleźć najlepszy hotel w mieście, wejść, zapytać o cenę i obejrzeć pokój.

– I?...

– I już. Takie hobby.

– Kolekcjonujesz ceny najlepszych hoteli świata – stwierdziłam bez zdziwienia i popatrzyłam w dół na panoramę ulic. Siedzieliśmy na szczycie hotelu Grand, gdzie urządzono ogród i restaurację. Santiago de Cuba w blasku słońca było kompletnie innym miastem. Po raz kolejny doznałam osobliwego wrażenia nieustającego rozdwojenia wszystkiego, co istnieje na Kubie. Bezludna pustka nocy zamieniła się w gorący dzień pełen spalin przejeżdżających samochodów, budek z pachnącą pizzą i ludzi śpieszących do swoich zajęć. Po przeżyciach zeszłej nocy Gavin kategorycznie zażądał znalezienia miejsca, gdzie będzie mógł wypić herbatę, zjeść niadanie i zapalić cygaro. Tak właśnie trafiliśmy na dach hotelu Grand.

– Na Gwiazdkę kupowałem ludziom takie prezenty, jakie sam chciałbym dostać – dodał Gavin z pewną tęsknotą w głosie. – W nadziei, że im się nie spodoba i będę mógł je zatrzymać.

– Udawało się?

– Z moim bratem zawsze tak.

Jak szybko dramat może się zamienić w sielankę – pomyślałam, dziobiąc widelcem kawałki ananasa. Kilka godzin temu byliśmy bohaterami dreszczowca, a teraz siedzimy przy stoliku przykrytym białym obrusem, pijemy kawę i herbatę, a Gavin po zjedzeniu megaomletu wyciąga kubańskie cygaro i z lubością je zapala, wypuszczając z ust drobne kłębki dymu.

Santiago de Cuba leży nad Morzem Karaibskim, a ściślej mówiąc – nad naturalną przystanią, jedną z trzech znajdujących się na Kubie (dwie pozostałe to Cienfuegos i słynne Guantanamo). Pierwszym burmistrzem tego miasta był



Hernán Cortez, który później okrył się wielką i złą sławą jako pogromca Azteków żyjących na terenie dzisiejszego Meksyku. Błękitne niebo łagodnie opierało się o szare ściany domów i wszystko wydawało się znajdować na właściwym miejscu. Nie mogłam się jednak oprzeć wrażeniu, że jest to spokój niosący w sobie zapowiedź wielkiej zmiany. Nie myliłam się, oczywiście.

Najpierw jednak Gavin zaczął się dusić. Znałam jego zwyczaje dotyczące kubańskich cygar: kupował tylko najdroższe, specjalnie opakowane w aluminiowe tubki, wyłącznie w licencjonowanych sklepach, płacąc po kilkanaście dolarów za sztukę. Próbował różnych smaków, wielkości i mocy, od najsłynniejszej *Cohiby*, która została stworzona wyłącznie dla dyplomatów w 1966 roku, ma charakterystyczny pikantny smak i występuje w jedenastu odmianach, dostępnych dla zwykłych ludzi dopiero od nieco ponad dwudziestu lat. Próbował też innych marek: ulubionych cygar Fidela Castro (do czasu gdy rzucił palenie): *Corona Grande Montecristo* i *Cohiba Esplendidos*; cygar *Punch*, przeznaczonych początkowo wyłącznie na eksport do Wielkiej Brytanii, łagodnych *Romeo y Julieta* (ulubionego gatunku Winstona Churchilla), mocnych *Partagás* i kilkudziesięciu innych. Gavin palił jedno cygaro dziennie – zanim wróci do Londynu i zanurzy znów w codzienności. Teraz siedział przy eleganckim stoliku ze łzami na czerwonych policzkach, a cygaro w jego palcach wyglądało jak po wybuchu ukrytej laski dynamitu. Rozdwajało się na końcu.

– Czy na pewno kupiłeś je w odpowiednim sklepie? – zapytałam niewinnie.

– *How dare you?!* – zawołał Gavin, gwałtownie łapiąc powietrze. – Jak możesz?!

– To cygaro wygląda na tanią podróbkę – ciągnęłam okrutnie. Co chwilę na ulicy zaczepiał nas ktoś, kto oferował „oryginalne cygara”, dodając przy tym odpowiednią historyjkę, najczęściej o bracie lub siostrze, która pracuje w fabryce cygar i pragnie odsprzedać swój najprawdziwszy i najwyższej jakości przydział.

– Nicień czy wesz – Gavin opanował łzy, a jego twarz zaczęła nabierać zwykłego różowego koloru – ale to figaro jest wyjątkowo nocne.

– Mocne? – upewniłam się czy dobrze rozumiem.

– Tak – westchnął i z ukrywaną ulgą odłożył cygaro na popielniczkę. – Zbyt nocne na społeczny pogonek⁴⁹.

– Napij się jeszcze herbaty – poradziłam, czując się jak Alicja w Krainie Czarów podczas Zwariowanego Podwieczorku.

– Właśnie zobaczyłem małego ptaszka – odrzekł Gavin, a ja pomyślałam, że to śniadanie jest być może bardziej zwariowane niż mi się wydawało. – I wiesz, zawsze sobie wyobrażam, że to jest samolot i zastanawiam się jaki jest ich pułap dozwolonej wysokości nad poziomem morza.

– Hm – odparłam. – Pewnie taki, żeby nie osmalić skrzydeł promieniami słońca.

– Możliwe – zamyślił się. – Właściwie Kuba jest jedynym miejscem jakie znam, gdzie nie ma wcale gołębi.



⁴⁹ Zbyt mocne na słoneczny poranek.

Rzeczywiście, nie zwróciłam na to uwagi, ale Gavin miał rację. Na licznych placach zacienionych drzewami stały pomniki i ławki, spacerowali ludzie, ale brakowało gołębi! Aż podeszłam do balustrady, żeby z lotu ptaka przyjrzeć się miastu jeszcze raz. Nagle mój wzrok przyciągnął duży żółty szyld z napisem *Cubanacan* – jedyna kubańska agencja podróży, która – jak obiecywał przewodnik – potrafiła pomóc w dotarciu do najbardziej osobliwych miejsc na Kubie. A takich w okolicach Santiago de Cuba nie brakowało. Byłam świeżo po lekturze historii siedemnastowiecznego zamku El Morro zbudowanego na wysokim karaibskim klifie, który miał bronić miasta przed piratami. Niedaleko stąd była też baza Guantanamo, najwyższy szczyt Kuby Pico Turquino i najstarsza osada założona przez Krzysztofa Kolumba, Baracoa, gdzie podobno wciąż stał przywieziony przez niego krzyż.

– Muszę coś sprawdzić – wstałam. – Idziesz ze mną?

– *To be honest with you* – Gavin pogładził się po brzuchu. – Mam ochotę jeszcze chwilę tu posiedzieć.

Poszłam więc sama – co niewątpliwie spowodowało taki a nie inny rozwój wypadków. Nie wiem właściwie dlaczego spodziewałam się, że biuro podróży Cubanacan potraktuje mnie w sposób nekubański. Być może zakładałam w swojej naiwności, że hasło „podróże” narzuca pewien rodzaj otwartości i aktywnego podejścia do życia i pracy. Szybko jednak zostałam sprowadzona na ziemię. Urzędniczka była zgodnie z przepisami ubrana w białą bluzkę i granatową spódnicę. Siedziała za pustym biurkiem patrząc w szklaną witrynę. Nieopodal przy dwóch podobnie pustych biurkach siedzieli dwaj panowie, także w białych koszulach i z tym samym wyrazem niezmaconej monotonii na twarzach.

– *Muy buenos dias!* – zawołałam już w progu. – *Como estan ustedes?*⁵⁰

Spojrzeli na mnie jak na dziwne zwierzę – bo z wierzchu przypomielałam Europejczyka, mówiłam jak Latynos, ale nie mogłam być przecież jednocześnie jednym i drugim. Usiadłam na wskazanym krześle.

– Chciałabym się dowiedzieć jakie wycieczki są organizowane w okolicach Santiago de Cuba – zaczęłam grzecznie.

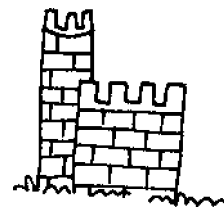
Kubanka z westchnieniem sięgnęła po katalog zrobiony z kilku kartek oprawionych w plastik.

– *Castillo del Morro* – pokazała palcem na zdjęcie zamku. – Pojutrze.

– Są jeszcze jakieś inne wycieczki?

– Nie ma.

– A czy na przykład można by zorganizować specjalną wycieczkę na zamówienie?



⁵⁰ *Muy buenos dias! Como estan ustedes?* (hiszp.) – Dzień dobry bardzo! Jak się państwo miewają?

⁵¹ *Castillo del Morro* = właśc. *Castillo de San Pedro de La Roca* = zamek zbudowany w XVII wieku dla obrony przed piratami, najlepiej zachowana hiszpańska budowla wojskowa na Karaibach, w 1997 r. uznana za zabytek Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO.



– Na zamówienie? – Kubanka podniosła brwi. – Nie można.
– A czy może mi pani polecić jakiegoś przewodnika?
– Nie znam żadnych przewodników.
– A czy może ma pani jakieś informacje na temat atrakcji turystycznych tutaj w okolicy?

– Mam tu ten katalog.

– Ale w tej chwili w ofercie jest tylko jedna wycieczka?

– Tak, pojutrze, do zamku El Morro.

– A czy można tu kupić mapę?

– Nie można.

– A czy to prawda, że w Baracoa stoi krzyż przywieziony przez Krzysztofa Kolumba?

Kubanka zmierzyła mnie dziwnym spojrzeniem. Czyżby przypuszczała, że jestem agentką jakiejś komisji rządowej? Nie, chyba jednak nie.

– Nie wiem co stoi w Baracoa – powiedziała ostrożnie.

– A czy może mi pani powiedzieć czym najlepiej tam dojechać?

– Mieliśmy kiedyś wycieczki, ale teraz już nie ma.

– Co właściwie... – zastanowiłam się – co właściwie biuro Cubanacan oferuje zagranicznym turystom?

– Wycieczkę do zamku El Morro – powtórzyła Kubanka. – Pojutrze.

– A ile kosztuje ta wycieczka?

– Pięćdziesiąt peso wymienialnych od osoby, zapewniamy również lunch.

– Pięćdziesiąt peso wymienialnych? – powtórzyłam z niedowierzaniem. Być może źle usłyszałam. Zamek stał na skałach dziesięć kilometrów na południe od miasta, założę się, że można tam bez problemu dojechać autobusem, nie mówiąc już o taksówce, która kosztowałaby pewnie najwyżej pięć peso.

– *Si*, ale zapewniamy lunch i czterdzieści minut przerwy na zwiedzanie zamku.

– Dziękuję – wstałam z nagłym pragnieniem jak najszybszego powrotu na wieże powietrze. Z ulgą pchnęłam szklane drzwi i wtedy poczułam dotknięcie na ramieniu. Obok mnie jak duch pojawił się szczupły mężczyzna w niebieskiej koszuli i tak niezwykle wyłupiastych oczach, że odruchowo podstawiłam ręce, eby je schwytać gdy będą wypadaly.

– *Hola* – zagadnął. – Słyszałem, że wybierasz się do Baracoa.

– Hiszpan? – zapytałam, rozpoznając go po charakterystycznym świszczącym akcencie.

– *Si* – przewrócił oczami, które obracały się w jego twarzy jak piłki pingpongowe. – Właśnie wynająłem samochód, którym wyjeżdżam jutro rano do Baracoa. Gdybyśmy pojechali razem, byłoby o połowę taniej. Mam na imię Eduardo.

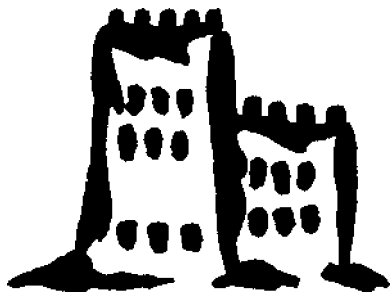
Tak właśnie do towarzyszącego mi Flegmatycznego Anglika dołączył Szalony Hiszpan. We trójkę stworzyliśmy towarzyską mieszankę wybuchową.



*Bezludna pustka nocy
zamieniła się w gorący
dzień pełen spalin
samochodów, budek
z pachnącą pizzą i ludzi
pieszczących do swoich zajęć.*

⁵² *Hola* (hiszp., czyt. ola) = Witaj, witajcie, cześć.





ROZDZIA, 22

Prawda Che Guevary

Nie rozstawałam się z dziennikami Che Guevary. Jego dzieła zostały zebrane w trzech tomach: brązowym, różowym i zielonym. Drugi i trzeci były zapisem wydarzeń wojennych na Kubie i w Boliwii. W jednym z artykułów Che wyjaśnia: „Partyzant (*guerrilla*) to bojownik o pokój, wybrany spośród ludzi, żeby prowadzić ich do walki o niepodległość. Walka partyzancka nie jest – jak się powszechnie uważa – wojną na małą skalę prowadzoną przez mniejszość przeciwko potężnej armii; nie, walka partyzancka to wojna całego narodu przeciwko przytłaczającej niewoli. Partyzant to tylko jej pierwszy uzbrojony szereg, za którym stoją mieszkańcy całego regionu albo kraju. Stąd bierze się jej siła i zwycięstwo nad każdym, kto próbuje ją powstrzymać. Podstawą i istotą partyzantki są ludzie”.

Nie przestawałam szukać odpowiedzi na dręczące mnie pytanie. Kim naprawdę był Ernesto Che Guevara? Wybrańcem losu, który poprowadził naród kubański do wolności, czy mordercą, któremu profesja lekarza pozwalała skuteczniej zabijać ludzi? Czytałam więc bez ustanku – przy śniadaniu, w autobusie, czekając aż Gavin skończy jeść swoje pieczone kurczaki, przed snem. Byłam pewna, że w książkach napisanych ręką Che Guevary prędzej czy później znajdę rozwiązanie.

Pewnego popołudnia znów wyjęłam książkę. Po przeczytaniu ponad tysiąca stron nagle trafiłam na zdanie: „Partyzantka przypomina menuet, bo tak samo jak w tańcu, najważniejszą cechą walki partyzanckiej jest nieustanne przemieszczanie się z miejsca na miejsce”. Che Guevara opisywał istotę walki partyzanckiej:

„Partyzant musi być elastyczny i umieć dostosować się do zmieniających się warunków. Najważniejszymi elementami walki jest zaskoczenie i szybkość ataku. Trzeba zrozumieć różnicę między aktem sabotażu – który jest



⁵³ *Que es un guerrillero?* – artykuł opublikowany w gazecie *Revolución* w lutym 1959 r. (tłum. B. Pawlikowska)

skutecznym sposobem walki partyzanckiej, a terroryzmem – który jest nieskutecznym środkiem przemocy, który nie liczy się z konsekwencjami, doprowadzając do śmierci niewinnych ludzi”.

„Najważniejszymi elementami walki partyzanckiej są: doskonała znajomość terenu, czujność i przygotowanie dróg ucieczki, zapoznanie się z miejscową ludnością i zapewnienie sobie pomocy w kwestii wyżywienia i transportu, znalezienie kryjówek dla rannych, gotowość do przemieszczania się i poleganie na wcześniej przygotowanych zapasach”.

To brzmiało jak poradnik dla rewolucjonistów napisany przez człowieka, który trafił na wojnę bez wykształcenia wojskowego i sam krok po kroku odkrywał tajniki walki. Wcześniej rewolucjoniści chwyтали za broń, dokonywali bohater- skich czynów i ginęli na polu walki, ale żaden chyba nie zdążył napisać o tym książki. Dla wszystkich rządów świata taki podręcznik musiał wydawać się zagro- eniem, bo uczył ludzi dążenia do wolności i sposobów jej zdobywania.

Można by pomyśleć, że sprawiedliwe i uczciwe rządy niektórych państw nie musiały się obawiać takiego podręcznika, ale przecież nieporozumienie w świato- wej polityce polega na tym, że nie wiadomo kto ma rację i kto mówi prawdę. Opisywanie skutecznych sposobów walki wkładało broń do ręki wszystkim bojow- nikom – zarówno takim, którzy chcieli walczyć o swoją ukradzioną niepodległość, jak i fanatycznym wyznawcom tajemniczych sekt, awanturnikom czy ludziom, któ- rzy za pomocą rewolucji chcieli się wzbogacić.

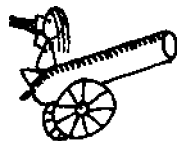
„Fundamentalną sprawą w wojnie partyzanckiej jest utrzymywanie znajo- mości z tubylcami zamieszkującymi dany region. Należy szanować wszystkie miejscowe tradycje i zasady i czynami udowadniać wyższość moralną partyzan- tów nad żołnierzami agresora. (...) Lepiej jest nie brać jeńców wojennych. °owych należy zostawić na wolności, a rannych opatrzeć z całą starannością i użyciem wszystkich dostępnych środków medycznych”.

Gavin wachlował się kapeluszem. Siedzieliśmy na ławce pod kremowymi

z przeszłości. Po krążgankach zdawały się chodzić siedemnastowieczne damy dworu, a czarne armaty wpatrywały się w dal turkusowego morza, czekając na znak do strzału. Wszyscy byli tu zatopieni w historii, i Gavin, i ja, i Włoch Gio- vanni Bautista Antonelli, który chciał, żeby zamek bronił miasta przed piratami⁵⁴, i snujący się po murach turyści, i Ernesto Che Guevara, który nagle spojrzał na mnie ze swojej książki. Krzyknęłam.

– *Muerde y huye* – przeczytałam szeptem i odwróciłam się do Gavina. – Jaka była taktyka wojny Che Guevary według tego artykułu lewicowego dziennika- rza, który mi cytowałeś kilka dni temu?

– „Morduj i uciekaj” – powiedział spokojnie Gavin. – To był cytat z jednego z jego przemówień.



⁵⁴ Giovanni Bautista Antonelli – włoski inżynier wojskowy, który zaprojektował zamek w 1587 roku, czyli po- nad rok przed jego zbudowaniem.



*Krzeseł, na którym
w 2002 r. siedział
Paul McCartney
„z własnoręcznym
odciskiem jego
beatlesowskiej pupy”.*

– Nie – odrzekłam gwałtownie – to jest cytat z jednej z jego książek. Zobacz: Ernesto Che Guevara, „Escritos i discursos”, czyli „Pisma i rozważania”, tom pierwszy, rozdział pod tytułem „Istota walki partyzanckiej”, widzisz? – podsunę-

– Znalazłaś ten cytat? – zapytał Gavin jakby lekko współczującym tonem.

– Znalazłam – pokazałam mu palcem akapit zaczynający się od słów *muerde y huye*, po których następowało rozszerzenie i wyjaśnienie tego hasła: *Muerde y huye, espera, acecha, vuelve a morder y huir y asi sucesivamente, sin dar descanso al enemigo.*

– To nawet ja rozumiem – pokiwał głową Gavin. – „Morduj i uciekaj, a potem wracaj, żeby znów mordować i uciekać i tak przez cały czas nękać wroga”.

Poczułam dreszcz. Właśnie dokonałam największego odkrycia – i zrozumia-

nie zrozumieć skąd wzięły się tak sprzeczne opinie dotyczące Ernesta Che Guevary. I nagle odkryłam, że stało się tak przez pomyłkę – bo ktoś domyślił się znaczenia słów podobnie brzmiących po angielsku i hiszpańsku, choć oznaczających całkiem coś innego. Hiszpańskie słowo *morder* rzeczywiście jest podobne do angielskiego *murder*, czyli „mordować”, ale to tylko pozorna zbieżność.

– Nie rozumiesz – powiedziałam z uporem. – Tak samo, jak nie rozumiał ten dziennikarz. Gdzie tu jest napisane, że należy mordować?



– *Morder y huir* – przeczytał Gavin. – Jasno jak czarno na białym.

– „Mordować” po hiszpańsku to jest *matar* – powiedziałam. – Gdyby chodziło o mordowanie, musiałyby być napisane „matar y huir” – zabijać i uciekać. A wiesz co znaczy słowo „morder” po hiszpańsku?

– Nie „zabijać”?

– Nie. *Morder* znaczy gryść, kąsać, takjak pies może wyskoczyć na ciebie zza płotu, podbiegać, żeby ugryść, a potem chować się do budy, żebyś go nie mógł złapać.

– W takim razie...

– W takim razie Che Guevara zalecał swoim żołnierzom, żeby nękali wroga częstymi atakami, a potem uciekali. Ale nie mieli mordować, tylko zaskakiwać i chować się z powrotem do kryjówek. Dziwi cię to? – zapytałam zaczepnie.

– A co tam jest dalej napisane?

– „Nękać i uciekać, odczekać, czatuj, znów nękać i uciekać, i tak przez cały czas, nie dając wrogowi odpoczynku. Może się wydawać, że jest to działanie negatywne, ponieważ nastawia się na ucieczkę i unika frontalnego starcia, ale jednak wynika ono z zasadniczej strategii wojny partyzanckiej, której ostateczny cel jest podobny każdej innej wojnie: osiągnąć zwycięstwo, unicestwić wroga”.

– Czyli zamordować – stwierdził Gavin.

– Musisz w takim razie potępić wszystkie wojny na świecie i wszystkich ludzi, którzy przyczynili się do ich wywołania.

– Ty go bronisz!

– Nie! – powtórzyłam po raz setny. – Ja tylko chcę się dowiedzieć jaka jest prawda! To po prostu niewiarygodne, ale od lat wielu ludzi na całym świecie powtarza automatycznie, że Che Guevara był mordercą, bo namawiał swoich żołnierzy do zabijania. Aw rzeczywistości ktoś źle zrozumiał i źle przetłumaczył kilka zdań z jego książki. Z tego co tu jest napisane wynika, że Che Guevara wcale nie kazał swoim żołnierzom mordować wrogów.

Ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach odwrócili się w naszą stronę i poczułam na sobie ich podejrzliwe spojrzenia.

– Chodź – powiedziałam do Gavina wstając. – Pokażę ci coś, czego na pewno się nie spodziewałeś. To będzie twój liverpoolski trop na Kubie.

– Czy ma coś wspólnego z Che Guevarą? – zapytał ostrożnie Gavin, ale posłusznie wstał i poszedł za mną.

Zaprowadziłam go w róg restauracji, gdzie przy niewysokim murze zrobionym z kamieni stało krzesło.

– Tutaj siedział? – zapytał ścisłym i jeszcze ostrożniejszym głosem Gavin, a ja zaczęłam się śmiać.

– Nie bój się – powiedziałam w końcu. – Na tym krześle kilka lat temu siedział Paul McCartney. Przyleciał bez zapowiedzi z Isla Margarita ... – zamilkłam na chwilę i dokończyłam ze zdziwieniem – ...to tak jak ja.

⁵⁵ Isla Margarita = największa wyspa należąca do Wenezueli, położona na Morzu Karaibskim, 40 kilometrów od lądu stałego. Spędziłam na niej kilka dni tuż przed przylotem na Kubę.





– Rzeczywiście, teraz nawet dostrzegam odcisk jego beatlesowskiej pupy – dodał Gavin i też zaczął się śmiać. Chwyciliśmy za aparaty fotograficzne i uwieczniliśmy krzesło Paula McCartneya, do którego przyczepiono specjalną tabliczkę z odciskiem jego własnoręcznego podpisu. Paul McCartney przyleciał na Kubę w styczniu 2000 roku z zamiarem, jak się wyraził „poznania korzeni muzyki kubańskiej i gościnności mieszkańców wyspy”. Oba te założenia spełnił. Spojrzeliśmy na siebie z Gavinem i zrozumieliśmy się bez słów. Nastął najwyższy czas, żeby podążyć dalej śladami Paula McCartneya – do nocnych klubów Santiago de Cuba, gdzie każdego wieczoru miejscowe zespoły grały muzykę *son*, tęskne bolera i porywające do tańca rytmy *guaracha*.

Siedemnastowieczny zamek El Morro zbudowany na wysokim karaibskim klifie miał bronić miasta przed piratami.



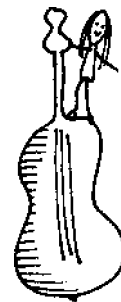
ROZDZIA, 23

W domu muzyki

Muzyka zawsze działała na mnie piorunująco. Potrafiła unieść nad ziemię albo zepsuć humor i pogрузić w czarnych odmętach myśli. Lubiłam czarne rytmy funkowe, soulowe i rhythm'n'bluesowe, które napełniały mnie elektryzującą energią, i muzykę latynoską, która niosła ze sobą radość i porywała do tańca. Pewnego dnia z angielskiej wytwórni dostałam płytę zespołu założonego przez Adalberta Alvareza, którego wokalista Eduardo Morales nosił przydomek *Tiburón*, czyli Rekin. I tak właśnie odkryłam najbardziej typową i oryginalną muzykę kubańską zwaną *son*, która jest połączeniem rytmów afrykańskich i latynoskich. Kilka lat później poszłam do kina na film „Buena Vista Social Club” i kiedy zgasły światła, a sala wypełniła się dźwiękami muzyki, nie mogłam powstrzymać łez. Spływały mi po policzkach w rytm melodii granej na fortepianie przez Rubéna Gonzáleza, wisiały na rzesach gdy śpiewał Ibrahim Ferrer, kapwały z brody gdy patrzyłam jak Compay Segundo gra na gitarze. To był znak. Wiedziałam, że kiedyś muszę pojechać na Kubę.

Była już noc, gdy wyszliśmy z Gavinem na ulicę. Nie musieliśmy długo szukać – dźwięki muzyki docierały z różnych stron. Prawie natychmiast przykleił się do nas młody *jinetero* w czapce, ale szybko mu wytłumaczyłam, że „naprawdę” nie potrzebujemy przewodnika, ponieważ jesteśmy umówieni i czekają na nas kubańscy przyjaciele. Nie chciałam trafić do baru pełnego turystów, szukałam prawdziwej *casa de la musica*⁵⁶, czyli klubu, gdzie muzycy amatorzy grają dla tubylców. I nagle w jednej z bocznych uliczek zobaczyłam lekko uchylone drzwi, przez które na bruk przeciskało się trochę światła i dźwięki w rytmie *cha-cha-cha*.

– *Cuba Libre* – powiedziałam do barmana tak, jakbym mu podawała tajemne hasło. – Dwa razy.



⁵⁶ *Casa de la musica* (hiszp.) = dosł. „dom muzyki.

Zadziałało. Muzycy byli ubrani w kubańskie *guayabery*, czyli skromne koszule z jasnego, lekkiego materiału, z charakterystycznymi zakładkami biegnącymi na całej długości od góry do dołu. To prosty, tani i najzwyczajniejszy męski strój, ale każdy Kubańczyk nosi swoją *guayabera* w królewski płaszcz z gronostajami. Zespół występował w składzie w najczystszej postaci muzyki *son*: dwie gitary (w tym jeden *tres*, czyli gitara o trzech zestawach podwójnych strun), kontrabas, bongosy i marakasy – grzechotki podkreślające rytm. Na parkiecie wtopione w muzykę krążyły trzy pary. Tańczyli instynktownie poddając się rytmowi, który kierował ruchami ich ciała. Spojrza-

kolejną *Cuba Libre*.

– Nicień czy wiesz, ale wieszcie komara nadziany w potyliczny krążek – powiedział nagle Gavin, kiwając filozoficznie głową

– Słucham? – zmrużyłam oczy usiłując odcyfrować podanego szyfrem *cockneya*.

– Trzeszcze homara nabrany w symfoniczny wstążek.

– Chcesz zatańczyć? – zapytałam, żeby zmienić temat.

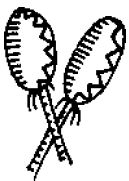
– O nie – odrzekł Gavin trzymając się mocno swojej plastikowej szklanki. – Ja nie tańczę. Ale ty tańcz.

I tak nie mogłabym siedzieć już ani chwili dłużej. Odstawiłam szklankę, wstałam i ruszyłam do tańca. Reszta nocy pozostaje dla mnie do dzisiaj pewnego rodzaju zagadką. Pamiętam, że zespół grał i śpiewał bez odpoczynku, przerzucając się z romantycznej ballady w rytmiczną salsę i dziwnie tęskną czaczę, która opowiadała o tym, że dobrze jest być tu gdzie się jest. Potem znów porywało nas kubańskie *son* i mambo, a ja schodziłam z parkietu tylko po to, żeby napić się wody i sprawdzić stan mojego angielskiego przyjaciela, który z wolna pogrążał się w odmętach rumu zdobionego na zmianę liśćmi mięty i plasterkami zielonej cytryny.

– *I'm fine* – powtarzał nieodmiennie, obdarzając mnie uśmiechem. – Jeszcze tu sobie posiedzę.

Wracałam więc do tańca, czując, że i ja podlegam hipnotycznej mocy kubańskiego rytmu, który kieruje moimi krokami, potrząsa biodrami i pozwala dostroić się do ruchów prowadzącego mnie w tańcu partnera.

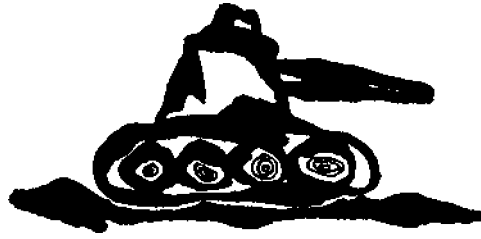
Decyzję o powrocie do kwatery podjęliśmy niezupełnie z własnej woli. Zespół po prostu w pewnej chwili skończył grać i złożył instrumenty. Ludzie zaczęli wychodzić, więc i my z Gavinem udaliśmy się w drogę powrotną, która okazała się dużo dłuższa i trudniejsza do odnalezienia, niż nam się wydawało. W końcu jednak znaleźliśmy klucze do głównych drzwi, dostaliśmy się do naszych pokoi i pamiętam jeszcze krótki moment, kiedy przyłożyłam głowę do poduszki. We nie mogłam tańczyć dalej.



Gdy tylko zaczyna grać
muzyka, Kubańczyk
zrywa się do tańca
i z każdą minutą ładuje się
zapasem energii do życia.







ROZDZIA, 24

Baza w Guantanamo

Jasny poranek to dobry poranek – myślałam wypijając drugą filiżankę kawy i wystawiając twarz do ciepłego słońca. Wciąż czułam w sobie energię muzyki poprzedniej nocy, a dodatkowo napędzała mnie perspektywa najbliższych dni, które mieliśmy rozpocząć od dotarcia w pobliże amerykańskiej bazy wojskowej w Guantanamo. Potrzebne były do tego specjalne pozwolenia kubańskich władz, które na wzgórzu urządziły punkt widokowy i za przyjemność spoglądania na zatokę pobierały opłatę w twardej walucie. Za pół godziny mieliśmy się spotkać z Hiszpanem Eduardo i rozpocząć podróż. Nagle usłyszałam ciężkie kroki.

– Mam w ustach kawał starej irchy – przywitał się Gavin słabym głosem, wysuwając się ze swojego pokoju powoli jak żółw.

– Napij się herbaty – powiedziałam, czując, że to najlepsza rada, jakiej można rano udzielić nie pierwszej świeżości Anglikowi.

Usiadł przyglądając się zagubionym wzrokiem gospodyni, która napełniła jego filiżankę gorącą wodą, chwycił za torebkę ekspresową i zauważył filozoficznie:

– Jaka to sztuka trafić herbatą do filiżanki.

– Rzeczywiście – zgodziłam się zanurzając uśmiech w kawie.

– Czuję, że miałbym ochotę coś *poo -poo* – dodał Gavin zde gustowanym głosem.

– Co to jest *poo -poo*?

– To znaczy „zabrudzić” – odrzekł i zachichotał. – *I'm sorry*, ale chyba jestem wciąż pijany.

– Chyba jesteś – przyznałam.

– *Poo₇-poo* mówili w moim ulubionym serialu. Pewnego dnia wojsko *poo -poo* a *poo -poo* i zrobiła się awantura.



⁵⁷ *Poo -poo* a *poo -poo* (ang., slang) = zarzucić pawiem.

Nie dane mi było śledzić dalszych losów *poo-poo*, ponieważ w tej samej chwili rozległ się ponaglący klakson. Zebraliśmy bagaże i wyszliśmy na ulicę. Eduardo był świeży jak szczypiorek.

– *You a little drunk* – zauważył rzeczowo łamanym angielskim, obserwując Gavina w lusterku. – Ty trochę pijany.

– *I'm hammered*⁵⁹ – przyznał Gavin.

– *Que?* – zapytał Hiszpan po hiszpańsku. – Co?

– *Yo muy bien...* Ja bardzo dobrze... – Gavin dotarł do kresu swoich możliwości porozumiewania się po hiszpańsku i zamilkł.

– *Borracho* – podpowiedziała. – *Drunk*. Pijany.

– Powiem wam coś zabawnego – Gavin przerzucił się na angielski. – Eskimosi mają sto słów na określenie śniegu, Francuzi – miłości, a my, Brytyjczycy, mamy sto słów na określenie bycia pijanym. I właściwie każdy może rozszerzyć ten słownik. Jeśli w języku angielskim wymyślisz jakieś nowe słowo, to ono zawsze znaczy „pijany”. Na przykład jeżeli powiem, że wczoraj byłem *gigazzled*, to chociaż nikt nigdy wcześniej nie słyszał słowa *gigazzled* – bo ono dotychczas nie istniało – dla wszystkich będzie jasne co oznacza i co chciałem powiedzieć.

– My znaleźć dla ciebie kawa – zaproponował Hiszpan po angielsku.

– Okej – zgodził się Gavin i zasnął.

Z Santiago de Cuba do Guantanamo jest godzina drogi. Ułynęła szybko, tym bardziej że Gavin spał na tylnym siedzeniu, a my z Eduardo wymienialiśmy uwagi dotyczące dziennikarstwa i wyspy. Nie mogłam oderwać wzroku od jego bulgoczących oczu, które wyglądały jak piłki w dołkach. Przejechaliśmy przez miasto i zgodnie z instrukcją skręciliśmy na południe, kierując się w stronę zatoki.

W 1903 roku rząd Stanów Zjednoczonych na mocy tzw. Poprawki Platta wykroił z terytorium Kuby obszar o wielkości 116 kilometrów kwadratowych, ogłaszając go swoją własnością. Był to strategicznie ważny punkt, znajdujący się na południowo-wschodnim krańcu wyspy, skąd szybko i łatwo można było dotrzeć do wszystkich zakątków Karaibów, łącznie z budowanym od kilku lat Kanałem Panamskim. W 1934 roku Prezydent Roosevelt dopisał do umowy z Kubą jeszcze jeden paragraf, mówiący o tym, że zakończenie tej „dzierżawy” może nastąpić wyłącznie wtedy, jeśli obie strony wyrażą na to zgodę. W praktyce dawało to Stanom Zjednoczonym prawo do nieograniczonego w czasie pozostania w bazie nad zatoką Guantanamo, z którego korzystają do dziś.

Po słynnej rewolucji kubańskiej w 1959 roku Fidel Castro poprosił Amerykanów, żeby opuścili wyspę i powrócili do swojej ojczyzny, ale odmówili. Z tygodnia na tydzień stosunki między oboma krajami stawały się coraz bardziej



⁵⁸ *You a little drunk* (ang. poprawnie: *You are a little drunk*) – Jesteś trochę pijany.

⁵⁹ *I'm hammered* (ang.) – Jestem pijany w sztok.

⁶⁰ Poprawka Platta, ang. *Platt Amendment* = zestaw przepisów stworzonych przez Sekretarza Stanu ds. Wojny Elihu Roota, które precyzowały zasady dotyczące stosunku USA do Kuby.



napięte. Pewnego dnia Kubańczycy odcięli dostawy prądu i wody do bazy, na co rząd amerykański odpowiedział rozkazem pozostania na miejscu i rozpoczęcia przygotowań do zabezpieczenia odpowiednich zapasów na wypadek, gdyby podobna sytuacja wydarzyła się w przyszłości.

Amerykańska baza wojskowa nad zatoką Guntanamo – jako obszar znajdujący się poza terytorium USA – nie podlega światowym traktatom i umowom dotyczącym stosunków międzynarodowych, traktowania więźniów, przetrzymywania uchodźców i innych ważnych spraw. Na początku lat dziewięćdziesiątych do bazy odsyłano uciekinierów z Kuby, którym udało się dopłynąć do wybrzeży Florydy. Niedługo później rządy obu krajów podpisały porozumienie, na mocy którego 22 tysiące przetrzymywanych młodych Kubańczyków otrzymało pozwolenie na pobyt w USA. Jednocześnie Amerykanie ogłosili, że nielegalni imigranci z Kuby złapani na morzu będą odsyłani z powrotem na wyspę – chyba że uda im się postawić stopę na ziemi amerykańskiej. Wciąż nowi Kubańczycy usiłują przepłynąć ponad 140 kilometrów Cieśniny Florydzkiej na tratwach, oponach samochodowych, nawet w starych autach przerobionych na barki, często ryzykując życiem. Podczas jednej z takich niebezpiecznych wypraw w 1999 roku rozpętał się sztorm, w którym zginęło jedenaście osób, a cudem ocalał pięcioletni chłopiec, Elián González. Elián został przygarnięty przez swoich kubańskich

*Baza wojskowa
w Guantanamo
oglądana od strony
kubańskiej.*



krewnych w Miami. Sprawa stała się głośna, gdy powrotu chłopca na Kubę zażądał jego ojciec, a krewni z Florydy stanowczo odmówili. Ostatecznie Elián został im odebrany siłą i odesłany do ojczyzny, gdzie do dzisiaj jest symbolem kubańskiej wolności i podczas ważnych uroczystości przemawia do narodu u boku *El Comandante*, czyli Fidela Castro.

W więzieniu w Guantanamo podobno do dzisiaj przetrzymuje się kilkaset osób powiązanych z zamachami w Nowym Jorku we wrześniu 2001 roku. Nie postawiono im zarzutów, nie pozwolono skontaktować się z rodziną ani prawnikami. Najmłodszy więzień miał 13 lat, najstarszy 98. Po protestach ze strony *Amnesty International* i ONZ, uwolniono małą grupę zatrzymanych. Pozostali wciąż znajdują się w niewoli, w której nie przysługują im żadne prawa i nie mają kontaktu ze światem.

W bazie nad zatoką Guantanamo toczy się też normalne życie: amerykańscy olnierze mają klub jachtowy, pole golfowe, szpitale, kina i sklepy. Podobno jest tam nawet jedyny na Kubie McDonald. Jedyna różnica polega na tym, że cały teren jest ogrodzony płotami i fosami, strzeżonymi z wież wartowniczych, a dodatkowym zabezpieczeniem przed wizytą niepożądanych gości jest prawie sto tysięcy min zakopanych pod ziemią. Baza jest największym polem minowym na półkuli zachodniej.

Dziesięć lat temu Kubańczycy wpadli na pomysł wykorzystania niedostępnej bazy jako atrakcji turystycznej, która może przynosić dodatkowe dochody. Na jednym ze wzgórz zbudowali *Mirador de Malones* – punkt widokowy wyposażony w potężną lunetę, przez którą – jak głosi reklama – można dostrzec amerykańskie flagi powiewające na placu apelowym przed więzieniem. Tam właśnie zmierzaliśmy.

Eduardo zatrzymał samochód przed posterunkiem kubańskich strażników, którzy polecieli nam czekać na przybycie dowódcy. Gavin ocknął się ze snu i rozejrzał nieprzytomnym wzrokiem. Staliśmy na pustyni. Okolice między Santiago de Cuba a Guantanamo to najbardziej sucha część Kuby, gdzie spada najmniej deszczu. Kilometrami ciągnie się spieczona, żółta ziemia porośnięta przez suche badyle i kaktusy.

– Jesteśmy na miejscu? – zapytał Gavin.

– Tak – odrzekłam, nie zastanawiając się które konkretnie miejsce miał na myśli.

– W więzieniu? – upewnił się Gavin.

– Czekamy na pozwolenie wjazdu na teren wojskowy.

– Do bazy? – przeraził się.

– Do punktu widokowego po stronie kubańskiej. Do bazy nikt nie ma wjazdu.

– To dobrze – uspokoił się Gavin i dodał: – Gdybyś swoim długim obiektywem zrobiła zdjęcie więźnia przesłuchiwanego w Guantanamo i sprzedałabyś je prasie...



– To zostałamby milionerką – dokończyłam za niego.

– A ja zostałamby zastrzelony – dodał ponuro. – Błagam cię, nie zabieraj ze sobą legitymacji prasowej, bo w najlepszym razie oboje skończymy w więzieniu!

°ołnierze kubańscy kiwnęli na nas karabinami. Brama się otworzyła, zabrano nam dowody wpłaty będące jednocześnie pozwoleniami na wjazd i polecono jechać za samochodem dowódcy. Krajobraz był księżycowy: bezludne pustkowie, kępy suchych krzaków, tumany pyłu pchane przez wiatr i łagodne łyse wzgórza, między którymi w zagłębieniach ziemi stały baraki, tarcze strzelnicze i tory przeszkód. Jechaliśmy około pół godziny, przez coraz bardziej falujący pejzaż, aż wreszcie prowadzący nas samochód stanął. Kubański żołnierz pomachał nam pistoletem przez okno, a potem zostaliśmy sami – u wrót żelaznej bramy.

– Nicień czy wesz – powiedział Gavin – ale to gest ryba goniec kwiatu ⁶¹.

– Ty nie myśl teraz kwiaty – odezwał się Eduardo. Był wyraźnie zdenerwowany, a na widok zbliżającego się strażnika z karabinem jego okrągłe oczy zaczęły się szybciej obracać. – Ty myśl swoje życie.

Wysiedliśmy z samochodu i ruszyliśmy po kamiennych schodach na szczyt wzniesienia. Na wierzchołku stał teleskop wyprodukowany w stanie Kentucky, skierowany w stronę amerykańskiej osady. Zasieki oddzielały dwie równoległe drogi, z których bliższa podobno była kubańska, a dalsza należała do Amerykanów i prowadziła prosto do więziennych baraków. Nie było widać żadnych czołgów ani innej broni. Na asfaltowej szosie pojawił się jeep. Amerykanie musieli здаwać sobie sprawę z tego, że są obserwowani; zastanawiałam się tylko czy w tej samej chwili oni także obserwują nas. Przez pół godziny robiliśmy zdjęcia i filmowaliśmy, a strażnik pilnował przestrzegania zakazu odwracania się na stronę kubańską. Baza wydawała się leniwie spokojna; tak samo jak otaczająca ją zatoka cudownie szmaragdowego Morza Karaibskiego.



⁶¹ Nie wiem czy wiesz, ale to jest chyba koniec świata.





*Najściślej strzeżony
sekret na wyspie –
zatoka Guantanamo,
pilnowana od strony
morza przez
Amerykanów,
a od strony lądu –
przez Kubańczyków.*





ROZDZIA, 25

Kubańczyk w drodze

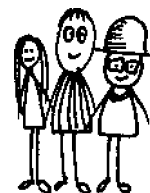
W ciągu następnych kilku godzin pokonaliśmy sto pięć dziesiąt kilometrów wśród dramatycznie zmieniających się pejzaży. Widoki były tak samo ekstremalnie różne od siebie, jak nasze charaktery. Tylko przypadek mógł sprawić, że znaleśliśmy się pod dachem jednego samochodu.

Po raz pierwszy zauważyłam to w mieście Guantanamo, gdzie stanęliśmy na obiad. Bulgoczące oczy Eduarda biegały po stolikach, talerzach i ulicy, niecierpliwie bębnił palcami po stole, od czasu do czasu wykonując prawą ręką taki gest, jakby chciał z niej strząsnąć mrówki. Gavin śledził go ostrożnie spod runda kapelusza i wszystkie czynności wykonywał dwa razy wolniej. Pasowali jak ulał do komiksu o przygodach Szalonego Hiszpana i Flegmatycznego Anglika. W dodatku Hiszpan mówił łamanym angielskim, a Anglik szczątkowym hiszpańskim, więc w praktyce wszystkie rozmowy przechodziły przez moje usta, kiedy tłumaczyłam drugiej stronie o co chodzi.

Po obiedzie Gavin wstał i zaproponował głosem nie znoszącym sprzeciwu, e teraz on będzie prowadził samochód. Zdaje mi się, że wcześniej wcale nie spał, tylko zapadł w przerażony letarg, który mógł być reakcją na styl jazdy Hiszpana, który łagodnie można by określić jako „wybitnie nierozważny”. Jeździł jak wariat, bez przerwy trąbiąc klaksonem na pieszych i innych kierowców, rozpychając się na drodze i przyspieszając do prędkości stu kilkudziesięciu kilometrów na godzinę.

– Okej, okej – powiedział Eduardo, strzepując mrówki i przewracając oczami.

Przyznaję, że i mnie wydawało się to dobrym rozwiązaniem – biorąc pod uwagę to, że nie mogłam osobiście poprowadzić auta, bo nie zabrałam ze sobą prawa jazdy. Zapomniałam tylko, że Gavin ma doświadczenie w ruchu angielskim – czyli lewostronnym. Ruszyliśmy jednak bez problemów.



– Stop! Stop! – wrzasnął Eduardo na pierwszym skrzyżowaniu. Gavin chyba nie zauważył, że pierwszeństwo mają pojazdy zbliżające się z prawej strony. Na szczęście ulice były prawie puste – jeśli nie liczyć konnych dorożek.

– Zwolnij! Zwolnij! – wrzasnęłam ja na drugim skrzyżowaniu, zastanawiając się czy prawo jazdy Gavina jest prawdziwe. Rozejrzeliśmy się z Eduardo w obie strony.

– Jedź! Jedź! – polecił Hiszpan.

– W lewo! W lewo! – ryknęłam po chwili, widząc, że za chwilę wpakujemy się na krawężnik. Co prawda to prawda; osobom przyzwyczajonym do lewostronnego ruchu trudno jest ocenić odległość między kołami a krawężnikiem po prawej stronie.

– Tu tu tututu, tu tu tututu – zanucił Gavin, żeby rozładować stres.

– Stop! Stop! Stop! – wrzasnęliśmy oboje z Hiszpanem widząc nadjeżdżającego rowerzystę.

Atmosfera w samochodzie stała się gęsta i gorąca jak krupnik. Gavin siedział za kierownicą i teoretycznie prowadził, a my z Eduardo pilnowaliśmy, żeby nie rozbił nas na krawężnikach i innych użytkownikach drogi. Wreszcie po kilkunastu długich minutach dotarliśmy do skraju miasta.

– Autostrada – stwierdził Gavin z wyraźną ulgą. – No, teraz sobie pojedziemy.

I nacisnął pedał gazu. Po kilkudziesięciu metrach nagle zaczął hamować, jak gdyby przestraszył się własnej prędkości. Zwolnił do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wtedy znów przyśpieszył i nagle zaczął hamować. I tak w kółko.

– Kiedy właściwie ostatnio jeździłeś samochodem? – zagadnęłam.

– Codziennie – odrzekł Gavin. – Codziennie w Londynie jeździłem do pracy.

– Wolniej, wolniej! – odezwał się nagle Hiszpan, którego wystające oczy aż drgały ze zdenerwowania. Gavin był znowu w trakcie rozpędzania się, nie zwracając uwagi na zbliżający się do poprzecznej polnej drogi wóz zaprzęgnięty w woły.

– W lewo, w lewo! – dodałam natychmiast, bo niebezpiecznie zbliżyliśmy się do rowu do prawej stronie.

– Uważaj, uważaj! – ryknął Hiszpan usiłując z tylnego siedzenia dosięgnąć do kierownicy. Naprzeciwko nas szybko zbliżał się biały samochód. Gavin natychmiast zbliżył się do skraju jezdni, prawie z niej spadając.

– *Look, look!* – krzyknął Hiszpan, machając do niego rękami. Na horyzoncie pojawił się następny samochód. – Ty musisz maczo – rozkazał Hiszpan. – Tak samo jak oni. *Look, look!*

Chwycił kierownicę i umieścił nas na środku drogi. Była to zwykła dwupasmowa jezdnia, na której z trudem mieściły się dwa samochody. Jeżeli będziemy jechać środkiem, to prosto w czołowe zderzenie.

– Oni maczo! – nalegał Eduardo. – Ty też maczo albo oni nas ukatrupią.

– Uważaj! – zawołałam do niego po hiszpańsku.



– *Look, look!* – Hiszpan przytrzymał kierownicę, żeby Gavin nie mógł zgodnie ze swoim zwyczajem ustąpić drogi i zjechać na bok. – Kiedy oni blisko-bliisko, ty ociupinkę w prawo, tylko ociupinkę!

– Tu tutututu tu tutututu – nie wytrzymał Gavin, przyzywając znów do siebie dzielnego torreadora, ale w tej sytuacji było to wezwanie nad wyraz trafne.

– Kubański kierowca jest *macho* – powiedział do mnie Eduardo gdy szczęśliwie minęliśmy samochód jadący w przeciwnym kierunku w odległości kilku centymetrów. – Każdy jedzie środkiem. Każdy. Jeżeli zobaczy, że mu ustępujesz z drogi, to skręci w twoją stronę i wyrzuci cię z jezdni. Zobaczysz. Dlatego trzeba jechać środkiem, żeby widzieli, że ty też jesteś *macho*. A jak będziecie bardzo blisko, to ty troszeczkę odbijesz w prawo, on troszeczkę odbije w lewo i bezpiecznie się wyminiecie.

– W lewo, w lewo! – zawołałam w ostatniej chwili zanim spadliśmy z drogi. – A czy ty właściwie nie masz ochoty trochę odpocząć?

– No właściwie... – zawahał się Gavin.

– W takim razie teraz ja poprowadzę! – oświadczyłam.

– Okej – zgodził się Hiszpan.

– Ale ja nie mam ze sobą prawa jazdy – dodałam uczciwie.

– To nic – strząsnął z ręki mrówki. – Jeśli nas zatrzymają, to ja z nimi tak porozmawiam, że nas puszcza.

Gavin wysiadł na miękkich nogach. Zająłam jego miejsce, poprawiłam lustierka i ruszyliśmy. Lubię jeździć samochodem. Droga była równa i prosta jak strzeł. Rozpędziłam się do stu kilometrów na godzinę i pruliśmy do przodu w milczeniu. Gavin ocierał tylko ukradkiem pot z czoła, a Eduardo obracał bulgoczącymi oczami, przenosząc je z pewnym zdziwieniem od asfaltu na moje ręce trzymające kierownicę.

– Dobrze jedziesz – powiedział w końcu. – Mógłbym nawet teraz zasnąć i oddać się w twoje ręce.

– Proszę bardzo – odrzekłam, rejestrując jednocześnie zastanawiającą treść znaków drogowych, które nagle zaczęły się pojawiać na poboczu.

„Sprawdź stan techniczny swojego samochodu” – zalecano. „Zrób przegląd hamulców”. „Zbadaj czy masz odpowiednie opony”. Za naszymi plecami została żółta pustynia ciągnąca się kilometrami nad brzegiem niebieskiego morza. Przed nami pojawiły się ciemne zarysy gór. Droga do najstarszej osady założonej na Kubie prowadziła przez grośny łańcuch Sierra del Puril. Po drugiej stronie znajdowały się rajskie ogrody. Najpierw jednak trzeba było pokonać piekło.





ROZDZIA, 26

W piekielnych górach

Szare poszarpane skały groźnie wisały nad wąską jezdnią. Miejsca ledwie wystarczało dla jednego samochodu. Pod kołami gruchotały odłamki kamieni i zniecała otwierały się głębokie dziury. Zapadła taka cisza, że jęczący silnik wydawał się krzyczeć. Czołgaliśmy się do góry, a potem zaczynaliśmy równie stromy i kręty zjazd w dół. Góry na Kubie musieli projektować bogowie specjalizujący się w najbardziej zakręconych ślimaczych muszlach. „Sprawdź czy twój samochód ma dobre hamulce” – wyświetliło mi się w głowie, gdy centymetr po centymetrze zjeżdżaliśmy po prawie pionowym spadku, prawym bokiem ocierając się o skały, a lewymi drzwiami zahaczając o przepaść. Mimo woli zaczęłam sobie wyobrażać co by się stało, gdyby przyjechali tutaj kierowcy z Wenezueli, których auta są reperowane za pomocą drutu i taśmy klejącej. Gdybyśmy nie mieli sprawnych hamulców, wypadlibyśmy z drogi już na pierwszym kilometrze.

Gavin siedział cicho jak mysz na tylnym siedzeniu, a my z Hiszpanem zmienialiśmy się co jakiś czas za kierownicą. Wąska szosa przysypana skalnymi odłankami przez cały czas prowadziła krętym szlakiem w górę i w dół, tak jakby wciągała nas w kubański labirynt bez wyjścia.

– Mam dwunastoletniego syna – powiedział w pewnej chwili Eduardo, strzeżując z prawej ręki niewidzialne mrówki. – Rozwiodłem się z jego matką. Nie mieliśmy ze sobą już nic wspólnego.

– To smutne – odrzekłam nie zachęcającym głosem.

– To raczej bardzo wesołe – odpowiedział natychmiast. – Moje życie przed rozwodem wyglądało jak wojna. Teraz pracuję w szkole jako nauczyciel, podróżuję i... wiesz, mamy ze sobą dużo wspólnego. Ty i ja.

– Tak sądzisz? – spojrzałam w jego bulgoczące oczy.

– Lech Walesa? – odparł pytająco. – Solidarność? Ja też wychowałem się w kraju, gdzie panował reżim. U nas w Hiszpanii dyktatorem był generał Franco i ludzie chcieli go obalić.



– I wybuchła wojna domowa – przypomniałam sobie. Ernest Hemingway mieszkał wtedy w pięknym białym domu przy ulicy Whitehead na wyspie Key West na południowym krańcu Stanów Zjednoczonych. Był upalny grudzień 1936 roku. Hiszpania dla Hemingwaya była krainą słońca, sztuki i walk byków, jego inspiracją i przybraną ojczyzną. Bardzo poruszyła go wiadomość o tym, że władzę w kraju przejął były komendant wojskowy Wysp Kanaryjskich, generał Francisco Franco, wywołując zamęt i rewolucję. Chciał natychmiast pakować się i jechać do Europy jako żołnierz, ale nie pozwoliły mu na to rany odniesione podczas pierwszej wojny światowej, gdy jako korespondent wojenny towarzyszył oddziałowi włoskiej armii. Przyjął jednak propozycję *North American Newspaper Alliance*⁶², by pojechać do Hiszpanii jako reporter. Za każdą krótką relację miał dostawać 500 dolarów, za większe artykuły dwa razy więcej. Efektem tej wyprawy wojennej była książka „Komu bije dzwon”. Niedługo później na stałe przeprowadził się na Kubę.

– Franco chciał nas wykończyć – dodał Eduardo i nagle wcisnął hamulec, kręcąc szaleńczo kierownicą. – Uff, udało się w ostatniej chwili – odetchnął, patrząc do wstecznego lusterka.

– Powwały głos to ryby goniec! – zabulgotał Gavin zbierając z podłogi rozsypane fragmenty swojego bagażu. – Ja wysiadam!

Podczas gwałtownego hamowania udało nam się wyminąć ostre odłamki kamieni leżące na drodze, przy czym Gavin został wgnieciony w tylną część przednich foteli, a ja cudem uniknęłam wybicia przedniej szyby własną głową. I wtedy usłyszałam, że za moimi plecami ktoś mówi coś o rybach.

– Co powiedziałaś? – zapytałam ⁶³niezbyt przytomnie.

– Chowały trzos to ryłby po nic! – sprecyzował Gavin i stanowczym ruchem wyskoczył na szosę. – Ja wysiadam!

Gdyby nie było tak strasznie, byłoby naprawdę pięknie. Po lewej stronie w ogromnej przepaści ciągnęły się falujące wzgórza porośnięte tropikalną roślinnością, na horyzoncie niebo stapiało się z błękitem lasów i skał, w powietrze czasem wzbijała się obudzona papuga. °adnych odgłosów ludzkiego życia, żadnych linii wysokiego napięcia, miast i miasteczek, dróg ani szalásów. To najbardziej bezludna i niegościnna część Kuby, a jednocześnie surowa, dziewicza i dumna. Te szare poszarpane góry chroniły przez lata plemiona Indian Taino, którzy mieszkali dalej na wybrzeżu. Zgodnie z odwiecznym zwyczajem niemowlętom ciasno do głowy przywiązywano deseczkę, która pomagała spłaszczyć czoło. Teraz na wyspie została tylko jedna rodzina Indian Taino, którzy mieszkają w Yateras niedaleko Guantanamo.

Eduardo żwawym krokiem chodził dookoła samochodu sprawdzając stan opon i wydłubując kamienie wciśnięte w bieżnik.

– To naprawdę ciekawe – ciągnął, gdy ruszyliśmy – że spotkaliśmy się na Kubie, ty i ja.



⁶² *North American Newspaper Alliance* (ang.) = Sojusz Gazet Ameryki Północnej.

⁶³ O mały włos to byłby koniec!

– To zabawne – odrzekłam – w Polsce rządzą komuniści, którzy prześladowali prawicę, a w Hiszpanii rządził prawicowy generał Franco, który prześladował lewicę. To tylko świadczy o tym, że w polityce nie istnieje prawda.

– O, doprawdy? – atak niewidzialnych mówek chyba się nasilił, bo Eduardo bił prawą ręką o kierownicę, usiłując je strząsnąć. – Tak uważasz?

– Celem prawicy jest obalenie lewicy i odwrotnie. Nikogo ze zwalczających się partii politycznych nie obchodzi kto ma rację. Chodzi tylko o to, żeby „moja frakcja” była na górze.

– To ciekawe, to ciekawe – zauważył Eduardo zjeżdżając na hamulcu z kolejnego krętego i stromego spadku. – W Hiszpanii podczas wojny domowej zginęło milion osób.

– O czym wy rozmawiacie? – Gavin wetknął łysą głowę między siedzenia. Zdaje się, że zaniepokoiło go słowo *muertos*, czyli „martwi, zabici”.

– O tym, że ty jako jedyny z naszej trójki nie pochodzisz z kraju, w którym istniała dyktatura i prześladowania – odrzekłam. – Hiszpania była pod władzą prawicowego generała, a w Polsce rządzą komuniści.

– O przepraszam! – Gavin wyprostował się z godnością i ciągnął urażonym głosem: – W moim kraju także istniała dyktatura i prześladowania pod nazwą thatcheryzm. Margaret Thatcher żelazną ręką sprawowała władzę przez dwanaście lat, podczas których bogaci nie narzekali, bo obniżyła podatki, ale biednym było z tygodnia na tydzień coraz gorzej. Wiem to, bo mój tata jest taksówkarzem!

– A wiesz co to jest *yuma*? – zapytał mnie z drugiej strony Eduardo.

Nie mogłam jednocześnie rozmawiać z Anglikiem po angielsku i Hiszpanem po hiszpańsku, prowadząc dwie różne rozmowy, zamilkłam więc, licząc na to, że dogadają się między sobą w jednym z wybranych języków.

– *Yuma*? – podchwycił Gavin po hiszpańsku. – Europa kochanek?

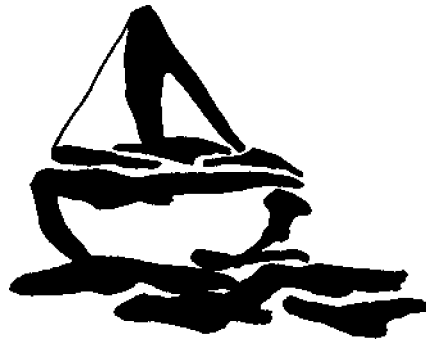
– Biały kochanek – zawtórował mu Eduardo po angielsku. – Kochanek Europa przyjedzie na Kuba i on biały ekstra. Ekstra dla kubańska dziewczyna.

Jak na zawołanie na szosie pojawiła się nagle Kubanka z ananasem w rękach. Za nią wyskoczyli następní: z kiśćmi bananów, torbami pomarańczy i rozkami opakowanymi w liście bananowców. To była tutejsza specjalność: *cucurucho*, masa z wiórków kokosowych słodzona cukrem albo miodem i z dodatkiem soku z owoców. Kobiety podsuwały nam do szyby kolorowe naszyjniki zrobione z jaszkrawo żółtych, pomarańczowych i czerwonych muszli ślimaków. Niedługo później dowiedzieliśmy się, że te ślimaki *Polymitas pictas* żyją wyłącznie w tym jednym miejscu na Ziemi, najchętniej na krzewach kawy.

– Z taką ilością kofeiny wjedzeniu te ślimaki fruwać – zauważył Gavin.

Kupiliśmy zapas owoców, płacąc za nie częściowo pieniędzmi po kosmicznie wygórowanych cenach, a częściowo tym, o co prosili Kubańczycy: szamponem, mydłem, długopisami. A potem droga stała się coraz mniej stroma i kręta, wiała się teraz leniwie i od niechcienia, między oszałamiającymi plantacjami bujnych, soczyście zielonych roślin. Zbliżaliśmy się do rajskich ogrodów Kuby.





ROZDZIA, 27

Na końcu świata

Krzysztof Kolumb przyplłynął na wschodnie wybrzeże Kuby w niedzielę 27 października 1492 roku. Stał przy burcie zachwycony, a potem powiedział: „To najpiękniejsza kraina, jaką widziały ludzkie oczy”. Przyglądał się strzelistym drzewom i nieznanym owocom, tropikalnym kwiatom i różnym gatunkom ptaków „o głosach nieprawdopodobnie przyjemnych”. Wraz z żeglarzami zszedł na ląd, żeby obejrzeć z bliska dwie indiańskie chaty. Znalazł w nich sieci rybackie zrobione z włókna palmowego, haczyki i harpuny z kości, palenisko i trochę jedzenia. Ludzie widząc zbliżający się statek uciekli. Najbardziej niezwykłym znaleziskiem był jednak miejscowy pies, zwany *perro nudo*, który nie tylko miał gładką skórę pozbawioną sierści, ale i nie potrafił szczekać.

Krzysztof Kolumb był przekonany, że Kuba jest poszukiwaną przez niego wyspą Cipangu (czyli Japonią), bo tak wskazywały posiadane przez niego mapy i globusy. Liczył na ogromne bogactwa złota, szlachetnych kamieni i przypraw korzennych.

Miesiąc później w liście do Ich Królewskich Mości napisał: „Lubość i rzeźwość tej rzeki, przezroczystość jej wody pozwalająca dojrzeć piaszczyste dno, jak i bezlik rosnących wokoło wysokich palm o kształtach najrozmaitszych a przepięknych, jakich oczy moje dotąd nie widziały, a także inne gatunki ogromnych zielonych drzew, fruwające ptactwa, ukazujące się oczom zielone równiny – wszystko to podszeptowało mi myśl, bym się zdecydował i pozostał tu na zawsze. Okolice ta, Najjaśniejsi Książęta, jest cudnie piękna i urodą swoją i powabami góruje nad nocą. Nie zdołam, choćbym bardzo się trudził, w pełni zdać rachunku Waszym Wysokościom z urody tego zakątka, bo język mój nie jest w stanie wyrazić całej prawdy, a ręka oddać jej słowem pisanim. Zaiste, na widok tego cudu jam zgłupiał. Zamilknę więc, wyrażając jeno pragnienie, by miejsce to mógł zobaczyć ktoś,



⁶⁴ *Perro nudo* (hiszp.) = dosłownie: nagi pies.

kto będzie umiał lepiej je opisać. Ten, kto je będzie opisywał lub o nim opowiadał, doświadczy szczęścia najprawdziwszego”.

Miejscowi Indianie uciekali na widok brodatych Hiszpanów, nie udało się więc nawiązać z nimi bliższego kontaktu. Krzysztof Kolumb nakazał swoim marynarzom wstrzeźliwość, zabraniając zabierania czegokolwiek z indiańskich chat. Osadzie zbudowanej nad morzem nadał nazwę Puerto Santo (Święty Port), a w sobotę 1 grudnia przy wejściu do portu ustawił wielki krzyż.

Puerto Santo dzisiaj nosi pierwotną nazwę Baracoa, co w języku Indian Taino oznaczało *existencia del mar*, czyli „życie związane z morzem”. Była to pierwsza kolonia hiszpańskich osadników, którzy walczyli z Indianami dowodzonymi przez walecznego wodza Hatueya. W herbie Baracoa do dziś znajdują się pierwsze cztery rzeczy, które na nowej ziemi ujrzeli Hiszpanie: nagie psy, które nie umiały szczekać; palma kokosowa; Zatoka Baracoa i zacumowany w niej okręt Diega Velázqueza oraz góra Yunque.

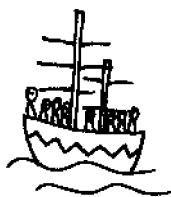
Wjechaliśmy do miasteczka krótko przed zmierzchem. Betonowe uliczki, dorozki ciągnięte przez pary solidnie podkutych koni, których tętent odbijał się od

był to wybitny przykład zniszczonego. Główną uliczkę, która prowadziła do przetrwałej przed białym kościołem stała nieczynna fontanna z żabami i popiersie Hatueya, który zdawał się wypatrywać w dali pomocy dla siebie i swojego ludu. Hiszpanie spalili go na stosie w 1512 roku. Dwa zaułki dalej potężne fale uderzały o betonowy murek oddzielający ulicę od bezkresnego morza. Na murku siedziały cztery Kubanki z włosami nakręconymi na lokówki i rozmawiały – nie zwracając uwagi na słone fontanny większych fal bryzgające na beton. Kiedy jechaliśmy powoli uliczką między rozpadającymi się od wilgoci domami z desek, pomyślałam, że dotarliśmy właśnie na koniec świata. Jeden z wielu takich krańców, gdzie czas nie biegnie, ale ledwie toczy się, nie przeszkadzając ludziom w ich codziennych zajęciach. Konie skubały liście z drzew, rowerzyści wymijali ogromne stare cadillaki, wiatr wiał z taką mocą, jakby odbywał tu ćwiczenia na wietrznym poligonie, a prostokątne okienko fortecy od kilkuset lat wpatrywało się z uwagą w horyzont.

Zaparkowaliśmy przed drzwiami z zielonym trójkątem. Nocą słyszałam nieustający szum morza i wichury, która szarpała drewnianym domkiem, tak jakby chciała go porwać i wyrzucić w przestworza.

O szóstej rano spotkaliśmy się przy śniadaniu. Stanowiliśmy komiczny zestaw: Flegmatyczny Anglik starannie mlaskając jadł swój omlęt z chrupiącą cebulą, a potem siedział jak dziecko nad filiżanką herbaty, czekając aż ostygnie. Ja starannie oddzielałam białko od żółtek niedogotowanych jajek na twardo, a Szalony Hiszpan wlewał w siebie kolejne filiżanki kawy, strząsając z prawej ręki niewidzialne mrówki.

Punktualnie o szóstej trzydzieści wsiedliśmy do samochodu i wyruszyliśmy w stronę kubańskiej dżungli.



Nazwa Baracoa w języku Indian Taino oznaczała *existencia del mar*, czyli „życie związane z morzem”.

⁶⁵ Hernando Colon – „Dzieje żywota i znamienitych spraw Admirała don Krzysztofa Kolumba”, wyd. MON, 1965, tłum. Alija Dukanović.





ROZDZIA, 28

Rajskie ogrody

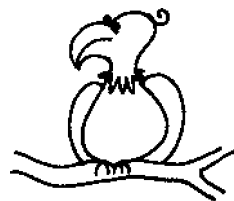
Nie mogłam się doczekać chwili, gdy dotknę stopami prawdziwej ziemi i wejść między drzewa. Czterdzieści kilometrów od Baracoa znajdowała się ostatnia połączona dziesięć puszczy tropikalnej zachowanej na Kubie. Eduardo jechał drogą pełną dziur z taką prędkością, jakby liczył na to, że nasz pocziwy peugeot wzbije się w powietrze i pofrunie do celu. Chciał chyba udowodnić, że przydomek „Szalony Hiszpan” należy mu się nie przez przypadek. Stara szosa wyglądała tak, jakby była celem starych ataków złośliwych betonożernych ptaków, które bezlitośnie wydziobywały w niej kolejne dziury – wielkie i małe, rozległe jak kałuże lub podstępnie niewidoczne z daleka. Na niektórych odcinkach pokrycie drogi zostało całkowicie zerwane, a pozostały tam strome i wysokie progi, przed którymi nie zawsze udawało nam się w porę zahamować. Samochód jęczał, huczał i wydawał inne niepokojące odgłosy, a szalony Hiszpan cisnął pedałem gazu, przyprowadzając Gavina o nerwową czkawkę. W końcu jednak zatrzymaliśmy się przed drewnianą chatą z napisem „Kierownik”. Tutaj mogliśmy zostawić samochód, by rozpocząć pieszą przygodę w kubańskiej dżungli.

Mieliśmy przed sobą 60 000 hektarów puszczy, o której badacze napisali, że jest to „jeden z najbardziej biologicznie różnorodnych ekosystemów tropikalnych na świecie”, ponieważ prawie trzy czwarte rosnących tu roślin nie występuje nigdzie indziej na Ziemi, w lagunach żyją zagrożone wyginięciem manaty⁶⁶, a na drzewach – wyjątkowe kubańskie papugi i hakodzioby⁶⁷. Tutaj w łąkach osiemdziesiątych widziano ostatniego na świecie dzięcioła wielkodziobego⁶⁸. Potem nikt

⁶⁶ Manat (łac. *Trichechus manatus*) = ssak z rzędu syren, zwany też krową morską. „agodne, powolne, roślinożerne wielkie zwierzę o długości do 3 metrów, zamieszkujące płytkie zatoki i rzeki tropikalne. Trzy gatunki manatów żyją u wybrzeży Florydy, w dorzeczu Amazonki i Orinoko oraz w Afryce.

⁶⁷ Hakodziób (*Chondrohierax uncinatus*) = ptak o charakterystycznym mocnym, zagiętym dziobie, ciemnym umaszczeniu, wielkości do pół metra. „ywi się ślimakami. Niezwykle rzadki.

⁶⁸ Dzięcioł wielkodzioby (*Campephilus principalis*) – nazywany „królem ptaków”, największy dzięcioł Ameryki i trzeci co do wielkości na świecie. Ma jasny dziób i ciemne nogi, czarno-białe upierzenie i jaskrawo czerwony czubek na głowie. Przez 50 lat uważany za wymarły, niedawno odnaleziony w dolinie Missisipi w USA i na Kubie.



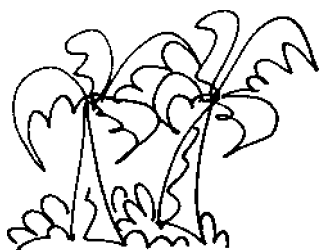
go już nie zobaczył, ale świadkowie twierdzą, że wciąż można go usłyszeć. Zapłaciliśmy za wstęp, wybraliśmy najdłuższą siedmiogodzinną trasę i wraz z przewodnikiem zanurzyliśmy się w pierwsze zarośla.

Przymknęłam oczy z zachwytu. W ciepłym powietrzu pachniały zielone liście, butwiejące gałęzie i grzyby, słodkie orchidee i rozpalona słońcem kora drzew. Wysoko nad naszymi głowami ptaki prowadziły świergoczące rozmowy, słysząc było trzepot skrzydeł i cykady wkręcające się ślusarskim zgrzytaniem w ciszę. Poczulałam bijącą od nagiej ziemi energię, taką samą jakiej tyle razy doświadczałam w dżungli nad Amazonką. Nareszcie! Po tylu dniach spędzonych w betonie miasta, wśród kłębiących się czarnych spalin, hałasu kubańskich samochodów i autobusów, po ciemnych, ponurych sklepach i ciasnych pokojach, nareszcie wróciłam do przyrody. Chłonełam zieloną, upalną wilgoć całą skórą, czując jak stopy same przyspieszają i wyrrywają się naprzód. Marzyłam tylko o tym, żeby odejść na tyle daleko, żeby nie słyszeć krzyczącego głosu i tubalnego śmiechu Szalonego Hiszpana, który przez cały czas rozmawiał z przewodnikiem.

Gavin siedł dość niepewnie, rozglądając się z zaskoczeniem na boki. Angielskie lasy strefy umiarkowanej miały tyle samo wspólnego z dżunglą co nasze polskie zagajniki. Zdaje mi się ponadto, że Gavin raczej rzadko wychylał nos poza rogatki miejskiej dżungli Londynu. Kiedy przechodziliśmy w bród przez spokojny strumień, Gavin wydawał się całkowicie zagubiony. Zdjął buty, podwinął nogawki i centymetr po centymetrze przesuwiał się do przodu, wstrzymując oddech ze strachu. Być może wyobraźnia podsuwała mu wizje różnych potworów, które czyhają na zabłąkanych wędrowców na dnie rzeki.

A Eduardo ciągle coś opowiadał, chyba z przyzwyczajenia podnosząc głos. Jego krzyk odbijał się echem od ścian zieleni i docierał nawet do mnie, choć bym kilkadziesiąt metrów dalej. W końcu zawróciłam, powiedziałam przewodnikowi, że pójdę pierwsza własnym tempem i żeby się nie martwił kiedy straci mnie z oczu.

Ruszyłam naprzód nie oglądając się więcej i czekając na moment, kiedy przestanę słyszeć ludzkie głosy. Ścieżka biegła dość wyraźnie wydeptanym paskiem między splątanymi krzewami. W pewnej chwili w dolinie dostrzegłam kilku mężczyzn ścinających maczetami kokosy i towarzyszące im czarne świny, przeszłam obok opuszczonego szałas, wspierałam się na szczyt kamienistego wzniesienia i nagle stanęłam przed bramką zrobioną z belek, obok której leżał byk. Z mojego doświadczenia wynika, że tak zwane bydło domowe potrafi się zamieniać w dzikie bestie jeśli chce. Wolałam nie sprawdzać na co ma ochotę kubański byk rozłożony na czarnej ziemi w dżungli. Sprawa była jednak znacznie bardziej skomplikowana, ponieważ jedyna droga naprzód wiodła obok byka i przez zamkniętą bramkę. Czy jest możliwe, żeby trasa prowadziła przez zamknięte tereny? Raczej nie. Czy istniał łatwy sposób pokonania bramki? Jeden rzut oka w płonące testosteronem bycze ślepiea podpowiedział, że nie. Po obu stronach kłębiły się kolczaste zarośla



wciśnięte między ostre skały. Czy jest w takim razie możliwe, że nie zauważyłam rozstaju dróg i poszłam w złą stronę? To zabrzmiało groźnie. Próbowałam sobie przypomnieć ostatnie skrzyżowanie, na którym mogłam się zawahać. Tak, przy tym porzuconym szałasie. Zdaje się, że w lewo odbijała niewyraźna ścieżka. Jeszcze raz spojrzałam na byka. Zdawał się potwierdzać moje przypuszczenia. Odwróciłam się więc i czym prędzej zaczęłam biec w dół góry. Kilkanaście minut później usłyszałam dudniący głos Eduardo. Dochodzili właśnie do szałasu. Przewodnik bez wahania skręcił w prawo.

– Tam jest byk – powiedziałam. – I zamknięta bramka.

– To nic – odrzekł Kubańczyk w kaloszach.

– Mam otworzyć bramkę i iść dalej?

– Si.

– A byk?

– A byk? – powtórzył po mnie Kubańczyk z uśmiechem i lekkim uniesieniem ramion.

„Abyk, abyk” – powtarzałam sobie w myślach wracając do bestii. Z mojego doświadczenia wynika, że nie wolno patrzeć potencjalnemu napastnikowi w oczy – to dotyczy zarówno zwierząt, jak i ludzi. Skoncentrowałam się na celu, czyli na furtce. Byk dla mnie nie istniał. Cokolwiek tu robi i jakiegokolwiek może mieć zamiary, postanowiłam, że jego obecność w tym miejscu nie ma ze mną żadnego związku. Wystarczy tylko opanować drżenie łydek i ataki plemienia Ciarków na plecach. Idę naprzód. Byk zaczął głośno sapać, jakby ogarnęło go zdumienie. Podniosłam oczy tylko odrobinę i spod przymkniętych powiek patrzyłam na jego nogi. Dopóki leżą na ziemi, jestem bezpieczna. Nie należy się poruszać zbyt szybko ani zbyt wolno. Byk powinien czuć się niewidzialny. Zrobiłam kilka kroków i dotknęłam drewnianej bramki, czując bycze westchnienie na karku. Dwa szybkie ruchy, trzaśnięcie belki i byłam po drugiej stronie. Zwycięstwo. Dyszący zwierz został za moimi plecami. Kiedy sprawisz, że twój wróg poczuje się niewidzialny, zniknie konieczność walki. Kiedy wroga nie ma, nie trzeba go pokonywać. Nie obejrzałam się za siebie. Ruszyłam naprzód.





ROZDZIA, 29

Blondynka w dżungli



cieżka była coraz bardziej dzika. Nie ścieliła się już posłusznie pod stopami, ale kluczyła, znikwała, by znienacka się pojawić kilka metrów dalej. Przełaziłam przez zwalone pnie drzew i kolczaste krzaki, które ciągnęły mnie za ubranie. W mrocznej dżungli trwała bitwa ożycie, które od wieków toczą ze sobą zwierzęta, rośliny i owady. Czulałam na sobie dziesiątki czujnych oczu przyglądających mi się z nor, gałęzi i traw. Przyśpieszyłam kroku, starając się skupić uwagę na ledwie widocznym paśmie udeptanych liści. Naprzód, naprzód, naprzód...

Włączyłam szósty i siódmy zmysł. Szósty zmysł to rodzaj instynktu, z którym przychodzimy na świat. Nie używany w miastach, bo dookoła jest za dużo agresywnych bodźców. Na chodniku, w biurze czy w kawiarni nie ma potrzeby nieustannego czuwania czy nie grozi nam jakieś niebezpieczeństwo. Dlatego szósty zmysł bywa często uśpiony. Budzi się w lesie, na sawannie, w górach, gdy człowiek nagle zaczyna słyszeć i widzieć rzeczy, na które wcześniej nie zwracał uwagi. Siódmy zmysł to moc, którą zdobyłam u Indian.

Nagle stanęłam na brzegu rzeki. To był koniec drogi. Po lewej stronie ciągnął się mialki piasek, zapadający się pod butami. Po prawej – splątana dżungla. Przedemną – wartka rzeka o szerokości kilkunastu metrów. Z tyłu – moja niewyraźna ścieżka, którą od pewnego czasu bardziej rozpoznawałam instynktem niż wzrokiem. Przewinęłam w myślach film z ostatnich godzin. Minęłam kilka rozstajów dróg, ale zawsze jedna ze ścieżek była bardziej wyraźna i zachęcająca. Ani razu nie musiałam długo się zastanawiać, żeby dokonać wyboru. To oznacza, że szłam właściwą drogą i podejmowałam dobre decyzje. Nie będę więc cofać się w poszukiwaniu innej trasy. Ścieżka musi być przede mną. Ale gdzie?

Po lewej stronie – mlaskające błoto, które przyklejało się do butów i porośnięte dawno nie dotykany trawami. Na wprost – gwałtowna rzeka. Pomyślałam, że



mogłabym przejść na drugą stronę szukając płycizny, ale... nie było żadnego znaku, który wskazywałby, że to właściwy kierunek. Niewyraśny trop prowadził do bagnistego, zacienionego brzegu, nad którym unosiły się roje much. Pachniało zgnilizną i ciemnością. Minęłam czarne trzęsawisko i zaczęłam się wspinać. Byłam już w połowie stromizny, gdy poczułam ostrzeżenie. Zatrzymałam się. Pozornie nic się wokół nie zmieniło, ale jednak powietrze pachniało inaczej, a dźwięki nie pasowa-

odnaleźć odpowiedź na dręczące mnie pytanie. Gdzie mam szukać drogi? Którędy iść do celu? Jak odnaleźć zgubiony kierunek? Na zboczu rosły chaotycznie rozrzucone krzaki i drzewa, które próbowały utrzymać się korzeniami w płytkiej glebie. Widać było, że dawno nie przechodził tędy żaden człowiek ani zwierzę. Dlatego też dotychczasowa wspinaczka była tak trudna. Przecierałam zupełnie nowy szlak, potykając się, szarpiąc z pnączami i zjeżdżając w dół. To nie może być moja zagubiona ścieżka. Postanowiłam wrócić w dół i poszukać jeszcze raz.

Nie bałam się. Miałam świadomość tego, że moje życie zależy od umiejętności znalezienia właściwej drogi. Nie chciałam marnować energii na strach.

Zeszłam znów do rzeki. Zmyłam z rąk czarną ziemię i błoto, zaczęłam się przyglądać roślinom. Jeśli droga nie wiedzie w lewo ani w prawo, musi prowadzić na wprost, przez rzekę. Ale krzaki na drugim brzegu rosły zwarcie i gęsto, zwieszając liście ciężkie od popołudniowego upału. Wydawały się nietknięte, tak jakby rosły tutaj od tysięcy lat i nigdy żaden przechodzień nie zburzył ich naturalnego porządku

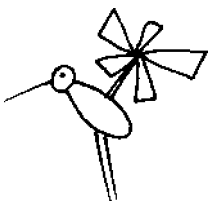
Nie wiem skąd wzięło się we mnie to głębokie przekonanie, że ścieżka jest gdzieś niedaleko i jeśli maksymalnie się skoncentruję i uruchomię wszystkie si-

po chwili poderwała się jak helikopter i pofrunęła dalej. Na moment znikła mi z oczu, a potem wróciła i zawisła nad jednym z kamieni wystających z rzeki. Zmrużyłam oczy. Na kamieniu leżała rozgnieciona grudka gliny. Stara, przyschnięta i popękana od słońca, miała niecały centymetr długości, ale na pewno nie pochodziła z dna rzeki, nie mogła zostać przywiana ani przyniesiona przez owady. Musiał ją tam zostawić ktoś, kto wcześniej postawił but na błotnistym brzegu rzeki, tym samym, na którym właśnie stałam. Wstałam, włożyłam plecak i skoczyłam na kamień. Miejsca ledwie starczało dla obu stóp. Wokół ostrzegająco huczała woda. Skacząc z jednego kamienia na następny dotarłam do klifu, rozsunęłam ramionami rośliny zagrządzające mi drogę i w głębi dostrzegłam nieco jaśniejszy pas butwiejących liści. Od razu zrozumiałam, że to jest moja zagubiona

przed siebie.

Za kilkoma wzgórzami i za puszczą pełną mrocznego cienia odkryłam zalane tropikalnym słońcem kotliny. Przywitały mnie śmiechem dwa duże czarne ptaki siedzące na drzewach.

– Dzień dobry, ptaki – odpowiedziałam na głos. – Jaki piękny mamy dzień!



Palma real, palma królewska – narodowe drzewo Kuby, widoczne także w jej godle.



Wy' p - ...

41. 'S>



*W dolinie dostrzegłam
kilku mężczyzn
cinających maczetami
kokosy i towarzyszące
im czarne świnie.*



Zaśmiały się znowu, jak szydercza para starszuchów oglądająca z teatralnego balkonu *the Muppet Show*. Siedziały na jedynej grubej gałęzi rosnącej z samotnego drzewa. Wyglądały zjawiskowo, jak gdyby w drżącym z gorąca powietrzu wyświetlił się obraz z innej rzeczywistości. A może to były tajemnicze hakodzio-by, które podobno nie istniały już na świecie, ale powróciły z zaświatów właśnie tutaj w kubańskiej dżungli imienia Alexandra Humboldta⁶⁹? Zatrzymałam się na chwilę, żeby móc się im lepiej przyjrzeć, ale gdy tylko sięgnęłam po aparat fotograficzny, ptaki odfrunęły.

I wtedy nagle zorientowałam się, że stoję na rozstaju dróg. Jedna biegła do góry w prawo, druga w lewo i w dół. Obie były identyczne – wąskie, piaszczyste i zapraszające. Ale tylko jedna mogła być właściwa. Która?... Nad moją głową rozległ się znowu śmiech. Ptaki wróciły na gałąź i zaśmiewały się drwiącym chichotem, do którego przyłączyły się buczące żuki, szyderczo brzęczące pszczoły i bzykające moskity. I co teraz?... Im dłużej stałam i myślałam, tym głośniejsze za-

zacęłam się śmiać razem z nimi. Poszłam w prawo, ku górze. Bez wahania.

⁶⁹ Alexander Humboldt (1769–1859) – niemiecki przyrodnik i podróżnik, który wraz z botanikiem Aimé Bonplandem podróżował po dziewiczych obszarach Ameryki Południowej. Po powrocie do kraju opublikował trzydzieści tomów, w których opisał całą zebraną wiedzę, nieznaną wcześniej rośliny i zwierzęta.



Mijałam kołyszące się trawy i krzaki wspinając się na szczyt wzgórza, gdy nagle ptaki zaczęły krzyżeć. Stałam. Ptaki patrzyły wprost na mnie i krzyżały chrapliwymi głosami. Zawróciłam, zbiegłam do rozstaju dróg i poszłam w lewo. Przez zbocze i strumień, przez puszcę i zagajnik palmowy, przez rzekę i dzikie ostępy, przez bagniska i wzgórza, aż wreszcie nagle dotarłam do rozlewiska, które wydało mi się znajome. Czy to nie tutaj Gavin z podwiniętymi nogawkami szukał w wodzie czyhających na niego szczęk? Czy nie na pobliskiej polanie przewodnik pokazywał nam owoce cierpkiej pomarańczy? Nagle wyłączył mi się nakaz podążania przed siebie. Chciałam odpocząć i byłam pewna, że to jest najbardziej odpowiednie miejsce. Usiadłam na trawie.

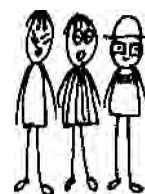
Godzinę później usłyszałam głosy. Tubalne pokrzykiwanie Hiszpana, chrzęst amanych gałęzi, łagodne słowa przewodnika. Kiedy wyszli z gęstwiny, spojrze-

- Niemożliwe! – ryknął Hiszpan.
- Niemożliwe! – szepnął przewodnik.

Gavin przetarł oczy.

– Co się stało? – zapytałam, tknięta niepokojem. Wyglądali na żywych i zdrowych, ale czasem pozory mylą.

*Nie bałam się.
Miałam świadomość
tego, że moje życie
zależy od umiejętności
znalezienia właściwej
drogi. Nie chciałam
marnować energii
na strach.*





– *Where have you been*⁷⁰? – zapytał Gavin z tak głębokim wyrzutem, że zrobi-

– Jak to gdzie byłam? – zamrużyłam oczami. – Przecież wyruszyliśmy razem tą samą trasą. Byłam w dżungli. A wy nie?...

– Szukaliśmy ciebie! Wołaliśmy ciebie! – zawołał Hiszpan, gwałtownie strząsając z prawej ręki niewidzialne mrówki. Był najwyraźniej wkurzony. – Martwiliśmy się o ciebie!

– O mnie? Ale dlaczego? Przecież uprzedziłam, że będę szła przodem.

– Ale dokąd! – krzyknął Hiszpan. – Przecież tu nie ma drogi, nie ma żadnej mapy, mogłaś zablądzić i umrzeć w tej dżungli!

– Znalazłam drogę – odrzekłam spokojnie. – Fakt, że czasem było trudno, ale najważniejsze przecież jest to, że spotkaliś my się tak, jak byliśmy umówieni – na końcu trasy.

Gavin był trochę zagubiony, pewnie dlatego, że nie rozumiał o czym po hiszpańsku toczyła się rozmowa. Hiszpan gotował się ze złości, wymieniając wszystkie

i przyglądał mi się świdrującymi oczami.

– *Todo bien* ? – uśmiechnęłam się na dowód, że nic mi się nie stało. – Możemy iść dalej?

– To niemożliwe – odparł przewodnik z uporem. – Ta droga jest zbyt niebezpieczna i tak często gubi się w gęstwinie i trudnym terenie, że nikt nie jest w stanie przejść jej sam.

– Więc byłam pierwsza – zażartowałam i podniosłam plecak. – Idziemy?

– To niemożliwe – powtórzył przewodnik. – Ryzyko byłoby zbyt wielkie. A którąś szłaś? – popatrzył na mnie z nagłym podejrzeniem.

– Przez puszcę, na drugą stronę rzeki, przez wzgórze, obok starego szałas, przez bagno...

– Mogliśmy się już nigdy nie zobaczyć! – huknął Hiszpan. – Wołaliśmy cię tyle razy po imieniu, razem, chórem, żeby głos niósł się dalej, nic nie słyszałaś?!

– Nic nie słyszałam. A która jest godzina?

Było po czwartej. Wędrowaliśmy więc przez ponad osiem godzin. Hiszpan nie przestawał narzekać i pokrzykiwać, Gavin nie bardzo rozumiał o czym rozmawiamy, a przewodnik ciągle rzucał mi podejrzliwe spojrzenia. Kiedy dotarliśmy do samochodu, jeszcze raz pokręcił głową i uściśliśmy sobie ręce.

– Może kiedyś tu wrócisz? – zapytał.

– Wrócę – powiedziałam tak samo do niego, jak do czarnych ptaków, które ostrzegły mnie przed niebezpieczeństwem i wskazały właściwą drogę. Kiedyś będę musiała im podziękować.

⁷⁰ *Where have you been?* (ang.) = Gdzie byłaś?

⁷¹ *Todo bien?* (hiszp.) = Wszystko dobrze? Wszystko gra?



*Przełom przez puszcę
i dzikie ostre, aż nagle
dotarliśmy do celu.*

które wydało mi się znajome.





*„Okolica ta jest cudnie
piękna, a urodą swoją
i powabami góruje
nad nocą”. – pisał
zachwycony Kolumb
po przybyciu na
wschodni kraniec Kuby.*



Cubacel
PREPAGOS

PIONEER
The Art of Entertainment

MDH006

SUNNY

HEP481

106
A 186



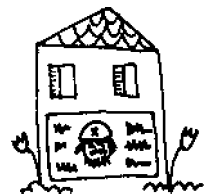
ROZDZIA, 30

Czas Gavina

Pędziliśmy na złamanie karku. Samochód jęczał na drodze pełnej dziur i wyrw, a Hiszpan dociskał gazu i strząsał z ręki niewidzialne mrówki, a kiedy Gavin szepnął nieśmiało, że powinien zwolnić, przewrócił tylko wylupiastymi oczami. Przespaliśmy się w Baracoa w tej samej chacie, którą przez całą noc szarpał wiatr, a o świcie po krótkiej naprawie samochodu wyjechaliśmy z miasteczka z powrotem w stronę gór.

Dżungla została za nami. Powróciła codzienna Kuba z ogromnymi szarymi blokami tworzącymi betonowe osiedle na skraju miasta. Wyglądało jak konstrukcja kosmiczna, jak ślad pozostawiony przez UFO, jak potężne białe prostokątne pudełka podzielone na komórki, w których zamyka się ludzi bezdusznej przyszłości. Ale w rzeczywistości te kubańskie osiedla robotnicze to pozostałość z dawnych czasów, kiedy próbowano stworzyć idealny kraj dla idealnych ludzi. Czy nie podobnie było kiedyś w Polsce? Komunistyczne blokowiska, gdzie każdy miał swoje kilka metrów kwadratowych otrzymane w prezencie od państwa.

Arte es una arma de la revolución! – przypomniało mi się nagle. Sztuka to jedno z narzędzi rewolucji – głosił Fidel Castro. Dlatego drukowano tanie książki, bilet do kina kosztuje dla Kubańczyka dwa peso (25 groszy polskich), a najlepsze miejsce w pierwszym rzędzie w teatrze – 10 peso (złotówkę i 25 groszy). Rząd Fidela Castro czynnie uprawia sztukę muralizmu – czyli nieustannego głoszenia prawd i haseł na ścianach i murach miast. Na przykład *El socialismo es la ciencia de ejemplo* – Socjalizm to nauka dawana przykładem. Albo *Revolucion es cambiar todo lo que tiene ser cambiado* – Rewolucja to zmiana tego wszystkiego, co wymaga zmiany. Trudno się z tym nie zgodzić. Albo *Patria es humanidad* – Ojczyzna to człowieczeństwo. Widziałam też inne, które są kierowane do „idealnego człowieka”, takiego Kubańczyka,



⁷² Muralizm – od hiszpańskiego słowa *mural* = malowidło naścienne.

jakim chciał go widzieć Ernesto Che Guevara: *Morir por la Patria es vivir* – Umrzeć dla Ojczyzny to żyć. *Seguimos construyendo nuestros sueños* – Nie przestajemy budować naszych marzeń. A także *Paz – es lo que necesita el mundo* : Pokój – oto czego potrzebuje świat. Jak to się ma do hasła na innej ścianie *Socialismo o muerte. Venceremos* – Socjalizm albo śmierć. Zwycięzimy. Zapewne chodzi o to, że świat potrzebuje pokoju – żeby nikt nie zaatakował zbrojnie Kuby. I na wszelki wypadek, gdyby ktoś planował doprowadzenie do inwazji, naród kubański powinien być gotowy do chwycenia za broń. Tak, to potwierdzało hasło wymalowane na następnej ulicy: *Si nos invaden moriré combatiendo* – Jeśli na nas napadną, umrę w walce.

Wrażenie robi cykl haseł obrazujących osiągnięcia państwa kubańskiego na tle innych krajów: „Sto milionów dzieci poniżej 13 lat jest na świecie zmuszanych do pracy, aby przeżyć. °adne z tych dzieci nie jest kubańskie”. „Wiele milionów kobiet na świecie nie umie czytać ani pisać. °adna z nich nie jest Kubanką”.

Nagle samochód podskoczył wydając z siebie dziwne bolesne chrupnięcie. Hiszpan nie drgnął – i może to i dobrze, bo trzymał w rękach kierownicę – ale my z Gavinem obejrzelśmy się przez tylną szybę. Na jezdni został za nami rozjechany kurczak.

– *The accident is a problem of pollo, this no my problem* – powiedział Hiszpan łamanym angielskim z dodatkiem hiszpańskiego, co można by w skrócie przetłumaczyć jako: – Ten kurczak ma problem.

– Co się stało? – zapytał Gavin, nie do końca chyba rozumiejąc związek między nami a mokrą plamą na szosie.

– *This no my problem* – powtórzył czym prędzej Hiszpan. – To nie moja sprawa. Tutaj na Kubie, kiedy zdarzy się taki wypadek, to wina leży zawsze po stronie kurczaka.

– Ale co się stało?

– Przejechaliśmy kurczaka – powiedziałam ponuro.

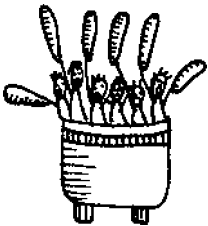
– *This is problem of the pollo, no my problem* – uspokoił go Hiszpan. – To jest sprawa tego kurczaka, nie moja sprawa.

– Przejechaliśmy kurczaka? – zapytał z niedowierzaniem przerażony Gavin. Jego angielskie wychowanie zapewne nie przygotowało go na podobną ewentualność. Był teraz tak samo zagubiony jak w kubańskiej dżungli. Obejrzał się i czym prędzej zamknął od wewnątrz drzwi. Przez chwilę siedział w milczeniu, zagłębiony w analizie ostatnich wydarzeń, a potem powiedział: – Byłoby zabawnie, gdyby się okazało, że za nami jedzie ciężarówka wyładowana wściekłymi tubylcami z kijami do baseballa.

Mimowolnie obejrzelśmy się wszyscy do tyłu.

– Co za dzień! – westchnął Hiszpan, strzepując na kierownicę niewidzialne mrówki. – Najpierw przebiłem oponę gwoździem, a potem zabiłem kurczaka!

– Jestem ciekaw co powiedzą w wypożyczalni kiedy oddamy samochód, który jest cały obłany błotem, ma przebite koło i kurczaka przyklejonego do błotnika – dorzucił ponuro Gavin.





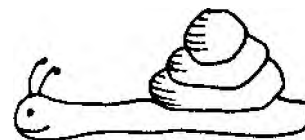
Rozważaliśmy to przez pewien czas w ciszy, ale po chwili wjechaliśmy na krętą i stromą górską drogę, więc przestaliśmy myśleć o przyszłości, zajmując się jak najbardziej teraźniejszym i bezpośrednim zagrożeniem. Mijaliśmy te same ostre zakręty, zawisając jednym kołem nad przepaścią, przejeżdżając obok sprzedawców ananasów i naszyjników z muszli ślimaków zagrożonych wyginieciem, klucząc między odłamkami odłupanymi od skał, przez dziury, spadki i stromizny, z każdym szalonym kilometrem zbliżając się coraz bardziej do tętniącego miejskim życiem i muzyką Santiago de Cuba.

Rozstaliśmy się z Hiszpanem po południu. Chciał pojechać jeszcze na południowy zachód, malowniczą drogą przez góry Sierra Maestra. Wcześniej rozmawialiśmy o tym, że może pojedziemy tam razem, ale Hiszpan miał nas dosyć. Roznosiła go dziwna energia, za którą nie mogliśmy i nie chcieliśmy nadażać. Uścisnęliśmy sobie ręce, Hiszpan wsiadł do naszego srebrnego peugeota i odjechał z piskiem opon. A Gavin powiedział:

– Na mnie już czas.

Całkiem zapomniałam, że właśnie się kończy jego podróż dookoła świata. A przecież mówił, że ostatnie kilka dni chce spędzić na plaży w Varadero pijąc darmowe drinki i paląc cygara. Może wreszcie przyda mu się rozdział o podrywaniu w rozmówkach angielsko-kubańskich.

Gavin chciał ostatnie kilka dni spędzić na plaży w Varadero pijąc darmowe drinki i paląc cygara.



– Może jednak pojedziesz ze mną? – zapytał.

Pokręciłam głową. Varadero – najsłynniejszy kurort na Kubie to betonowa fabryka wakacji. Całkiem nie dla mnie. Na wąskim pasie lądu wyglądającym jak nasz Półwysep Helski stoją wielkie hotele *all-inclusive*, gdzie za dzienną stawkę rzędu 150 dolarów można korzystać do woli z basenu, alkoholu, jedzenia, telewizji i plaży. To dobre miejsce na tydzień poślubny i dla świeżo zakochanych par, ale nie dla mnie.

– Będziesz leżał w hamaku na plaży i palił cygaro?

– Tak, to mój ideał odpoczynku.

– I nie zmęczysz się bezczynnością? – domyśliłam się.

– Nigdy.

– O której wyjeżdżasz?

– Za godzinę mam autobus. Będę w Varadero o dwunastej w południe.

– W sam raz na szukanie jakiegoś miłego hotelu.

– W sam raz na porządny obiad. Prawdę mówiąc, najbardziej zniechęcającą rzeczą na Kubie jest tutejsza kuchnia. Jedzenie w kwaterach prywatnych to loteria, bo nigdy nie wiadomo co dostaniesz, ile tego będzie i czy nada się do zjedzenia. Posiłki w restauracjach są okropne. Kiedy znów tu przyjadę, to pewnie zatrzymam się w którymś z tych luksusowych hoteli *all-inclusive* na plaży. Aty?... Myślisz, e jeszcze kiedyś tu wrócisz?

– Tak, chyba tak.

– Więc do zobaczenia w którymś z kubańskich autobusów...

– ...gdzieś między Santa Clara a Trinidadem – dokończyłam za niego.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy, uścisnęliśmy ręce, dśwignęliśmy plecaki i rozeszliśmy się w przeciwnie strony.



*Varadero to dobre
miejsce na tydzień
poślubny i dla świeżo
zakochanych par.*





ROZDZIA, 31

W kubańskim Wąchocku

Lisście tytoniu były takie pachnące jak ciasto i smakowały jak czekolada

wstrzymywać oddech, przypominając sobie męczarnie rzucania palenia. Trójkątne wysokie szalasy przykryte palmowymi liśćmi nie służyły jako osłonięcie, tylko pięknymi wieszano powiązane za ogonki świeże tytoniowe liście. Z upływem dni, w lekkim wietrze i odpowiednio ukryte w półcieniu, traciły soczysty zielony kolor, żółkły i robiły się coraz bardziej złote, wydzielając przy tym silny zapach, od którego kręciło się w głowie. Powietrze na polach było tak przesiąknięte wonią suszących się liści tytoniu i nikotyny, że można było się uzależnić od samego oddychania. Nic dziwnego, a okoliczni Kubańczycy zajmowali się uprawą tytoniu i bez przerwy palili cygara.

Po rozstaniu z Gavinem przejechałam jeszcze raz całą Kubę, kierując się w stronę jej najbardziej tajemniczego zakątka, gdzie podobno do dziś mieszkają legendarni *Los Aquaticos*, Wodni Ludzie. To ostatnie dziewicze plemię na wyspie, które przetrwało w dzikich ostępach gór. Od tysięcy lat nie zgadzają się na nawiązanie kontaktu z resztą świata, który nie jest im do niczego potrzebny, a mógłby zakłócić harmonię, jaką osiągnęli z naturą. Jedzą to, co uda im się wyhodować i nigdy nie chorują, bo leczy ich woda z cudownego źródła. Od chwili, kiedy dowiedziałam się o istnieniu Wodnych Ludzi, nie mogłam przestać o nich myśleć. Przyjechałam więc do Viñales, żeby jakimś sposobem spróbować do nich dotrzeć.

Pierwsze popołudnie było jak z bajki. Ciepły wiatr, słońce, dojrzałe ananasy i okrągłe góry na horyzoncie. Wyglądały jak kamienne piłki, którymi kiedyś grywali giganci, a kiedy się znudzili zabawą, kopnęli je na pożegnanie, i tam gdzie upadły, pozostały, osiadając w ziemi jak stara opona samochodu pozostawionego rok temu na parkingu. Były prawie identyczne jak słynne *tepui*⁷³ – gigantyczne



⁷³ *Tepui* – ogromne góry o wierzchołkach w kształcie rozległych płaskowyżów zbudowane z piaskowca, stojące na równinie Gran Sabana („Wielka sawanna”) w południowo-wschodniej części Wenezueli. Niektóre mają dwa miliardy lat i do dzisiaj pozostają niezbadane.

ostańce w południowo-wschodniej Wenezueli. Dziwne, że nikt wcześniej nie zauważył tego podobieństwa. *Tepui* wenezuelskie to jedna z najbardziej charakterystycznych atrakcji turystycznych tego kraju, tymczasem o *tepai* kubańskich mało kto słyszał.

Ruda ziemia ścieliła się u stóp zielonych lasów, szarych gór i błękitu nieba, po polach maszerowały posłusznie woły spięte jarzmem, ciągnąc za sobą drewnianą bronę. Były tak przeraźliwie chude, że żebra ostro sterczące spod skóry zahaczały o chmury.

– Chudziutkie są te wasze woły – zagadnęłam prowadzącego je Kubańczyka.
– Co jedzą?

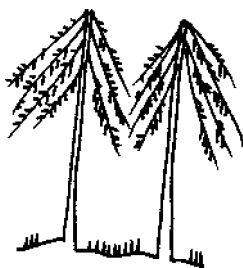
– Zioła – odpowiedział. – Ale teraz jest susza i nie ma ziół, więc nie jedzą.

Woły pracują na roli zaprzężone do ciężkiego drewnianego pługa, ciągną wozy wypełnione towarem albo ludźmi, są łagodne, nieśmiałe i ogromne, a ich posłuszeństwo łatwo zostało osiągnięte za pomocą żelaznego kółka w nosie. Pracują przez cały rok, także wtedy kiedy nie ma jedzenia. Głodują przez kilka tygodni czekając na nadejście pory deszczowej, kiedy znów zaczną rosnąć świeża trawa. Jeżeli susza się przedłuży, to pewnego dnia padną pod jarzmem i nie będą miały siły wstać. Wtedy odbierze je państwo kubańskie, które jest wyłącznym właścicielem wszystkich krów, wołów i cielaków na wyspie.

– Za dwa tygodnie przyjdzie deszcz – dodał Kubańczyk zsuwając kapelusz na tył głowy i patrząc w niebo. – Zawsze zaczyna padać po piętnastym maja.

Wynajęłam pokój, którego właściciel zapewniał, że jest *muy tranquilo* – bardzo spokojny, cichy, z niezależnym wejściem i gorącą wodą. Pół godziny później okazało się, że „cichy i spokojny pokój” znajduje się tuż obok tartaku, gdzie przez cały dzień robotnicy tną deski. Gorącej wody brak, bo „nie doszła”, a w nocy obudziła mnie orkiestra grająca gdzieś blisko kubańskie piosenki. O czwartej nad ranem rozległo się *concierto classico* – jakby wyjęte wprost z włoskiej opery – gdy tuż pod moim oknem pierwszą arię wykonał rozdzierającym głosem kogut sąsiadów, a w odpowiedzi rozległy się równie przeraźliwie wycia innych kogutów, które prowadziły tę kukuruczającą rozmowę bez przerwy aż do świtu, czyli przez trzy godziny. Wsiadłam na rower i popędziłam w dal.

Miasteczko Viñales składa się z dwóch równoległych ulic obrzeżonych górkami sosnami, z których na jezdnię spadają szyszki. Są trzy jadłodajnie dla Kubańczyków, gdzie przy ladzie można zjeść bułkę z „proteiną jarzynową” za 25 groszy, kupić najtańsze cygaro za jednego peso i wypić szklankę wody z syropem. Są też dwie restauracje o szyku międzynarodowym, gdzie gość siada przy stoliku i czeka na niezbyt zadowolonego z takiego obrotu sprawy kelnera. Usiadłam i ja, z zamiarem wypicia kawy. Spokojne, rolnicze Viñales cieszyło się sławą kubańskiego Wąchocka, zamieszkanego przez niezbyt rozgarniętych „wieśniaków”, o których można by opowiadać setki dowcipów. Viñales było jednak otwarte na potrzeby przyjezdnych. Na drzwiach co drugiego domu wisiała tabliczka z zielonym trójkątem zapraszająca do wynajęcia pokoju,





w sklepiku z pamiątkami można było kupić koszulki z portretem Che Guevary i pocztówki, a obok wypożyczyć górski rower. Zamówiłam kawę amerykańską, czyli niezbyt mocną, rozcieńczoną dużą ilością wody, zwykle podawaną w kubku. Nie wiem skąd wzięła się we mnie złudna nadzieja, że kawa amerykańska na Kubie będzie zgodna z międzynarodowym zwyczajem. Czekałam cierpliwie, przyglądając się twarzom przechodzących Kubańczyków i zastanawiając się który z nich mógłby mi zdradzić tajemnicę Wodnych Ludzi i polecić dobrego przewodnika.

Po jakimś czasie wrócił kelner i postawił przede mną moją *café americano*. Na dnie kubka znajdował się centymetr kawy, na powierzchni której smętnie unosiło się kilka włosów.

– *Señor* – powiedziałam bez zmruczenia oka. – Czy to jest kawa amerykańska?

– *Si*.

– A dlaczego tej kawy jest tylko trochę na dnie?

– Kawę amerykańską zawsze podajemy w dużych kubkach – odparł z godnością kelner.

– Ale czy nie należałoby dopełnić tego kubka gorącą wodą? – zapytałam równie uprzejmie.

– *Si* – odrzekł niepewnie.

Miasteczko Viñales składa się z dwóch równoległych ulic obrzeżonych górkami sosnami, z których na jezdnię spadają szyszki.





*Spokojne, rolnicze
Viñales cieszy się sławą
kubańskiego Wąchocka,
zamieszkanego przez
niezbyt rozgarniętych
„wieśniaków”.*

– W takim razie poproszę, żeby przyniósł mi pan kubek pełen kawy i bez włosów.
Kelner zajął do kubka i powiedział:

– Och.

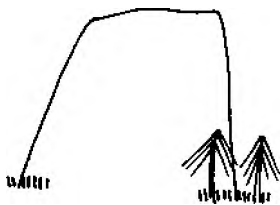
Po czym odszedł, by wrócić po chwili z filiżanką wielkości naparstka pełną kawy po brzegi. Nie dyskutowałam więcej. Przełknęłam kubańską gorącą gorycz w płynie, wsiadłam na rower i pojechałam dalej. Za miasteczkiem szosa biegła malowniczo w kierunku Pinar del Rio, mijając kubańskie *tepui*, wznosząc się na wzgórzach i opadając w doliny, w oszałamiającym zapachu nikotyny ścielącej się po polach. W oddali niebo szarpały skaliste góry. To tam mieszkali Wodni Ludzie – tak daleko i tak wysoko, żeby nie mogła ich dosięgnąć ręka komunistycznego rządu. Zjeżdżałam właśnie z kolejnego wzniesienia, dając się ponieść rozpędzonemu rowerowi i szybującym myślom, gdy nagle tuż obok siebie usłyszałam:

– Witaj!

Obok mnie jak duch pojawił się jadący na rowerze Kubańczyk w wysłużonej koszuli, kapeluszu i w kaloszach. Wyglądał jak typowy *campesino*⁷⁴, który dopiero co wyszedł z wiejskiej zagrody.

– Witaj – odrzekłam i przez chwilę jechaliśmy obok siebie w milczeniu.

⁷⁴ *Campesino* (hiszp.) – rolnik, wieśniak, mieszkaniec wsi.





– Tam mieszkam – Kubańczyk wyciągnął rękę i pokazał daleką chatkę w dolinie. Oto szczęśliwy przypadek, który skrzyżował moją drogę ze ścieżką kubańskiego rolnika. Często podczas moich podróży najciekawsze spotkania były właśnie takie – niezaplanowane, na bocznej drodze daleko od szlaków turystycznych albo w maleńkim porcie nad Amazonką, którego próżno by szukać na najlepszej mapie. Tylko dzięki takim przypadkom udawało mi się poznać prawdziwy świat tubylców, jeść ich skromne jedzenie, spać w ich hamakach, uczestniczyć w codziennych zajęciach i rytuałach. To jest też najważniejsza różnica między „turystą” a „podróżnikiem”. Turysta zna tylko powierzchowny świat przedstawiany mu przez specjalnie w tym celu wynajętych ludzi. Podróżnik dociera do dziewiczych miejsc i potrafi stać się częścią codziennego życia tubylców.

Oczy błysnęły mi z radości.

– Uprawiasz coś? – zapytałam od niechcienia.

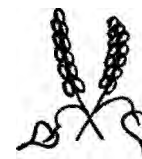
– *Si!* – odpowiedział natychmiast z uśmiechem. – Tytoń, maniok, kawę...

– Mógłbyś mi pokazać swoje pola?

– *Si!* Oczywiście!

Zjechaliśmy z głównej szosy w piaszczystą ścieżkę, pod kołami zgrzytały kamyczki, nad nami śpiewały kubańskie skowronki, aż wreszcie dotarliśmy do prostej bielonej chaty, przed którą piętrzyły się świeżo zebrane kolby kukurydzy. Dwa

Okrągłe wzgórza zwane mogotes, wyglądały jak kamienne pilki, którymi kiedyś grywali giganci.



wychudzone woły cierpliwie czekały w cieniu. Przeszliśmy między polami zakrytymi szerokimi liśćmi malangi⁷⁵ i krzewami manioku, które z bliska przypominają marihuanę. Miguel pokazał mi zbiory tytoniu zasadzonego w listopadzie i osiem pięter liści powiązanych ogonkami w suszarni, zaprowadził mnie na małą plantację kawy i na zagon dojrzewających ziemniaków.

– Spokojnie tutaj – zauważyłam w drodze powrotnej. Na nasz widok w polnej ciszy zapał kogut i odpowiedział mu z nieba śpiewający ptak.

– *Si* – przyznał Miguel. – Aż za bardzo.

– Za bardzo?

– Na krótko tak jest dobrze. Ale kiedy zapada zmrok, tutaj całe życie staje. Nic się nie dzieje.

– Ale przyroda, cisza, ptaki, owoce prosto z drzewa...

– Dzisiaj te owoce smakują – odpowiedział Miguel. – Jutro też. Ale po piętnastu dniach przestają smakować. Człowiek potrzebuje odmiany. A tutaj każdy dzień jest zawsze taki sam.

– Ale niektórzy – podchwyciłam czym prędzej – wcale nie chcą, żeby cokolwiek się zmieniało. Na przykład *Los Aquaticos*, Wodni Ludzie.

– Tak – Miguel rzucił mi z ukosa czujne spojrzenie. – Ale oni *son salvajes*, to dzikusy. Tam nie ma nic, nie ma nic.

– A wiesz może gdzie mieszkają? – rzuciłam od niechcienia, chowając pod stół ręce, które z emocji nagle zrobiły się gorące i zacisnęły w pięści.

– Tam – Miguel zrobił nieokreślony gest dłonią. – W Górach Piekielnych.

Góry Piekielne, Sierra del Infierno. Przypomniał mi się nagle wycinek z gazety, który znalazłam poszukując informacji o Wodnych Ludziach. Tam po raz pierwszy zobaczyłam nie tylko nazwę tego łańcucha górskiego, ale i skąpą garść informacji: „W ukryciu bujnej tropikalnej roślinności kubańskich gór, żyje mityczna wiejska sekta, utrzymując się przy życiu wyłącznie dzięki cudownej wodzie z leczniczego źródła, odrzucając religię, politykę, edukację, medycynę i wszystkie pozostałe elementy współczesnego świata”.

– A czy znasz może – powiedziałam szybko, patrząc mu prosto w oczy – kogoś, kto mógłby mnie tam zaprowadzić?

– Ale tam nie ma nic – powtórzył Miguel. – Tylko łyse skały i dzicy ludzie.

– Ale znasz kogoś kto wie jak tam trafić? – zapytałam łagodnie. W miasteczku wszyscy pytani o Wodnych Ludzi odpowiadali, że taka wyprawa jest nielegalna i że prawo zabrania zatrudniania przewodników bez licencji. Ci z licencją pracowali na etacie nielicznych i niechętnych biur podróży, które z pewnym wysiłkiem realizowały dla turystów plan minimum, polegający na standardowej wycieczce po okolicy w zamian za słoń oplatę w walucie wymiennej. Wiedziałam więc, że jeżeli istnieje jakakolwiek szansa dotarcia do *Los Aquaticos*, muszę ją znaleźć i wykorzystać w tajemnicy.

– *Si* – odrzekł po prostu Miguel. – Mój siostrzeniec tam chodzi.



Do zwinięcia cygara
wystarczy kilka dobrych

⁷⁵ Malanga (łac. *Xanthosoma* spp) = odmiana kolokazji jadalnej; podłużna bulwa, po ugotowaniu w smaku nieco przypominająca ziemniaki, o dużej zawartości skrobi i kwasu szczawiowego.





ROZDZIA, 32

Wodni ludzie

Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami i za siedmioma polami maniuoku mieszkała Antoñica Izquierdo. Była szóstą z trzynastu córek imigrantów przybyłych na Kubę z Wysp Kanaryjskich. Pewnego dnia zachorował jej syn. Początkowo skarżył się na bóle brzucha i mdłości, potem jego stan zaczął się pogarszać. Posłano po lekarza. Zanim posłaniec zejdzie z gór do najbliższego miasta i wróci z pomocą, może minąć wiele godzin albo i dni. Antoñica zaczęła szukać rady u sąsiadów i krewnych, ale nikt nie potrafił wyleczyć chłopca. Nagle pewnego popołudnia biegnąc przez pole usłyszała głos, który zalecał, żeby przed świtem wykąpała syna w strumieniu, a potem dała mu do wypicia trzy łyżki wody. Chłopiec wyzdrowiał, a Antoñica odkryła w sobie dar przekazywania leczniczej siły za pomocą wody ze źródła. Wiadomość o jej cudownych zdolnościach szybko dotarła do innych mieszkańców gór. Z całej zachodniej Kuby, a nawet z Meksyku do Antoñiki przybywały pielgrzymki chorych z prośbą o leczenie. Zalecała im niezmiennie to samo: kąpiel w potoku przed świtem i trzy łyżki wody do wypicia. Wracali do domów uzdrowieni.

Dziwną postacią zainteresowały się kubańskie władze. Była połowa lat trzydziestych XX wieku, na wyspie rządził sierżant Fulgencio Batista, który przejął władzę po pierwszym przewrocie wojskowym. Kilka lat później został wybrany prezydentem, a potem obalił następny rząd, by obwołać się dyktatorem. To właśnie przeciw niemu w połowie lat pięćdziesiątych zawiązała się grupa rewolucjonistów z Fidelem Castro na czele.

W marcu 1936 roku sędzia miejski w Viñales przyjął zeznania niejakiego José F. Alfonso Cruza, dowódcy dziewiętnastego szwadronu Gwardii Wiejskiej, który donosił o podejrzanych aktach „znachoryzmu”, jakich dopuszcza się jedna z mieszkanek górskiej wioski. Spisano protokół, przy czym prawdziwość słów Joségo Cruza potwierdzili dwaj obecni świadkowie – żołnierze Leoncio Rodríguez



Palmer i José Hernández León. Oskarżona Antoñica Izquierdo została pojmana, przesłuchana i skazana na pobyt w szpitalu dla umysłowo chorych. W odpowiedzi dostarczyła odręcznie napisany list: „Nie mogę pójść do szpitala, ponieważ nikomu nie wyrządzam krzywdy. Leczę z polecenia boskiego i muszę robić to dalej, tak długo aż Pan Bóg zakończy moje życie. ^{wy} także, panowie, przyprowadźcie do mnie swoje dzieci, a jeśli Bóg zechce, to wyleczę je ze wszystkich dolegliwości. Przyjdźcie i zobaczcie na własne oczy w jaki sposób to robię, nie pobieram od nikogo żadnych opłat, leczę tylko w imię Boga z użyciem wody, od której zdrowieją gruźlicy, a kalecy zaczynają chodzić o własnych siłach”.

Podczas rozprawy Antoñica została oczyszczona z zarzutów, ale władze postanowiły umieścić ją na jakiś czas w odosobnieniu. Zamknięto ją na kilka tygodni w szpitalu psychiatrycznym. Wyszła z niego w maju 1936 roku, wróciła do swojej wioski, rodziny i do leczenia. Ludzie przynosili do niej dzieci do ochrzzczenia, przyprowadzali chorych i nieszczęśliwych, a ona wszystkim zalecała to samo: kąpiel w potoku przed świtem i trzy łyżki wody do wypicia. Powtarzała też, że powinni mieć wiarę w Boga i w moc leczniczej wody, a nie w nią. Dwa i pół roku później, w grudniu 1938 roku została ponownie skierowana do szpitala dla umysłowo chorych i tam zmarła w marcu 1945 roku. Ludzie nazywali ją Dziewicą z Wysp, *Virgen de los Cayos*.

Wyruszyliśmy o ósmej rano – siostrzeniec Miguela, Luis, w niebieskiej koszuli w kratkę i w kaloszach, oraz ja. Wstawał upalny dzień. Pod moimi stopami parująca ziemia oddawała wilgoć tak gwałtownie, że wydawała się kurczyć z gorąca. Słońce piekło mnie w czubek głowy jak rozpalonym do czerwoności żelazem. Luis bez wahania szedł w stronę gór, a ja maszerowałam za nim – przez pola tytoniu, malangi i manioku, obok samotnej chaty na wzniesieniu, przez strumień i błoto, wąską ścieżką i piaszczystym traktem, w tumanach pyłu i coraz dzikszym krajobrazie. Po kilku godzinach dotarliśmy wreszcie w cień drzew. Tutaj kończyła się droga w poziomie. Ledwie widoczna ścieżka wiła się między kolczastymi krzakami i prowadziła do góry, między skały, przyzywając do siebie niejasną obietnicą dotarcia do celu.

– Tędy? – zapytałam Luisa.

– *Si*. Tą drogą przybywają czasem z gór, żeby wymienić towary.

– Uprawiają warzywa?

– Mają wszystko, co jest im potrzebne do życia.

– To czego im brak? – zapytałam. Jeśli mają „wszystko”, to po co chcieliby się na coś wymieniać?

– Przychodzą po sól – odparł krótko Luis i domyśliłam się, że to on im tę sól sprzedaje.

Szliśmy po grzechoczących białych skałach, gdy nagle Luis stanął, oparł o kamień kij, którym pomagał sobie podczas wspinaczki i znikł w zaroślach. Zostałam sama na bezludnej górskiej ścieżce. Zapadła długa cisza, którą na chwilę złamał tylko lecący do kwiatów trzmiel. Potem usłyszałam kroki. Chrzęściły delikatnie





na kamieniach. Wiedziałam, że to nie może być potężny i silny Luis, który znikł w krzakach ponad pół godziny temu. Na ścieżce pojawiła się nagle przygarbiona kobieca postać, ukryta pod zakurzonym, obszernym płaszczem przypominającym pelerynę. Ustąpiłam jej drogi i czekałam aż przejdzie drobnymi, lekkimi krokami, gdy ona nagle podniosła głowę i rzuciła mi krótkie, roześmiane spojrzenie. Miała twarz poorly zmarszczkami, drobne, suche, pomarszczone ręce i nie mniej niż osiemdziesiąt lat, ale w jej oczach płonęła młodzieńcza radość.

– *Buenos dias* – powiedziałam czym prędzej, ale młoda staruszka błysnęła tylko do mnie oczami i drobnymi krokami pośpieszyła w dół. Kiedy znikła, dookoła znowu rozległy się delikatne, świszczące nawoływania owadów i ptaków.

Kilka minut później usłyszałam wielkiego zwierza przeciskającego się przez suche krzaki i domyśliłam się, że wraca Luis. Miał garście pełne dojrzałych owoców mango. Na ich widok zapomniałam o staruszce, usiedliśmy na ziemi i zaczęliśmy je jeść, a żółty, pachnący szyszkami sok spływał nam po brodach i kapął na ziemię.

– Ale wiesz – przypomniałam sobie nagle – czy Wodni Ludzie pozwolą mi wejść do wioski?

– Pozwolą – mruknął Luis.

– I wciąż mają to cudowne źródło wody?

Wodni Ludzie to mityczna sekta, utrzymująca się przy życiu wyłącznie dzięki cudownej wodzie z leczniczego źródła.





Na szczycie stała chata pomalowana na różowo i kilka różowych krzeseł.



- Mają.
- I w dalszym ciągu nie chcą się kontaktować z resztą świata?
- Nie chcą.
- Ale czasem schodzą z gór?
- Nie schodzą. Czasem tylko ktoś przychodzi po sól.
- A kto?

Luis dziwnie na mnie spojrzał.

- Ktoś – odrzekł w końcu. – Jeden z nich.
- Kobieta? – domyśliłam się.

Pokręcił głową i wyrzucił mokre łupiny.

- Chodźmy już – powiedział – bo nie zdążymy wrócić przed nocą.

Zatrzymaliśmy się jeszcze tylko raz, w chacie zbudowanej na szczycie skały.

„Najlepsze kasztany rosną na placu Pigalle – pomyślałam wstając i ruszając w dalszą drogę. – Ale najlepsze grapefruity świata rosną na Kubie”. Były słodkie i soczyste,

z nutą orzeźwiającej, aromatycznej goryczy.

Godzinę później dotarliśmy do wierzchołka, na którym stała chata pomalowana na różowo i kilka różowych krzeseł. Po przystrzyżonej trawie chodziły kury, a z krawędzi urwiska roztaczał się widok na całą okolicę. Na nasze spotkanie wyszli Wodni Ludzie.



*Pokazali mi czarno-białe
zdjęcia Antoniki Izquierdo
= to właśnie ona odkryła
cudowne właściwości
lecniczej wody.*



– To oni? – upewniłam się szeptem, odwracając się do Luisa. – To tutaj?
– Si.
– *Buenas tardes*⁷⁶ – powitał mnie jeden z mężczyzn, wyciągając po europejsku dłoń. – Mam na imię Emilio, a oto moja rodzina: Lydia, Yamila i mój kuzyn, Antonio.

– Bardzo mi miło – odpowiedziałam machinalnie, ściskając dłonie kolejno wszystkich wymienionych osób. Usiadłam na wskazanym różowym krześle, a potem wstałam. I znów usiadłam. Miałam ochotę iść dalej – do wioski *salvajes*, dzikusów, odciętych od cywilizacji Wodnych Ludzi, bo różowe krzesła i gładki trawnik w ogóle nie pasowały mi do tego miejsca.

– Masz ochotę napić się kawy? – zapytał Emilio. Był ubrany w płócienne bermudy wyglądające jak długie bokserki. Jego żona nosiła plastikowe niebieskie klapki, a dziewczynka miała mały biustonosz.

– Tak, poproszę – odpowiedziałam, a potem dodałam od razu: – Nie, dziękuję! Chciałabym się napić wody.

Rodzina Wodnych Ludzi miło się uśmiechała. Pokazali mi czarno-białe zdjęcia Antoniki Izquierdo, z dumą podkreślając, że to właśnie ona odkryła cudowne

⁷⁶ *Buenas tardes* (hiszp.) – dzień dobry (używane po 12 w południe).

właściwości leczniczej wody. W ogromnym moździerzcu wydrążonym z pnia drzewa leżał gotowy do wyluskania ryż. Podwórko było czysto zamieciono, na sznurku suszyło się pranie. Z góry widać było panoramę zielonych pól, okrągłych gór i lasów. Nigdzie jednak nie widziałam cudownego źródła ani rzeki.

Nagle wstał Antonio – kuzyn w słomkowym kapeluszu, który wyglądał tak, jakby na chwilę przerwał pracę w polu. Wszedł do domu i wrócił ze szklanką wody, a potem dotknął worka wiszącego na drzewie.

– Kolacja – mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Wiewiórka? – domyśliłam się, sądząc po odgłosach szamoczącego się w środku zwierzątka.

– Szczer drzewny, *jutía* – wyjaśnił z dumą. – Dojrzewa.

– A gdzie jest wasze słynne źródło? – zapytałam. – Mogłabym je zobaczyć?

– Mamy kranik, tu w kącie – Emilio zaprowadził mnie na betonowy podest przy domu. Z ziemi wyrastała rurka zakończona najbardziej zwyczajnym metalowym kurkiem, który wystarczyło odkręcić, żeby zaczęła płynąć woda.

– Cudowna woda? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak.

– Z tego samego źródła, z którego czerpano leczniczą wodę?

– Tak, tak, z tego samego źródła.

– I też leczy?

– Nigdy nie byliśmy u lekarza.

– A w szkole?

– Nauczyciel sam do nas przychodzi.

Umyłam twarz i zakręciłam kran. A więc tak wygląda prawda o legendarnych *los Aquaticos*. Ciekawe jak Wodni Ludzie kąpią się przed świtem w tym betonowym zakątku pod kranem. I ciekawe co miały oznaczać słowa *son salvajes*, „to dzikusy”, którymi próbowano mnie zniechęcić.

– Wsadź głowę pod wodę – poradził Emilio. – Wtedy poczujesz.

Rzeczywiście. Woda była chłodna i ożywcza, idealna do picia i polewania w upalne kubańskie popołudnie. Im dłużej stałam zgięta w pół, patrząc na świat odwrócony do góry nogami, tym bardziej odnosiłam wrażenie, że dopiero teraz zaczynam widzieć wszystko we właściwych proporcjach. I nagle mnie olśniło.

Kuba to perfekcyjny turystyczny skansen, w którym każdy obywatel jest żywym eksponatem wystawiającym się na sprzedaż. Nagle zrozumiałam dlaczego spotkałam Miguela, który „przypadkiem” znalazł się na mojej drodze. Tak samo jak „przypadkiem” spotkałam wielu innych Kubańczyków, którzy cudownym zrządzeniem losu mieli do zaoferowania to, czego akurat szukałam.

Kubańczycy są aktorami w światowej bajce o Kubie. Przyjęli na siebie role postaci stworzonych w legendarnych opowieściach o wyspie ciemionej przez żelazną rękę Fidela Castro. Doskonale wiedzą z jakim wyobrażeniem na Kubę przyjeżdżają miliony turystów i jak to wykorzystać dla zarobienia kilkudziesięciu dolarów. Każdy Kubańczyk to wytrawny myśliwy, który nie stosuje



krzykliwej reklamy ani natarczywej namowy, bo wie, że na bogatego turystę najlepiej działa słodka przynęta i coś, co pozornie nie jest na sprzedaż – czyli własne życie.

W każdym miejscu, w mieście, na wsi czy na pozornym bezludziu, czekał jakiś kubański myśliwy polujący na turystów. Miał dla nich wszystko, czego oczekiwali: stary amerykański samochód z lat pięć dziesiątych, kwatery prywatną, opowieść o krewnych w Miami, bohaterski ślad Che Guevary, znajomych muzyków, nielegalną restaurację albo własne pole tytoniu.

Nagle przypomniały mi się wszystkie moje „przypadki” na Kubie. Pierwszego popołudnia w Viñales szłam przez bezludne pola, gdy nagle zobaczyłam Kubankę biegnącą w moją stronę. Okazało się, że „przypadkiem” akurat znalazła się w pobliżu, ale ma własne gospodarstwo i naprawdę całkiem jakby od niechcenia zaproponowała, że pokaże mi suszarnię tytoniu i tanio sprzeda cygara. Albo właścicielka kwatery w mieście Ciego de Ávila, która powiedziała,

„e obiecała ją komuś innemu, jest umówiona z włoskim turystą, który „zawsze” do niej przyjeżdża i ona zobowiązała się, że będzie trzymać dla niego pokój, ale... dla mnie robi wyjątek – wtedy poczułam się oczywiście zobowiązana i dałam jej napiwek. Gospodyni w innym mieście zaproponowała, że za

dolarów zrobi mi śniadanie, a kiedy odmówiłam i podziękowałam, stwierdziła, że takiej miłej osobie jak ja ona te śniadania będzie robiła codziennie za darmo – wiedząc, że wtedy z własnej woli jej zapłacę. Luis po drodze do wioski Wodnych Ludzi kilka razy proponował, że „przy okazji” odwiedzimy Samotnego Juana, który żyje na uboczu i potrafi zaparzyć znakomitą kawę (ale akurat Juana nie zastaliśmy w chacie), rodzinę Lopezów mieszkających w lesie czy osadę na skale, gdzie „przypadkiem” czekał sok z owoców i można było kupić pyszne grapefruity.

Miguel, którego „przypadkiem” spotkałam na szosie jadąc rowerem, też miał w chacie gotową paczkę dwudziestu pięciu cygar zapakowanych w papier za ustaloną cenę dziesięciu dolarów. A przecież zwykłe cygaro w kubańskim barze kosztuje jednego peso, czyli dziesięć razy mniej. „Przypadkiem” też akurat miał gotowy lunch, na który mnie zaprosił. Ale kiedy dałam mu w podzięcie banknot wartości trzech peso wymienialnych (czyli trzech dolarów), był dziwnie niezadowolony. Lunch pewnie też miał swoją cenę, o którą nie zapytałam, bo zgodnie z kubańską bajką myślałam, że trafiłam do prawdziwego rolnika, który żyje z pracy swoich rąk. Ale kubański rolnik w starym, rozpadającym się kapeluszu słomkowym, zniszczonej koszuli i kaloszach znał wartość dolara i swoich usług wobec turysty.

Na Kubie każdy ma gotową historię o tym jak ciężko się żyje i gotowe oferty do sprzedania. Bo nie ma lepszej pracy niż kubański przemysł turystyczny w skrytej odmianie myśliwskiej. Erneście Che Guevara, wiedziałeś o tym?...







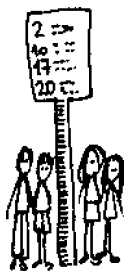
Na Kubie każdy ma gotową historię o tym jak ciężko się żyje i gotowe oferty do sprzedania. Bo nie ma lepszej pracy niż kubański przemysł turystyczny w skrytej odmianie myśliwskiej. Erneście Che Guevara, wiedziałeś o tym?...





**Słownik
kubański**

AUTOBUSY MIEJSKIE – turystom wolno podróżować miejskimi autobusami. Panuje w nich zwykle niesamowity tłok i ścisk, ale bilet kosztuje 20 centavos (mniej niż 2 grosze) za podróż garbatym *camello* albo 40 centavos za podróż lepszym autobusem typu „metro”.



AUTOBUSY DALEKOBIEŻNE – istnieją dwie państwowe linie: *Astro* (przeznaczona głównie dla Kubańczyków) oraz *Viazul* (dla turystów). Ta druga posiada klimatyzowane luksusowe autokary, odjeżdżające zgodnie z rozkładem i kosztujące dwukrotnie więcej. Dla turystów na dworcach autobusowych i kolejowych są wyznaczone specjalne biura, gdzie wolno im kupić bilety. *Więcej – czytaj na str. 31.*

BARACOA – kubański koniec świata, miasteczko położone na wschodnim krańcu wyspy, pierwsza osada założona na wyspie przez Hiszpanów w grudniu 1512 roku. *Więcej – czytaj na str. 188.*

BICI-TAXI – trójśladowy pojazd taksówkowy, którego kierowca siedzi na powoie roweru (*bici* to skrót od słowa *bicicleta* – rower), ciągnąc za sobą ławkę na dwóch kółkach, przykrytą daszkiem, gdzie mieści się dwóch pasażerów.

CAMAGÜEY – kolonialne miasto słynne z glinianych dzbanów zwanych *tinajones* oraz z labiryntu uliczek biegnących w różnych kierunkach dla zmylenia piratów. *Więcej – czytaj na str. 125.*

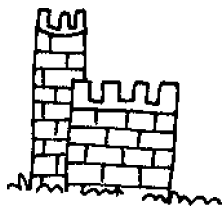
CAMELLO – dosł. „wielbłąd”, ogromny przegubowy autobus miejski zamontowany na ciężarówce, jeżdżący po Hawanie. Występuje w dwóch kolorach: różowym i niebieskim. Bilet kosztuje 20 centavos, czyli niecałe 2 polskie grosze. W środku panuje niewyobrażalny ścisk. *Więcej – czytaj na str. 15.*

CASA DE LA MUSICA, CASA DE LA TROVA – dosł. „dom muzyki, dom piosenki”, rodzaj klubu, gdzie występują kubańscy muzycy.

CASA PARTICULAR – patrz: kwatery prywatne

CASTILLO DEL MORRO – właśc. *Castillo de San Pedro de la Roca* – zamek zbudowany w XVII wieku dla obrony przed piratami, najlepiej zachowana hiszpańska budowla wojskowa na Karaibach, w 1997 r. uznana za zabytek Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. *Więcej – czytaj na str. 162.*

CASTRO, FIDEL – od 1976 r. prezydent Kuby, syn imigrantów z Hiszpanii, z wykształcenia prawnik, przywódca słynnej rewolucji kubańskiej.



CENY – dla turystów: umowne. Taksówkarz na pytanie o cenę powie „15 dolarów”, bo liczy na to, że bogaty turysta nie znający realiów zapłaci bez szemrania. Dla Kubańczyków obowiązują specjalne, niskie ceny w peso kubańskim. Turysta za te same usługi zawsze płaci w peso wymienialnych. Dla porównania: jedno jajko kupione w sklepie na kartki kosztuje 0,09 peso (1 grosz), to samo jajko kupione na targu kosztuje 2 peso (25 groszy), a w sklepie dewizowym – 3,50 peso (niecałe 50 groszy). Za kilogram wieprzowiny w sklepie na kartki Kubańczyk płaci 25 peso (3 zł), na wolnym rynku – 66 peso (8 zł 25 gr). Wołowinę można kupić wyłącznie w sklepach dewizowych, kilogram kosztuje 228–336 peso (30–42 zł). Miesięczna pensja Kubańczyka wynosi 240 peso (czyli 300 zł). Zob. też peso narodowe i peso wymienialne.



COCO TAXI – patrz: taksówki

CONGRIS – najbardziej popularna codzienna potrawa na Kubie: ryż wymieszany z czerwoną lub czarną fasolą, podawany do posiłków zamiast ziemniaków. Czasem nazywana też *moros y cristianos*, czyli „Maurowie i chrześcijanie”.

CUBA LIBRE – koktajl alkoholowy, którego nazwa znaczy dosłownie „Wolna Kuba” – czyli po rewolucyjnych zmianach przeprowadzonych przez rząd Fidela Castro. Klasyczny przepis na *Cuba Libre* zaleca nasypać do szklanki kostek lodu, zalać je sokiem z połowy limona, jedną porcją białego rumu i dwiema porcjami coli.

CUBANACAN – nazwa największej sieci biur turystycznych na Kubie, słowo zaczerpnięte z języka Indian Taino, w którym oznaczało „pośrodku wyspy”.

CUC – patrz: *peso convertible*, peso wymienialne

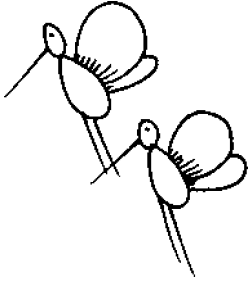
CYGARA – nazwa najsłynniejszej marki kubańskich cygar – *Cohiba* – to indiańskie słowo oznaczające tytoń. Najsłynniejszy towar eksportowy Kuby można znaleźć na Kubie w dwóch odmianach: oryginalnej i podrobionej. Oryginalne cygara można kupić tylko w licencjonowanych, drogich sklepach. Podróbki są oferowane wszędzie, najczęściej z historyjką, że „mój brat, moja siostra, mój kuzyn pracuje w tej fabryce i chce odsprzedać swój przydział”. Legalnie z Kuby można wywieźć 23 cygara. *Więcej – czytaj na str. 156.*



DROGI – patrz: wynajęcie samochodu

ELEKTRYCZNOŚĆ – napięcie 220 V lub 110 V – zależnie od okolicy, zawsze lepiej jest zapytać. Wtyczki typu amerykańskiego, czyli z dwoma płaskimi pionowymi bolcami.

FINCA VIGÍA – patrz: Hemingway Ernest



GORŃCZKA TROPIKALNA DENGA – choroba roznoszona przez moskity. Objawy są podobne do grypy: bardzo wysoka gorączka, ból wszystkich kości, brak apetytu, uczucie duszności, krwawienia. Można ją wykryć poprzez badanie krwi. Na dengę nie ma lekarstwa – można jedynie co 6 godzin łykać tabletkę paracetamolu dla obniżenia gorączki i złagodzenia bólu. Po 6–12 dniach choroba przechodzi. Odmiana krwotoczna dengi może być śmiertelna. **Uwaga:** denga powoduje rozszerzenie naczyń krwionośnych; nie wolno wtedy stosować aspiryny, która ma podobne działanie. Najlepiej podczas całej podróży i kilka tygodni po powrocie do kraju w ogóle nie stosować aspiryny, zastępując ją w razie konieczności paracetamolem.

GUANTANAMO – zatoka nad Morzem Karaibskim na wschodnim krańcu Kuby, nad którą od 1903 r. znajduje się amerykańska baza wojskowa. *Więcej – czytaj na str. 172.*

GUARAPO – najbardziej popularny napój bezalkoholowy na Kubie, odpowiednik naszych napojów gazowanych – czysty, świeżo wycisnięty sok z trzciny cukrowej, najczęściej podawany z lodem. Słodki i energetyczny.

GUAYABERA – męska koszula o charakterystycznym, prostym kroju, zakończona poziomą plisą z dwoma guzikami na dole, z przodu i z tyłu zdobiona zakładkami. Występuje zawsze w gładkich, pastelowych kolorach, bez żadnych wzorów. Tradycyjny strój kubańskich mężczyzn.

GUEVARA, ERNESTO CHE – Argentyńczyk, z wykształcenia lekarz, rewolucjonista i bohater narodowy Kuby.



GUINEO – banan (w okolicach Baracoa).

HASTA LA VICTORIA, SIEMPRE – dosł. „Aż do zwycięstwa, zawsze”, w wolnym tłumaczeniu: „Nie spoczniemy aż zwyciężymy”, najbardziej znane i najczęściej cytowane (także na Kubie) zdanie wypowiedziane przez Ernesta Che Guevarę.

HATUEY – ostatni wódz kubańskich Indian, pierwszy bohater kubańskiej walki o niepodległość. Kiedy na Kubę przyплыли Hiszpanie w 1512 r., Hatuey porwał Indian do walki o wolność. Po kilku miesiącach został schwytyany i spalony na stosie. W Baracoa stoi kilka pomników Hatueya. Zob. też Taino.

HAWANA, HAVANA, LA HABANA – stolica i największe miasto Kuby. Jej starówka (*Habana Vieja*) została wpisana na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO w 1982 roku. Dzisiaj przypomina ruinę, w której powoli i stopniowo restauruje się niektóre budynki.

HEMINGWAY ERNEST – amerykański pisarz, mieszkał na Kubie w latach 1939–1960. Jego dom zwany *Finca Vigía*, znajduje się 15 km od centrum Hawany w San Francisco de Paula (można tam dojechać miejskim autobusem).
Więcej – czytaj na str. 68.



HOTELE – państwowe hotele na Kubie są drogie i zniszczone, a ich obsługa niechętna. Wyjątek stanowią luksusowe hotele *all-inclusive* na słynnych plażach, takich jak Varadero, Ancon czy Cayo Coco, gdzie można się zatrzymać na dłuższy pobyt. W przypadku krótszych przerw w podróży lepiej jest wynajmować pokój czyli *casa particular*. Patrz: kwatery prywatne.

HURAGANY – patrz: klimat

INTERNET – trudno dostępny luksus, nawet dla turystów. W dużych miastach Internet można znaleźć w oddziałach Etecsy (*Empresa de Telecomunicaciones*, Urząd Telekomunikacji). Godzina korzystania z Internetu kosztuje 6 \$.

JEDZENIE – Kuba nie jest miejscem dla wymagających smakoszy. Najbardziej powszechną przekąską jest kubańska pizza wielkości małego talerza, z sosem pomidorowym i serem, sprzedawana z ulicznych budek za 3–5 peso narodowych, czyli za ok. 50 polskich groszy. Kubańczycy bardzo lubią lody włoskie, które występują w dwóch smakach: truskawkowym i śmietankowym (lody w wafle na ulicy kosztują 1 peso, czyli 12,5 grosza). Jedzenie w restauracjach jest dużo droższe, przeciętny obiad kosztuje 10–20 \$. Zob. też *congris*.

JINETERO – natarczywy tubylec, który oferuje pomoc w znalezieniu kwatery prywatnej, restauracji, taksówki i wielu innych rzeczy. W zamian żąda 50% ceny, jaką płaci turysta. Haracz dla *jinetero* jest najczęściej dopisywany do rachunku dla turysty bez pytania go o zgodę. *Więcej – czytaj na str. 61.*



KLIMAT – gorący i wilgotny. Średnie temperatury w Hawanie nie spadają poniżej 20 stopni. Najwięcej deszczu pada między majem a październikiem, od czerwca do listopada trwa sezon huraganów, które czasem pustoszą wyspę. Najlepszą porą na podróż na Kubę jest polska zima i wczesna wiosna – od grudnia do kwietnia.

KOLUMB KRZYSZTOF – przyплыł na Kubę 27 października 1492 r. i opisał ją jako „najpiękniejszą ziemię, jaką widziały ludzkie oczy”. *Więcej – czytaj na str. 187.*



KOMÓRKOWE TELEFONY – na Kubie raczej nie znane. W 2002 roku jeden Kubańczyk na tyśiąc był właścicielem telefonu komórkowego.

KUBA – piętnasta co do wielkości wyspa na ziemi. Państwo Republika Kuby obejmuje archipelag złożony z głównej wyspy, pobliskiej Wyspy Młodości (*Isla de Juventud*) oraz ponad czterech tysięcy małych wysepek.

KWATERY PRYWATNE. CASA PARTICULAR – pokoje do wynajęcia w prywatnych kubańskich domach. Ich właściciele podlegają surowym zasadom, m.in. nie wolno im reklamować swoich usług. Mimo tego zakazu przychodzą czasem nielegalnie na dworce autobusowe w poszukiwaniu turystów. Kwatery są oznaczone tabliczką z zielonym trójkątem i napisem *Arrendador inscripto*, przybitą do drzwi. Zobacz też hotele.

LIBRETA – dosł. „książeczka” – odpowiednik naszych dawnych kartek na żywność. Obowiązuje na Kubie od 1962 r. i pozwala każdemu obywatelowi na kupno po specjalnie niskich cenach następujących produktów miesięcznie: 2,7 kg ryżu, 1,5 kg białego cukru, 1 kg brązowego cukru, 0,25 kg fasoli, 2 kg soli, 0,25 kg oleju, 1,5 kg makaronu. Inne produkty, takie jak np. kurczaki, ryby czy warzywa pojawiają się nieregularnie i są „rzucane” do sklepów.

MARLIN (*Makaira*) – ryba z rodziny żaglicowatych, o charakterystycznej długiej i wąskiej górnej szczęce. Słynie z waleczności, schwytana na żyłkę zaczyna wykonywać w wodzie skomplikowane skoki i akrobacje. Ernest Hemingway organizował turnieje połowu marlinów, w jednym z nich zwyciężył Fidel Castro. *Więcej – czytaj na str. 68.*

MARTÍ, JOSÉ – 1853–1895, bohater narodowy Kuby, pisarz, poeta, dziennikarz i rewolucjonista. Syn hiszpańskich imigrantów urodzony w Hawanie, który już w szkole średniej rozpoczął działalność rewolucyjną, której celem było odzyskanie niepodległości. Zginął na polu walki, w bitwie z Hiszpanami.



MOJITO – koktajl alkoholowy wymyślony na Kubie na początku XX wieku, ulubiony drink Ernesta Hemingwaya. Aby prawidłowo przyrządzić *mojito*, należy najpierw rozgnieść świeże liście mięty z cukrem lub syropem, następnie dodać sok z pół limona. Dodać drugą połowę limona pokrojoną ze skórą na małe kawałki. Następnie dolać białego rumu, nałożyć kostek lodu i uzupełnić wodą sodową.

MONEDA NACIONAL – patrz: peso narodowe

NAPIWKI – bardzo mile widziane, czasem nawet otwarcie wymagane, szczególnie w miejscach uczęszczanych przez turystów. Dobrze jest nosić w kieszeni kilka jednodolarowych banknotów, żeby przy okazji dawania napiwku komuś, kto się tego domaga, nie pokazywać całej zawartości portfela.

PALMA REAL (dosł. palma królewska albo prawdziwa) – narodowe drzewo Kuby, widoczne także w jej godle.

PESO CONVERTIBLE – patrz: peso wymienne

PESO NARODOWE (*moneda nacional*) – waluta dla Kubańczyków, która ma się do wymiennego jak 24:1. Kurs jest sztywno ustalany przez rząd. Obie waluty można dowolnie zamieniać na siebie w miejscowych kantorach wymiany, zwanych Cadeca.

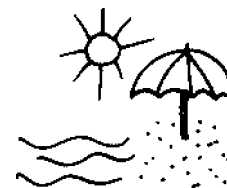
PESO WYMIENIALNE (*peso convertible*) (CUC) – waluta dla turystów, która zastąpiła obowiązujące do niedawna dolary amerykańskie. Jeden peso wymienny jest równy jednemu dolarowi.

PICO TURQUINO – dosł. Turkusowy Szczyt, najwyższa góra Kuby 1972 m n.p.m., leżąca w górach Sierra Maestra na wschodnim krańcu wyspy, w prowincji Santiago de Cuba. Na wierzchołku umieszczono pomnik bohatera narodowego, José Martí.

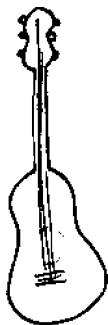
PLA°E – prawdziwe bogactwo naturalne Kuby. Główną wyspę otacza ponad cztery tysiące wysepek. Nad brzegiem szmaragdowego morza znajdują się cudowne plaże o białym piasku, z kokosowymi palmami. Na wielu zbudowano luksusowe hotele, na niektóre wstęp jest dozwolony tylko turystom. Zob. też Varadero.

ROWER – popularny środek komunikacji, dostępny także dla turystów w wypożyczalniach (6–15 \$ za dzień). Zalecam ostrożność: jeżdżenie rowerem po chodniku dla pieszych jest zabronione, a uczestnikami jednej trzeciej wypadków drogowych na Kubie są rowerzyści. Zob. też zasady ruchu na drogach.

SANTIAGO DE CUBA – drugie co do wielkości miasto na Kubie, położone na wschodnim krańcu wyspy. Uważane za kolebkę kubańskiej rewolucji, słynne także z tradycji oryginalnej muzyki *son*. Więcej – czytaj na str. 155.



SANTA CLARA – miasto w środkowej części Kuby, słynne ze znajdującego się tu pomnika, muzeum i mauzoleum Ernesta Che Guevary, gdzie po latach złożono jego ciało, a Fidel Castro podczas specjalnej uroczystości zapalił *luz eterna* – „wieczny płomień”, który płonie do dziś. *Więcej – czytaj na str. 66.*



SON – oryginalna muzyka kubańska, która powstała po roku 1880 we wschodnich prowincjach wyspy, gdzie tamtejsi muzycy połączyli afrykańskie rytmy z melodiami latynoskimi i hiszpańskimi. Jak twierdzą niektórzy naukowcy, muzyka *son* ma ogromne znaczenie historyczne, ponieważ jest symbolem i esencją integracji wpływów afrykańskich, europejskich i afrokaraibskich na wyspie.

TAINO – plemię indiańskie, które przybyło na Kubę w 1250 r. n.e., uciekając przed ludożercami z Hispanioli i Portoryko. °yli spokojnie na wyspie aż do 1512 r., kiedy zostali zaatakowani i pokonani przez Hiszpanów, a ich wódz Hatuey został spalony na stosie.

TAKSÓWKI – w Hawanie istnieją trzy rodzaje taksówek: *coco taxi*, taksówki dla Kubańczyków i taksówki dla turystów. *Coco taxi* to śmieszne okrągłe żółte pojazdy na trzech kołach, mieszczące dwóch pasażerów, poruszające się na krótszych trasach. Nie mają taksometrów, cenę ustala się przed wyruszeniem w drogę z kierowcą. Taksówki dla Kubańczyków to stare wozy amerykańskie z lat 50., stosujące taryfę z taksometru ustawionego na lokalną walutę (zob. peso narodowe). Tymi taksówkami mogą podróżować wyłącznie Kubańczycy, którzy za podróż płacą drobne kwoty. W praktyce zdarza się czasami, że właściciel taksówki łamie prawo i zabiera do swojego samochodu zagranicznego turystę, ale zawsze wtedy żąda zapłaty w peso wymienialnych, podnosząc cenę do obowiązujących standardów. Z takim kierowcą cenę należy uzgodnić przed wyruszeniem w trasę. Często udaje się utargować, ale trzeba znać średnie taryfy w okolicy, żeby nie dać się oszukać. Zob. też *bici-taxi*.



TELEWIZJA – na Kubie są trzy państwowe kanały telewizyjne. Prywatnych nie ma, nie można także odbierać telewizji satelitarnej (z wyjątkiem bardzo luksusowych hoteli, choć i tam liczba kanałów jest ograniczona). Przemówienia Fidela Castro (trwające niekiedy kilka godzin) są równocześnie transmitowane we wszystkich trzech programach.

VALLE DE LOS INGENIOS – patrz: Wodnych Młynów Dolina

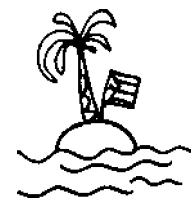
VARADERO – kombinat turystyczny niedaleko Hawany, składający się z szeregu betonowych hoteli typu *all-inclusive* oraz plaży i morza.

VIπALES – kubański Wąchock, miasteczko położone w malowniczych rolniczych dolinach w prowincji Pinar del Río. Na okolicznych polach uprawia się maniok, kukurydzę, malangę (rodzaj bulwy) oraz najlepszy na Kubie tytoń do wyrobu cygar.

WODNYCH MŁYNÓW DOLINA (hiszp. *Valle de los Ingenios*) – właśc. Dolina Wodnych Młynów, okolice miasta Trinidad, gdzie w XIX wieku kwitła uprawa trzciny cukrowej, a francuscy uchodźcy z Haiti zbudowali kilkadziesiąt cukrowni.



WYNAJĘCIE SAMOCHODU – nieskomplikowane. Samochód można wynająć w agencjach turystycznych (np. *Cubanacan*) w dużych miastach. Wymagane jest prawo jazdy (wystarczy polskie), paszport oraz depozyt ok. 200\$ na poczet ewentualnych napraw. Przed odjazdem radzę starannie obejrzeć samochód i sprawdzić czy wszystko działa. Jeżeli trasa ma prowadzić przez góry, trzeba koniecznie sprawdzić stan hamulców i opon. Zob. też zasady ruchu na drogach.



ZAKUPY – gdziekolwiek idziesz na zakupy, zawsze zabieraj ze sobą plastikową torbę lub inny pojemnik, do którego będziesz mógł włożyć zakupione towary. Dotyczy to zarówno targowisk, gdzie sprzedawane są owoce i warzywa, jak i budek z pamiątkami. Torebka plastikowa to na Kubie towar luksusowy, można go dostać jedynie w drogich sklepach, gdzie płaci się peso wymienialnymi.

ZASADY RUCHU NA DROGACH – silniejszy i większy ma pierwszeństwo. Samochody nie zwalniają widząc na jezdni pieszego albo rowerzystę. *Więcej – czytaj na str. 181.*

ZATOKA ŚWIŃ (*Bahía de Cochinos*) – zatoka na południowym wybrzeżu zachodniej Kuby, gdzie w 1961 r. rozegrała się ostatnia otwarta bitwa o niepodległość. W styczniu tego samego roku USA i Kuba zerwały stosunki dyplomatyczne, a w kwietniu do Zatoki Świń wpłynął statek z ponad tysiącem specjalnie przeszkolonych przez CIA emigrantów kubańskich z Nikaragui, a następnego dnia także amerykańscy żołnierze. Rozpoczęła się regularna bitwa na wodzie i w powietrzu, wygrana przez Kubańczyków. Wtedy po raz pierwszy Fidel Castro ogłosił związek kubańskiej rewolucji z socjalizmem.



ZDROWIE – wszyscy obywatele kubańscy mają opiekę zdrowotną za darmo. Dla turystów zagranicznych powołano *Servimed*, która ma kilkadziesiąt przychodni na całej wyspie. Opieka lekarska może być bardzo droga, lepiej więc ubezpieczyć się przed wyjazdem w Polsce. Dobrze jest też zabrać ze sobą podstawowe leki, bo nie zawsze można je kupić. Nie ma zagrożenia malarii, ale zdarzają się przypadki gorączki tropikalnej denga. Radzę zrobić też podstawowe i bardzo przydatne szczepienia: żółta febra, tyfus, dur brzuszny, tyfus, żółta febra.



Naprawdę na świecie organizacja nauki i odkrywa-

Towarzystwo National Geographic – powstała w 1888 roku, aby „rozwinąć i upowszechnić wiedzę geograficzną. Od tego czasu Towarzystwo finansuje wyprawy naukowe i prace badawcze oraz popularyzuje wiedzę o świecie wśród ponad 9 milionów swoich członków.

Magazyn National Geographic oraz książki, programy telewizyjne, filmy wideo i DVD, a także mapy i atlasy wydawane przez Towarzystwo National Geographic uczą i inspirują.

Członkami Towarzystwa są wszyscy prenumeratorzy Magazynu, którzy opłacając prenumeratę współfinansują jego działalność.

Więcej informacji na temat działalności Towarzystwa można uzyskać na stronach internetowych:

www.nationalgeographic.pl oraz na łamach Magazynu National Geographic po polsku.

BIBLIOGRAFIA

- Ernesto Che Guevara – „Motorcycle Chronicles. A Journey Around South America”, Verso Books, 1996
- Ernesto Che Guevara – „Escritos y discursos” T. I–III, wyd. Editorial de ciencias sociales, La Habana, 1977
- Adys Cupull & Froilan Gonzales – „A Brave Man”, wyd. Instituto Cubano del libro, Editorial Jose Marti, La Habana, 1997
- Pedro Luis Sotolongo – „Ernesto Che Guevara. Ethics and Aesthetics of an Existence”, wyd. Instituto cubano del libro, 2002
- Mary Welsh Hemingway – „How It Was”, wyd. Ballantine Books, New York, 1976
- Stuart B. McIver – „Hemingway’s Key West”, wyd. Pineapple Press, Sarasota, Florida, 2002
- Fidel Castro – „Nada podra detener la marcha de la historia” = wyd. Editora politica, La Habana, 1985
- Wszystkie cytowane fragmenty w tłumaczeniu Beaty Pawlikowskiej.

OD AUTORKI

Dziękuję serdecznie Panu Bolesławowi Margasińskiemu z polskiej ambasady w Hawanie – i jego żonie Zofii – za ciepłe przyjęcie i moc informacji.

Este libro es dedicado al Papa Juan Pablo II, quien partió el día antes que llegé a la Habana. Adios, Papa, amigo.



BLONDYNKA NA KUBIE NA TROPACH PRAWDY ERNESTA CHE GUEVARY

Wydawnictwo G+J RBA
Sp. z o.o. & Co. Spółka Komandytowa
Licencjobiorca National Geographic Society
ul. Wynalazek 4, 02-677 Warszawa

Sprzedaż wysyłkowa:
Dział Obsługi Klienta, tel. 022 607 02 62

Dystrybucja:
Wydawnictwo LektorKlett Sp. z o.o.
tel. 061 849 62 14, 061 849 62 11
fax 061 849 62 12

Redaktor prowadzący: Katarzyna Duran
Korekta: Ewa Garbowska
Opracowanie graficzne: Anna Angerman
Skład i łamanie: IT WORKS, Warszawa

Książkę wydrukowano na papierze EuroArt Matt 130 g/m² dostarczonym przez Map Polska Sp. z o.o.

Copyright for the Polish edition branded by National Geographic Society © 2006 National Geographic Society. All rights reserved.

© 2006 Copyright for the text, images and drawings by Beata Pawlikowska.

National Geographic i żółta ramka są zarejestrowanymi znakami towarowymi National Geographic Society.

ISBN: 978-83-7596-165-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyjątkowym zezwoleniem właściciela praw autorskich.



„Przyjechałam na Kubę po to, żeby zrozumieć kim naprawdę był Ernesto Che Guevara.

Zimnym mordercą czy wrażliwym lekarzem, który chciał ratować świat przed niesprawiedliwością?”- opowiada w swojej najnowszej książce Beata Pawlikowska. Jaka jest prawda? Gdzie ją znaleźć? Chyba tylko na tej karaibskiej, rajskiej wyspie, gdzie po ulicach miast wciąż krążą stare amerykańskie samochody.

Co oznacza wyrażenie *Cuba Libre*? Dlaczego wybuchła kubańska rewolucja? Czy zespół Buena Vista Social Club wciąż gra? Czy w Hawanie żyją wielbłądy? Towarzyszami podróży autorki po tropikalnej wyspie zostali Flegmatyczny Anglik, Szalony Hiszpan i nie tylko...

NA KRAIŃCE ŚWIATA to seria książek opowiadających o niezwykłych ludziach, pełnych przygód wyprawach, odległych lądach i morzach. Autorzy i bohaterowie pochodzą z różnych krajów i epok. Podczas ekscytujących podróży poznają kulturę i obyczaje egzotycznych ludów, tajemnice przyrody i historii.

DOTYCHCZAS W SERII UKAZAŁY SIĘ:

Blondynka śpiewa w Ukajali, Blondynka u szamana, Blondynka Tao.

**NATIONAL
GEOGRAPHIC**



**NA KRAIŃCE
ŚWIATA**